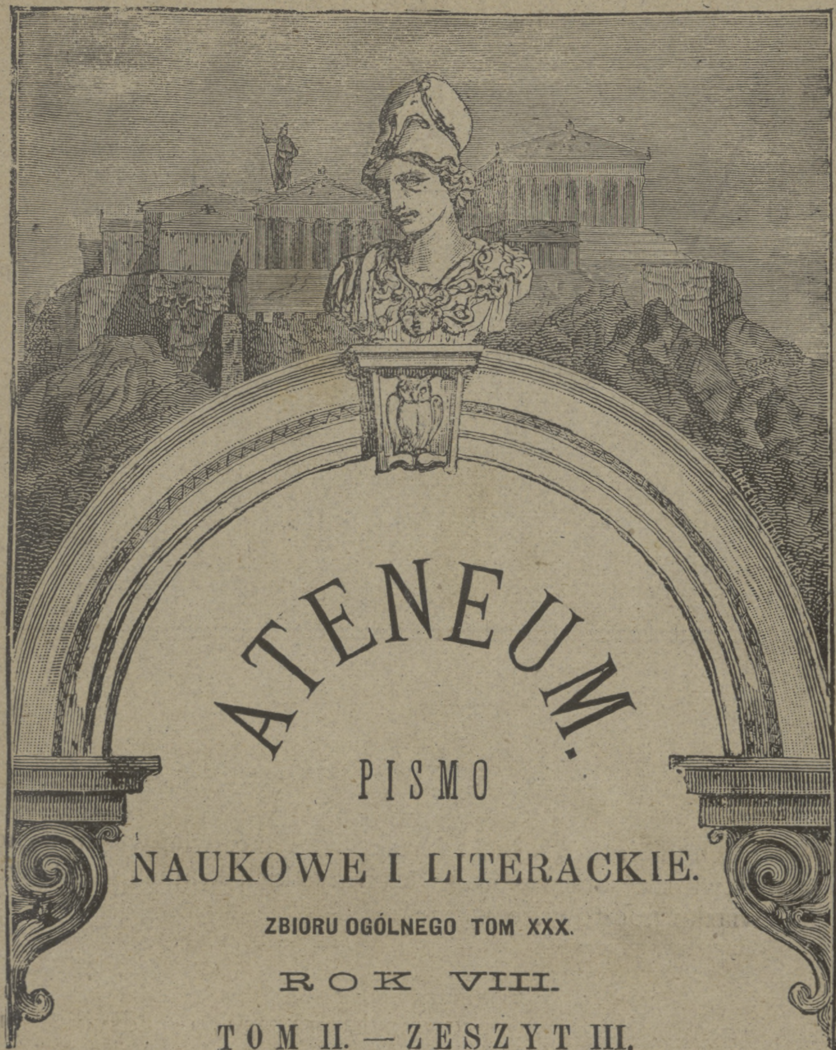


ATENEUM.

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE.

ZBIORU OGÓLNEGO TOM XXX.

ROK VIII.

TOM II. — ZESZYT III.

Czerwiec.

WARSZAWA.
DRUKIEM K. KOWALEWSKIEGO,
ulica Królewska, Nr. 23.

—

1883.

SPIS RZECZY.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wynosi:

Rocznie . . . . Rs. 12.
Półrocznie . . . . „ 6.
Kwartalnie (tylko w Warszawie) . . . . „ 3

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio

DO REDAKCYI ATENEUM
Włodzimierska, 14.

Druk ukończono 1 Czerwca 1883 r.

FRANUŚ WALCZAK

NOWELLA.

I.

— Uważać, nadstawiać uszy i milczéć.—Zrobiło się w izbie szkolnéj cicho, jakby makiem zasiał.

— Jutro egzamin. Słyszycie!

Oczy chłopców zabłysły, twarzyczki dziewczynek oróżowiły się z radości.

— Ubrać się świątecznie, mówił daléj poważnie nauczyciel, poprzepowiadać sobie wszystko czegoście się uczyli przez cały rok— szczególniéj trzecia klasa. Czekam was jutro, od ósméj rano.

— Egzamin, nagrody, podarunki—wołały uszczęśliwione dzieci, biegnąc drogą wśród rozrzuconych chat wioski.

— Pono dziedziczka zakupiła moc wstążek, chusteczek, gorsetów! Które téż to z nas gorsety dostaną—radziły dziewczynki.

— Co tam gorsety, ale Walek z kredensu mówił nam, że sześć czerwonych krakusek widział porozkładanych na stole. Kto dostanie krakuski?—wołali chłopcy.

Nazajutrz od samego rana chłopcy w białych płóciennych kapotkach, dziewczynki w kolorowych spódniczkach i gorsetach bawiły się przed szkołą, oczekując rozpoczęcia egzaminu.

Słońce mknęło w górę odbijając się od białych ścian murowanéj szkoły, rozpalało głęboki piasek na drodze i świeciło srebrem na kopule kościołka świeżo krytéj blachą. Kasztany ocieniające cmętarz a wśród nich smukła topola cicho drzemały, wiatr ich nie budził za to słońce piekło. Zmęczone dzieci gorącém i niepokojem oczekiwania, kryjąc się pod cienie drzew, pokładły się na murawie i pozasypiały. Zaledwie kilku chłopców z trzeciéj klasy zbici w gromadkę, gwarzyli głośno i wesoło.

Śmiechy ich dolatywały przez otwarte okna do uszu nauczyciela, mierzącego szerokiemi krokami izbę szkolną. Zły, zachmurzony, przygryzał wąsy, ręką tarł szerokie czoło.

— Zapowiadali egzamin na dziewiątą a tu już południe i ani żywéj duszy. Dzieci pomęczone, rozespane i jakże mają przytomnie odpowiadać? Nauczyciel winien-zawołają. Próżniak, źle uczy—nie ma pojęcia o metodzie!... Raz na rok zaglądają do szkoły i jeszcze pół dnia każą czekać na siebie.

Wyjrzał przez okno.

— Franuś Walczak,—zawołał.

— Jest, jest, wybiegły głosy z gromadki, Franuś uchylił z głowy słomiany kapelusz.

— Skoczno na dzwonnicę i popatrz na drogę od mostu.

— Pójdziemy wszyscy, zakrzyczeli chłopcy odpowiadając za Franusia. Za chwilę, słychać było dudnienie w dzwonnicy aż białe głowy ukazały się w górnych jej otworach.

— Proszę pana profesura ja wlézę aż na gołębie gniazdo,—odezwał się, stojąc w otworze dzwonnicy Pawełek.

— Nie chodź, bo może się stać nieszczęście protestował przestraszony nauczyciel.

— Nic mu nie będzie, odpowiedzieli chłopcy.

— Czekaj bój się Boga, — wołał nauczyciel biegnąc z całych sił.

— Trzymaj się, zachęcali chłopcy Pawełka pnącego się po krokwiach ze zwinnością wiewiórki.

Nadbiegł nauczyciel,—ogólne przerażenie i niepokój tamowały oddech patrzącym. Pawełek zawisł rękami na ostatniéj belce nie mogąc się wydostać na jéj grzbiet. Nareszcie zdecydował się na hazardowny skok, przyjęty przez chłopców wykrzyknikami podziwu.

— Już się usadowił—szeptali, oddychając całemi piersiami. Czuć było, że im ciężar strachu spadł z serca.

Istotnie zwinny chłopiec dobrze się umieścił pod samym szczytem dzwonnicy, patrząc przez otwór z wypadłego gonta.

— O, o, to ci dopiero widać het—het.

— I cóż jadą nareszcie,—odezwał się nauczyciel.

— Cosik mi się majaczy, niby dwa czarne punkciki suną do mostu.

— Coś mu się majaczy,—powtórzyli chłopcy.

Nastała uroczysta cisza. Pawełek wpatrywał się w czarne punkciki—nauczyciel i chłopcy w Pawełka.

Po paru chwilach oczekiwania.

— Jadą,—zawołał,—jadą we dwa wozy.

— Może to zwyczajne fury?

— Hale, hale — przecie widzę konie kanonika i czwórkę z Dębia.

— Czwórka z Dębia, szepnęli chłopcy z pewną dumą.

— Pawełek złaź,—dał rozkaz nauczyciel, tylko ostrożnie, bo o nieszczęście nie trudno.

I znowu chłopcy z nauczycielem mieli utkwiony wzrok w Pawełka zsuwającego się z krokwi na krokiew, patrzeli jak sobie radził, jak się przeginał,—podpierał nogą, trzymał rękami. Jeszcze jeden skok i uśmiechnięty stanął wśród kolegów.

Nauczyciel pogłaskał go po twarzy mówiąc.

— Dzielny z ciebie chłopiec.

Franuś Walczak posmutniał, chociaż udawał obojętnego, oczy wytrzeszczał i uśmiechał się ale nie szczerze. On nie był dzielnym, nie umiał się wspinać po drzewach i na szczyt dzwonnicy włazić...

— A teraz chłopcy, spędzać dzieci do szkoły,—żywo, żywo,— nalegał profesor.

Wiara zbiegła ze schodów z hałasem wśród śmiechów i nawoływania.

— Jadą, jadą—dziedzic z Dębia czwórką.

Dziatwa rzuciła się do studni pić wodę poczém zajęła miejsca w klasie.

— Franciszek Walczak,—zabrał głos z katedry nauczyciel.

Powstał czternastoletni chłopiec, blady, okrągłéj twarzy o dobrodusznym uśmiechu. Oczy miał niebieskie, duże, patrzące na świat tęskno, przez mgłę rozlanego w nich sentymentalizmu, włosy miał płowe, spalone od słońca—i usta szerokie nieco odchylone.

— Pamiętaj, że liczę na ciebie,—bądź przytomny, gdy się tylko który omyli,—poprawisz go.

— Dobrze,—odpowiedział Franuś.

— Musisz podtrzymać sławę szkoły,—dodał nauczyciel.

Franuś spuścił oczy, lecz je zaraz podniósł z dumą i pewnością siebie.

Zaturkotało na drodze, dzieci powstały i wspinając się na palcach wyglądały ciekawie przez okna. Nauczyciel wybiegł, wprowadzając gości wśród ukłonów i słodkich uśmiechów.

Weszły powagi rady szkolnéj. Groza na ich obliczach, połączona z marsem na czołach przestraszyła zrazu dzieci. Szczęściem że nauczyciel dał znak do śpiewu. Skoczna nuta krakowiaka rozpogodziła twarze powag a rozpędziła obawy, budząc w młodych sercach śpiewaków odwagę.

Rozpoczął się egzamin—uczniowie pierwszéj i drugiéj klasy odpowiadali dobrze i przytomnie, lecz prawdziwa akcya rozwinęła się dopiéro przy egzaminie klasy trzeciéj,—gdy na plac wystąpiła historya polska i jeografia. W tych przedmiotach Franuś Walczak miał otwarte pole do popisu. Powagi poroztwierały ze zdziwienia szeroko oczy—nauczyciel uśmiechał się dumnie.

Weszła dziedziczka, służący wniósł za nią pudło z podarunkami na nagrody. Wtedy ciekawość doszła do zenitu, powstał szmer rozkosznych przeczuć. Wieko z pudła zdjęto, gorsety i krakuski rozłożono na katedrze, obok nich książki, obrazki, wstążki, piórniki, teki—różności.

Nauczyciel podał listę przedstawionych do nagród dziedziczce, dziedziczka zwróciła mu ją napowrót.

Profesor wyprostował się, odkrząknął, spojrzał z uśmiechem na dzieci i zaczął po kolei wśród uroczystéj ciszy wywoływać celujących po odbiór nagród z rąk dziedziczki. Szczęście malowało się na twarzach młodych zwycięzców.

Ostatni pokazał się Walczak. Zarumieniony zbliżał się nieśmiało, dziedziczka podała mu pięknie oprawną książkę. Dziedzic z Dębia wyciągnął do niego rękę—chłopiec nie wiedząc jak się znaleść pocałował ją zawstydzony.

— Winszuję ci Franciszku Walczaku,—rzekł młody pan poważnie;—jesteś chlubą szkoły.

Chłopcu zaświeciły oczy z radości i dumy, proboszcz uśmiechnął się dobrodusznie, dziedziczka powiedziała parę pięknych frazesów zwracając się do chluby szkoły.

Popis się skończył, obdarowane dzieci rozbiegły się po wsi, dziedziczka wróciła do dworu, proboszcz zaprosił gości wraz z nauczycielem do siebie.

— Moi panowie, albo coś robimy albo nic,—mówił energicznie dziedzic z Dębia, stawiając z mocą wypity kieliszek wina na stole.

— Albo co szanowny dobrodzieju, albo co pochwycił kanonik...

— To że młody Walczak musi iść do szkół.

Kanonik i proboszcz uśmiechnęli się dobrodusznie. Nauczyciel mruganiem oczu zachęcał dziedzica z Dębia do stanowczego przeprowadzenia projektu.

— Z czegóż się panowie uśmiechacie? Czyż to mamy w kraju zbytek wykształconych ludzi? Galicya na wszystkich polach choruje

na brak ludzi—a tymczasem gdy się znajdzie odznaczająca zdolność uśmiechamy się.

— Ależ dobrodzieju, seminarya zapchane—rzekł proboszcz.

— Jeżelibyśmy chcieli wszystkie wybitne zdolności z wiejskich szkół pchać dalej—to niedługo doktorzy, adwokaci i księża poumieraliby z głodu,—dodał kononik.

— Czyż to świat z doktorów i księży złożony - odparł z mocą młody dziedzic, gdy nauczyciel ręce z radości zacierał.

— Któż dobrodzieju będzie orał i siał, jeżeli wszyscy będą uczeni.

— Tych nie zabraknie, gdy na trzysta dzieci jednego popchniemy dalej. Do orki i siania zostanie dwieście dziewiędziesiąt dziewięć.

Widocznie statystyką księża zostali pokonani, gdyż milcząc ciągnęli powoli z kieliszków wino.

— Chociaż nie jestem za zbyteczną nauką chłopa, bo mu się tylko w głowie przewraca; mędrkuje, filozofuje i nareszcie przestanie w Boga wierzyć ale—dobrym chęciom nie stawiam zapor,—mówił z godnością i przestankami kanonik.

— To nie dość, należy pomagać, iść razem ręka w rękę wspólnemi siłami do jednego celu. Zorganizować się wytworzyć z siebie instytucyą—składać zbierać i dawać.

— Zdrowie dziedzica z Dębia, przerwał proboszcz powstając z pełnym kieliszkiem.

— Zdrowie! powtórzył kanonik—wspólnemi siłami—o tak do jednego celu. Oby ten cel zajaśniał jako słońce, albo gwiazda prowadząca trzech mędrców.

— Dziękuję, dziękuję—pochwycił z pewnem zadowoleniem dziedzic z Dębia, trącając swój kieliszek o kieliszki księży i nauczyciela.

Wypróżniono parę butelek wina, młody dziedzic mówił dużo o solidarności, pracy i obowiązkach względem maluczkich. Potakiwał mu nauczyciel, księża głowami wstrząsali, wznosząc rozliczne zdrowia, aż póki burzliwe fale polityki nie pochwyciły ich w objęcia i nie uniosły na wielką wodę zawikłań europejskich.

Wizyta się skończyła, dziedzic z Dębia odjechał z kanonikiem, nauczyciel pobiegł do organisty, posłano do starego Walczaka i we trzech zaczęto ponownie rozważać kwestyą wysłania do szkół Franusia...

— Czyż mnie to stać z półtrzeciej morgi gruntu utrzymać chłopca w Krakowie, skarżył się Walczak.

— Któż tego chce,—przerwał mu nauczyciel,—nie, mówię to wam z czem się chwalił dziedzic z Dębia. Taki pan nie wypuści pary z ust naprożno.

— Cóż więc robić?—pytał zafrasowany gospodarz.

— Siąść z chłopakiem na wóz, oświadczył organista i naprzód pokłonić się dziedziczce a potém jechać do Dębia i do okolicznéj szlachty, to przecie coś poradzą. Inaczéj chłopak się zmarnuje. Nie włożył się do ciężkiéj pracy, bo wciąż goni tylko za książkami.—Delikatny,—powiem wam prawdę „nijaki." Chłopa z niego nie zrobicie—a nauczyciel albo ksiądz, jak ulał,—jakbym go widział.

Walczak się uśmiechnął radośnie, pozycya proboszcza dla syna rozrzewniła go.

— A czyż ja to doczekam tego szepnął, ocierając rękawem wyglądające mu z oczu łzy.

— Kilkanaście lat przejdzie mu że ani się obejrzy prawił organista. Zobaczycie że ja jeszcze w tym oto kościele będę przygrywał na organach do pierwszéj jego śpiewanéj mszy. Bo prawda, jak Boga kocham.

— Czém będzie, to będzie —rzekł nauczyciel ale niech się uczy, kiedy mu Bóg dał tak wielkie zdolności. Gdybym ja je miał, byłbym dziś adwokatem, albo sędzią.

— A ja proboszczem w téj saméj parafii poświadczył organista. Wszystko na świecie głowa znaczy, bez głowy nic, choćbyś miał ręce z żelaza.

— Dobrze-by to było ale jakoś nie śmiem słaniać się z chłopakiem po dworach, prosić, kłaniać się, wystawać w sieniach.

— Nie śmiecie, to ja z wami pojadę. Mnie nie brak odwagi i chwała Bogu, języka w gębie nie zapomnę—a z państwem spotykam się często.

— Co tu prosić, po-co się kłaniać, przecie słyszałem na własne uszy, co mówił dziedzic z Dębia, dodał nauczyciel.

— Widzicie, pan profesor słyszał,—poświadczył organista. Nie ma się co prosić. Jechać i wziąć swoje.

Walczak podrapał się w głowę. Dziwnie mu się wydawała jazda do Dębińskiego dworu po swoje, ale nie śmiał się sprzeciwiać potentatowi, który nie wiele mówił wprawdzie o swéj głowie za to dużo o języku.

— I czegoż medytujecie? przerwał organista. Skoczcie lepiéj po piwo, bo przecież trzeba oblać tę sprawę i wypić za zdrowie przyszłego proboszcza.

Franuś siedział na schodkach dworku organisty i słyszał toczącą się rozmowę. Gdy ojciec wychodząc poruszył klamkę, zerwał się i wpadł na ścieżkę wijącą się wśród wykłoszonego żyta, ustrojoną w bławat i maki korale.

Biegł dopóki mu tchu w piersiach starczyło, tak go pędziła radość. Serce w nim skakało, twarz płonęła, zdawało się, że szczęście dało mu swe skrzydła.

— Dotarł do dębowego lasku, stanął, zaśmiał się serdecznie, zerwał z głowy kapelusz, rzucił go w górę i padł na murawę. Za chwilę wstał. Chciał gwizdać, lecz z wielkiéj radości nie mógł ściągnąć ust, śmiech pusty, dziecinny rozszerzał je.

— Do miasta, do wielkiego miasta—szeptał. Uczyć się i wyjść na pana, na wielkiego mędrca—wszystko wiedziéć—wszystko umiéć. Nie—księdzem nie będę—nie chcę się zagrzebać na wsi—ludzi chrzcić i chować. Muszę być albo wielkim panem albo pisarzem i takie piękne rzeczy układać, coby się świat cały dziwował. Do miasta, do miasta, wołał—wyciągając ręce w górę.

Po wyczerpaniu wybuchów radości powoli zapadał w głęboką zadumę. Położył się nad brzegiem strumyka i rzucał w niego zielone listki, źdźbła traw i zeschłe badyle, patrząc jak je nurt wody porywał i unosił. Rozkoszne marzenia kołysały go. Widział się w wielkiém mieście, w komnatach bogatych panów, rozprawiał z mędrcami—piękne, strojne panie uśmiechały się do niego zupełnie jak w bajce.

Purpura rozlana po niebie zmieniła się w krew i krew zawisła nad sklepieniem ciemno-zielonych liści. Wiatr zaczął kołysać wierzchołkami drzew—chłopcu się zdawało, że jakieś duchy płyną w górze, jęcząc żałośnie nad jego dolą. Zerwał się zalękniony nie wiedząc dla czego. Szedł żywo—strach go popychał, zmuszając do biegu coraz prędszego, póki nie dopadł do ścieżki wijącéj się wśród wykłoszonych zbóż. Nie wiedział dla czego się bał, lecz ciężki smutek osiadł mu na sercu i ze zwieszoną na dół głową wracał do chaty. Po uniesieniach radości przychodziła reakcya.

— Franuś—Franuś nauczyciel cię szukali,—wołała dwunastoletnia dziewczynka biegnąc do smutnego chłopca. I nie pójdziesz do niego? Są u organisty—jest tam i ojciec. Piwa napili dużo gwarzą i bawią się.

— Dziś już nie pójdę,—odpowiedział.

— Widzisz dostałeś nagrodę,—chwalili cię panowie, jedziesz do miasta i jakoś markocisz. Chodźże do matusi, bo i oni smutni. Mówiąc to wzięła go za rękę prowadząc do chaty.

— A ty Hanuś, cóżeś dostała,—spytał chłopiec siostry.

— Boś to nie widział? Gorset niebieski, książeczkę do nabożeństwa i dwa obrazki. Gorset schowałam se do skrzynki, a książkę mam na półce.

Weszli do chaty.

Matka gotowała wieczerzę. Wsparta o ścianę komina wpatrywała się zamyślona w wesoły płomień obejmujący żelazny kociołek wypełniony ziemniakami.

Franuś od czasu egzaminu nie widział matki. Zbliżył się do niéj, ujął ją za rękę i pocałował. Kobiéta z płomieni ognia przeniosła wzrok na syna, popatrzyła na niego, machnęła rozpaczliwie ręką i otarła oczy zapaską.

Chłopiec siadł na ławie smutny i zamyślony, nie śmiejąc oczu podnieść na matkę, nie śmiejąc przemówić słowa.

— A nie przepowiadałam ci, do czego książki prowadzą. Uparłeś się i ino w nich siedzisz. One to wyganiają cię z chaty. I pójdziesz się poniewierać między ludzi, głód mrzéć i z nędzą się żenić...

— Moja Matuś przecie panowie tego chcą — księża—dodał ciszéj.

— Panowie, powtórzyła matka z rodzajem szyderstwa—rzucą raz coś i zapomną, a nas przecie nie stać z trzech morgów piasku utrzymać cię w mieście. I cóż z ciebie będzie—nikiéj chłop—nikiej pan.

Pesymizm matki wywołał optymistyczne uczucia u chłopca.

— Będzie co Bóg da, zobaczycie, aby ino zacząć jako.

— Juści, dodała Hanusia, bo jak Franuś zostanie panem abo księdzem, to i nam przecie pomoże. Prawda Franek?

— Pomoże,—szepnęła matka. Nikłe to, zbiedzone, sponiewiera się i nie wróci. Westchęła ciężko a chąc przed dziećmi ukryć łzy, odwróciła się do komina, zajrzała do garnka, odcedziła ziemniaki, osoliła je, utłukła i z gorączkowym pośpiechem zaczęła siekać chwast dla trzody. Franuś usiadł cicho przy oknie—Hanusia wyjęła ze skrzynki niebieski gorsecik i chwaląc się nim szczebiotała— chłopiec zdjął z półki nagrodę oprawną w czerwony papier. Po chwili zaczytał się tak głęboko, że o bożym świecie nie wiedział. I miał czego,—książka zawierała historye ludzi biednych, którzy pracą i wytrwałością dochodzili do wielkich odkryć, sławy i znaczenia.

Matka rzucała na syna spojrzenia pełne miłości i obaw, smutnie głową wstrząsała czasem westchnęła głośno, lecz chłopiec zatopiony w książce nie słyszał, marszczył brwi lub się uśmiechał do odbieranych wrażeń.

Późnym wieczorem wszedł podchmielony piwem ojciec. Czapkę na ucho nasadził, wąsa w górę podciągnął, oczy mu błyszczały, nos się czerwienił, usta drgały nerwowym uśmiechem, mówiącym o dobrym humorze i nadziejach szczęścia rojących się pod czaszką.

— A cóżto Jegomość czytają,—odezwał się do syna. Przestalibyście, bo z tego rozumu to głowa wam spuchnie. Hanuś a obłapże za nogi jegomościa i pocałuj go w rękę. Ha—ha.

— Nie pletlibyście mój tatusiu toć to przecie Franuś,—odparła rezolutnie dziewczynka.

— Opiłeś się to siedź cicho,—ofuknęła chłopa żona,—oj ten organista, gdzie może to ciągnie aby ino gardło zalać.

— Ale za to pojedzie z nami po panach, aby Franek został jegomością. Rozumiesz, babo, co to znaczy syn twój jegomość. Ale co tam baba a gęś abo kura to wszystko jedno. Mówiąc to siadł ciężko na ławie.

— Inoście wy mądrale, odparła urażona gospodyni. A jedźcie, próbujcie, kłaniajcie się, proście, skomlijcie—zobaczymy czy co wskóracie. Chłopaka mi zaprzepaścicie i zmarnujecie. A co pieniędzy wyleci na poczęstunki. Zalała się łzami.

Franuś posmutniał, na myśl, że i on musi się prosić i skomleć,—oparł głowę na ręku i milczał—Hanusia mięszała w cebrzyku chwast z osypką dla prosiąt na jutro. Walczak zdjąwszy czapkę, pot z czoła rękawem obcierał i uśmiechał się smutno patrząc na syna przez mgłę swych siwych oczu. Widocznie smutne przeczucia matki opanowały go. Nareszcie ziewnął przeciągle i głośno powstał, wyprostował się—uszedł parę kroków i runął na łóżko. Za chwilę słychać było głośne, miarowe, zdrowego chłopa chrapanie.

Wieczerzę jedli we troje matka, Franuś i Hanusia. Nie wesoło im było—milczeli. Ciszę przerywały uderzenia łyżek blaszanych o miskę wypełnioną ziemniakami. Co zaszczebiotała Hanusia, to przestała, bo nikt jéj nie odpowiadał.

Po wieczerzy Franuś zapalił łojową świeczkę i daléj zaczął czytać. Kobieta zdjęła śpiącemu buty i sukmanę, przykryła go pierzyną i sama przy nim zasnęła. Hanusia ułożyła się na sienniku w komorze, marząc o niebieskim gorsecie.

Franuś czytał daléj z ciekawością pochłaniającą wszystkie jego myśli i uczucia, wcielał się w postaci wielkich ludzi, myślał i czuł razem z nimi.

Świeczka zgasła—lecz za to jutrzenka witana od wschodu różowemi blaskami, świergotem ptaszków wychylała się zwiastując przybycie słońca. Chłopiec wybiegł przed chatę usiadł na przelazie przy chruścianym płotku i czytał póki nie skończył ostatniéj strony.

— Może i ja wygramolę się na człowieka,—pomyślał i roześmiał się radośnie, oglądając się do-koła. Zobaczył drabinkę przystawioną na strych stajenki dostał się po niéj na górę. Zapach świe-

żego siana zachęcał go aby się położył. Zaledwie głowę dotknął do siana—zasnął.

Wielcy ludzie ściskali go i całowali tuląc do siebie.

II.

W topolowéj alei tuż przed wjazdową bramą do dworu, zatrzymał się wózek w półkoszkach, ciągniony przez dwa małe koniki. Pierwszy stoczył się organista, za nim poszedł Walczak, na ostatku wysiadł blady, wylękniony Franuś. W milczeniu przeszli wysypaną żwirem drogę, okalając kląb i cicho po kamiennych schodach dostali się na ganek. Organista zaczął nogami szastać ocierając o podłogę buty—za jego przykładem poszedł Walczak. Franuś stał nieśmiało przy filarze wstydząc się trochę za organistę i ojca.

Przez szklane drzwi wyjrzała dziedziczka; przybyli zdjęli czapki, organista zaczął pospiesznie zapinać na pętlice kapotę i kłaniać się zamaszyście rozstawiając nogi.

— Cóż to powiecie? — spytała otwierając drzwi.

Organista pocałował ją w rękę, otarł nieznacznie palcami usta i zaczął:

— Wielmożna pani! stajemy przed tobą jako dzieci przed matką i dobrodziejką nieprzymierzając. Bo oto tedy...

— Mówcie wyraźnie — przerwała pani.

— Oto przed tobą wielmożna pani stają Walczaki: ojciec i syn.

— Walczak jak się macie — Franuś dla czego tak dawno nie byłeś we dworze po książki.

Walczak się skłonił i uśmiechnął serdecznie.

— Ja jak ja— odparł —dzięki Bogu krzepię się, ale za to chłopak mi choruje.

— I na cóż? — rumiany jest i czerstwy.

— Zachorował ci na mądralę wielmożna dziedziczko. A i to choroba jak druga.

Dziedziczka się rozśmiała, rozśmiał się grubo i organista.

— Ani weź tylko chce lecieć do miasta na naukę.

— Zwyczajnie chłopu księdzem się zachciewa być — dokończył organista.

— Kształcić się na księdza w twoim wieku zdaje mi się że już zapóźno — mówiła pani do chłopca — kończysz już czternaście lat. Zróbcie go uczciwym i zdolnym rzemieślnikiem — zwróciła się do ojca—a będzie wam całe życie wdzięczny. Dobrych rzemieślników wielki u nas brak. — Franuś czemże chciałbyś być: stolarzem, snycerzem, cieślą?...

Franuś milczał, nie śmiał protestować, lecz w duchu był oburzony na dziedziczkę za jéj propozycyą. Śmiała go robić rzemieślnikiem, gdy on chce i musi być wielkim człowiekiem.

Dziedziczka wyszła przynosząc za chwilę dziesięć papierków.

— Co rok na Święty Michał przyrzekam na naukę Franusia wypłacać wam dziesięć papierków, póki chłopiec nie skończy czterech klas. Pieniądze oddała ojcu.

— No widzicie — prawił organista siadając na wóz obok Walczaka — wydobyłem wam dziesięć papierków, a czém wasz chłopak ma być, to niech ją o to głowa nie boli. Oni-by wszystkich chłopów chcieli robić rzemieślnikami, coby tylko na nich pracowali. No, no, niech ją o to głowa nie boli i niech nie wściubia nosa w nie swoje rzeczy. Franuś będzie tém, czém zechce.

— Toć i bez nauki mogę chłopaka oddać dziś do terminu — rzekł ojciec.

— Dam ja sobie radę — zawołał z wiarą w siebie Franuś.

— Ho, ho, masz ty głowę na karku, a głowa mówię wam — grunt. Ona to każe nogom chodzić, a oczom patrzéć.

Franuś przekonał się, że niekoniecznie trzeba prosić i skomléć, aby dostać pieniędzy. Podzielał nawet opinie organisty, że ma prawo dla swoich wielkich zdolności wymagać od ludzi pomocy, dla tego téż śmiało szedł do Dębińskiego pałacu i nawet na ganku nie zdjął czapki, gdy ojciec i organista zdjęli swoje na schodach. Bo kiedy dziedziczka dała dziesięć, to cóż dopiero da pan na Dębiu co się tak dziwował jego nauce.

We drzwiach ukazał się służący, zmierzył przybyłych od stóp do głów, uśmiechnął się i poszedł zdać raport panu.

Za chwilę wyszedł dziedzic w tureckim szlafroku, fezie na głowie i fajce na długim cybuchu.

— Cóż tam nowego, moi gospodarze — przemówił protekcyonalnie siadając w fotelu.

Organista i Walczak pokłoniwszy się spoglądali jeden na drugiego. Nareszcie organista odchrząknął, dłonią usta zasłonił, splunął i zaczął:

— Wiadomo światu, że tylko wielmożny pan dbasz o nas chudziaków — o nas biedne sieroty.

— No tak, trzeba przecież pomagać sobie, jesteśmy sąsiadami.

— My tam wielmożny panie nie chcemy się równać z takiém państwem — odparł Walczak.

— A dla czego?—pochwycił dziedzic—przecież jesteśmy braćmi.

Organista nie wiedząc co ze sobą robić szastał nogami, chrząkał i oczy przewracał.

— Braćmi — dodał dziedzic z mocą, i sąsiadami. — I kochany sąsiedzie — zwrócił się do Walczaka — czegoż to odemnie chcecie?

Gospodarz mrugał na organistę.

— Wielmożny panie, chłop jest chłopem a pan panem, co to długo gadać — zaczął rzecz swą organista; Walek mu potakiwał, a Franuś rumieniąc się ze wstydu spuszczał oczy. — Przyszliśmy do wielmożnego pana gwoli syna Walczakowego Franka, tego oto chłopaka.

— A pokłońże się, a pocałuj pana — wołał ojciec na syna popychając go.

Franuś różowy jak piwonija, schylił głowę lecz ani się ruszył.

— Chłopak ma głowę na karku, w książkach siedzi jak rabin nad talmudem. Przecie wielmożny pan wie.

— Walczak, przypominam sobie, pierwszy uczeń, chluba szkoły w Bogowskiéj woli — i czegóż chcecie?

— Zmiłowania — zawołał organista.

— Wiadomo nam, że przecie wielmożny pan... — rzekł Walczak nieśmiało.

— Przyrzekłem — przerwał dziedzic powstając — lecz cóż we wszystkich moich humanitarnych projektach stoję sam odosobniony, nikt mnie nie poprze, nikt się ze mną nie solidaryzuje. Należało księżom bo to ich rzecz, zawiązać komitet, ściągnąć datki i mieć chłopca w opiece. Czyż to ja sam jeden wszystkiemu podołam, tyle na głowie.

— Prawda, prawda — poświadczyli smutno organista z Walczakiem.

— Nie ma tygodnia żebym nie jeździł na jakąś sesyą, na naradę. Po całych dniach na wózku i do tego jeszcze wszędzie własną kieszenią każą mi nadstawiać.

Organista z Walczakiem rozpaczliwie głowami kiwali.

— A czyż to siły jednego człowieka wszystkiemu nastarczą? Milionów-by zabrakło, gdyby miliony były.

Walczak miął czapkę w ręku, organista sapał, Franuś stał blady z pochyloną głową nie śmiejąc oczu podnieść.

— Radbym z całego serca popierać wybitne zdolności w kraju na chwałę świętéj naszéj ojczyzny.

Walczak usłyszawszy wyraz „świętéj,“ uznał za właściwe westchnąć i uchylić głowę.

— Ale i ja również potrzebuję poparcia i pomocy a jestem sam. Byliście u dziedziczki Wronowa?

— Byliśmy — poświadczył organista.

— Dobra pani — rzekł z cicha gospodarz — dała dziesięć papierków.

— Widzicie, macie już coś na początek. — Popierałem waszą sprawę, przemawiałem za nią i jest rezultat. Ja także się nie uchylam... Wyjął portmonetkę rachując pieniądze. — Proszę was i ja ze swéj strony ofiaruję dziesięć papierków. Nie usuwam się choć to nie moja wieś, nie moja gmina i parafia. Daję choćbym się miał zrujnować, byle tylko zdolnego człowieka przysporzyć krajowi.

Mówiąc to, wsunął pieniądze w rękę Walczakowi. Organista chciał coś mówić, lecz widząc jak Walczak dziękował, całując w rękę dziedzica, zamilkł.

— No, bądźcie zdrowi, bądźcie zdrowi, kochani gospodarze — mówił przyjacielsko dziedzic. — A pamiętajcie przy wyborach nie głosować na mieszczucha. Bracia jesteśmy i trzymajmy się za ręce.

Dziedzic stał na ganku; Walczak z organistą szli z odkrytemi głowami przez ścieżkę do wrót ogrodu.

— Robi się, co można — myślał dziedzic Dębia wracając do swego pokoju. — Gdyby tak jak ja postępowali wszyscy, raj byłby w biednéj naszéj Galicyi.

— A toście się znaleźli, niech was gęś kopnie — zawołał organista.

— A cóż?

— Wygadaliście, wiele dała dziedziczka Wronowa.

— E, e, i cóżby to pomogło.

— Tfu — organista splunął głośno. — Tyle sobie gęby napsuł, tyle u proboszcza naobiecywał i skończyło się na dziesięciu papierkach. A żebyś z piekła nie wyjrzał.

— Nie pomstowalibyście i dziesięć papierków, to przecież grosz.

— Gadał o bractwie i djabli wiedzą o czém, głowy nam zawracał i jeszcze kazał sobie dziękować za dziesiątkę od pani Wronowskiéj, a chce, aby na niego głosować. — Jabym ci wygłosował, żebyś ruski miesiąc pamiętał.

— Dobrze że i tyle dał— rzekł Walczak — znajdźcie lepszego.

— Chodźmy do karczmy, przy piwie naradzimy się — zawołał organista smakując głośno.

Poszli. Za nimi postępował zwolna Franuś zgnębiony, smutny i zły. Nadzieje jego rozwiano, a mimo to chęć zwycięstwa i postawienia na swojém opanowały umysł młodego chłopca.

— Nie bój się Franek—mówił organista—mamy jeszcze Bażów i Zawiercie.

— Jedźcie już sami, bo mnie jakoś wstyd i serce się ściska i nie śmiem na ludzi spojrzéć.

— To już nie twoja rzecz, bylebyś stał, byleby cię ludzie widzieli.

Franuś nie usłuchał, kupił sobie bułkę, nasadził czapkę na uszy i poszedł do domu. Naprożno go organista z ojcem wołali. Nie obejrzał się. Chłopiec uczuł nienawiść do dziedzica Dębia, radby się był na nim zemścić. Lecz w samę porę stanęła mu przed oczami pani Wronowa, jéj uśmiech, łagodność i dobroć. Wspomnienie to złagodziło rozdrażnione jego nerwy i obrażoną dumę.

Wyprawy do Bazowa i Zawiercia dały w rezultacie po pięć papierków. Razem zebrało się trzydzieści.

Skromna to była sumka, lecz i z nią młody chłopiec popychany namiętnością nauki, wierząc w swoję gwiazdę, postanowił puścić się w świat.

Matka ocierając często łzy z oczu, przysposabiała mu bieliznę; ojciec kupił na jarmarku dla niego nowe buty i stary skórzany tłomoczek.

Spóźnione żniwa, siewy, drogi złe i długie dziesięć mil do Krakowa stanęły na przeszkodzie do znalezienia koni. Jeden z gospodarzy zażądał ośm papierków za przewiezienie chłopca. Nie było można nawet marzyć o tak wielkim wydatku. Walczak postanowił odprowadzić syna piechotą, lecz owies w polu i tatarka, młocka żyta na siew przykuwały go do chaty i zagonu, zwlekał z dnia na dzień.

— Pójdę a na przednówku przyjdzie głód. Niechno na czasie zwiozę i zasieję, to i prędzéj chłopcu będzie można pomódz.

Tak rozumował Walczak; chłopiec się rwał, a matka płakała z żalu i obawy o jedynaka powtarzając:

— Zmarnieje jak słomka rzucona na wiatr.

— Matusiu — szeptał chłopiec — jakiś duch mówi we mnie idź, nie bój się, idź śmiało.

Duch ten uspokoił matkę — wierzyła.

III.

W ostatnią niedzielę sierpnia cała rodzina złożona z matki, jéj siostry, ojca i małéj Hanusi, odprowadzała chłopca do rozstajnych dróg wyciągniętych białemi smugami za lasem. Franuś był blady i zamyślony, z oczu mu patrzał strach i niepokój. Ubrany w białą sukmankę i czerwoną krakuskę szedł z pochyloną głową, za nim matka, obcierając zapaską oczy zachodzące łzami. Gospodarz udawał że się uśmiecha, kuma dla rozweselenia gromadki głośno gwarzyła, a Hanusia trzymając brata za połę biegła przy nim, zadając mu nieustanne pytania.

Wilgotno było i mgławo; gromadce naszéj ciężko i smutno na sercu. Powoli jednak wzgórza po tamtéj stronie lasku uśmiechały się jasnością promieni słonecznych. Wierzchołki drzew zaczęły się wychylać z poza szaréj powłoki, mgła zniżała tuląc się do ziemi i znikła, słońce rzucało snopy złotego światła. Na powitanie jasnych promieni, wróble wesołym świergotem napełniły las, w którym sosny i młode dębczaki w zgodzie cicho drzémały.

Hanusia pierwsza się do słońca rozśmiała.

— Franuś, a pamiętajże jak będziesz panem, żebyś mi z miasta przyniósł galantą chustkę, bo ja wtedy będę już duża.

Stanęli na wzgórku pod krzyżem.

— Patrzajże Franek, tą drogą na lewo dolecisz do bitego gościńca, a potém już on sam zaprowadzi cię do Krakowa. — Bierz się ino od siebie — zabrał głos ojciec.

Matka wybuchła głośnym płaczem, za nią Hanusia, dla towarzystwa pomagała im siostra kuma. Walczak zdjął z siebie tłomoczek, zawdział go na plecy chłopca, podpiął i umocował.

— A bój się Boga, pieniędzy nie wyciągaj z zanadrza przy ludziach — dawał ostatnią radę synowi.

Franuś rzucił się w objęcia matki, pocałował w rękę ojca, Hanusia objęła go za szyję, siostra kuma wsunęła mu w rękę pięć nowych szóstek; żal i strach rozrywał mu serce, lecz nie tracił fantazyi i udawał odważnego.

— Mój Franeczku a piszże, pisz, — abo do profesura, abo do organisty, żebyśmy przecie co o tobie wiedzieli, bo mi się jakieś okropne dziwy zdawać będą i jeszcze mi wkiedy serce z żalu pęknie.

— Napisze, napisze, dobre z niego dziecko— świadczyła kuma.

Chłopak się wyrwał z objęć matki, nasunął czapkę na oczy, aby zasłonić łzy, zbiegł z pagórka na drogę, pokłonił się czapką, zrobił młynka kijem i poszedł oglądając się co parę kroków. Gromadka patrzała za nim, żegnając go błogosławieństwem i znakami krzyża. Matka robiła je ręką w powietrzu. Franuś szedł szparko, chociaż mu tłomoczek ciężył i ramiona uginał.

Na zielonym błoniu biała jego sukmanka zniknęła w świetle i zieleni, tylko czerwony kolor krakuski majaczył, póki go niebieski błękit nie pochłonął. I już nic widać nie było, zieleń i błękit zlewały się w całość. Chłopiec utonął w wielkim świecie. Matka jedna wytężała wzrok i widziała go oczami duszy i wiarą, że dobry Bóg czuwa nad nim.

Przez zielone błonia i lasek olszowy dobił do ubogiéj wioski rozrzuconéj na białym piasku. Smutno tam wyglądali ludzie, blado jak ich piasek. Czuć było pewne pokrewieństwo ziemi téj z ludem na niéj wzrosłym, — uśmiech i piosnka zdawało się zamierały im na ustach.

— Daleko do bitego gościńca? — spytał Franuś stojącéj w drzwiach chaty gospodyni.

— Od krzyża k'sobie pod górę — rzekła. — A gdzież to Pan Bóg prowadzi?

— Do Krakowa.

— Do Krakowa — powtórzyła — i po co?

— Po naukę.

— To niby do szkoły.

— A tak — rzekł z pewną dumą.

— Do Krakowa? — Mam ci tam i ja mego w terminie.

Chłopiec zaciekawiony przystanął.

— Chodźże moje dziecko do chaty, napijesz się mleka, zjesz kawałek chleba to i może wyszukasz Pawlusia. A przyda ci się, chłopak jak iskra, a rozum mu z oczu patrzy.

Poszedł Franuś do chaty, wypił mleka, zjadł chleba i dowiedział się, że Pawluś już dwa lata terminuje u pana majstra szewckiego, co się Karasiem zwie, a siedzi na jednéj z ulic Kleparza. Gospodyni wiedziała jak się nazywa i ulica, cóż kiedy sobie zabaczyła, ale za to w nocy by tam trafiła, boby ją serce matczyne zaprowadziło.

Chłopiec chcąc dać poznać gospodyni że umie pisać, wyjął z bocznéj kieszeni sukmanki książeczkę, wysunął z niéj ołówek i wielkiemi literami wysztychował: Kleparz—Karaś—Pawluś.

— Kiéj ty moje dziecko już piśmienny jesteś, to daleko zajdziesz; no, no — dziwowała się. — Nie zapomnijże napisać listu Pawlusiowi do mnie, do matki, jak się ino zdybiecie. Od wiosny nie wiem co się z nim dzieje, a przecie jestem matka, chłopak okrutny przychlebca i może da Bóg będzie z niego człowiek.

— Napiszę — przyrzekał Franuś. — A gdzież to jest Kleparz?

— Zaraz od siebie, od bramy Floryańskiéj.

Nie miał pojęcia gdzie jest brama Floryańska, lecz ambicya nie pozwoliła mu rozpytywać się o szczegóły.

— Kleparz, Karaś — wołała za nim gospodyni.

Od krzyża na prawo pod górę szedł wolno. Nogi mu grzęzły w ciężkim piasku, lecz myśl biegła do bramy Floryańskiéj, a wśród

tajemniczego Kleparza szukał Pawlusia, któremu z oczu rozum patrzy. Przystawał, pot z czoła obcierał, tłómoczek mu ciężył, słońce paliło, szedł jednak naprzód z odwagą i wiarą. Żądza wiedzy, o któréj nie wiedział jeszcze, popychała go naprzód.

Nareszcie wydobył się z gorącego piasku na bity gościniec, wijący się białą wstęgą po zielonych wzgórzach. Grunta cięższe, zieloność jaśniejsza, bujny wzrost koniczyn i buraków dobrze mówiły o zamożności okolicy. Lud rosły, wioski liczne i chaty duże, kominy murowane, obok chat głośne rozmowy i śmiechy rozochociły chłopca. Rozglądał się, ludzi witał i cieszył się wesołością zrodzoną w sercu i przed oczami jego drgającą w powietrzu.

O zachodzie słońca zmęczony przystanął przed karczmą, namyślając się: wejść i odpocząć czy téż iść daléj. W téj chwili zgrabny powozik zaturkotał, woźnica skręcił i zajechał przed karczmę. Młody pan wysiadł, piękna pani została w powozie.

Franuś wszedł do karczmy, zdjął z pleców tłómoczek, położył go na ławie i usiadł przy oknie rozglądając się po izbie, w któréj zgromadzeni ludzie ustępowali się młodemu panu.

Młody pan zobaczył nieśmiałego chłopca.

— A gdzież to? — zagadnął go.

— Do Krakowa — odpowiedział Franuś.

Żyd karczmarz dawał chłopcu znaki, aby powstał i czapkę zdjął. Młody pan widział usiłowania żyda, lecz Franuś zajęty rozmową nie zwrócił na nie uwagi. Młodemu panu zdawało się, że nie chciał.

— I po co? — indagował chłopca ostro.

— Po naukę— odpowiedział Franuś.

— A jak się nauczysz, to będziesz wykrzykiwał na panów, pisał na nich po gazetach paszkwile, spotwarzał ich.

— Nie wiem—szepnął chłopiec, nie rozumiejąc o co idzie.

— Wiesz ty dobrze — zawołał pan.

Ludzie zgromadzeni w karczmie zaczęli się śmiać.

— To już taka jaśnie panie chłopska natura — odezwał się żyd schlebiając panu.

Ludzie zaczęli się coraz głośniéj śmiać.

— No cóż, nic nie odpowiesz panu?— zapytał żyd.

Urażony chłopiec napaścią odpowiedział śmiało:

— Ja się chcę uczyć, a potém co będzie, to będzie.

Powstał szmer w karczmie. Żyd wyraził swoje zgorszenie przyciszoném „aj waj.“

Oburzony młody pan zuchwałością chłopca pochwycił go za ucho. Chłopiec się szarpnął gwałtownie.

— To na pamiątkę — zawołał — żebyś wiedział, że się nie kąsa ręki, która was głaszcze — rozśmiał się i wyszedł.

Chłopiec zbladł, pięście zacisnął, lecz nie śmiał się ruszyć. Śmiech ludzi potęgował jego gniew. Żyd zaczął mu dogadywać.

— Widzisz, należało czapkę zdjąć, pocałować pana w rękę.

Piękna pani słyszała z powozu rozmowę swego męża zakończoną tak dowcipnie. Widziała również pięści zaciśnięte chłopca i łzy w jego oczach, i może dlatego szepnęła do męża parę słów po francusku.

Młody pan wyjął z portmonetki srebrnego guldena, zbliżył się do okna i rzucił go na stół.

— Weź to sobie jako plaster na ucho.

Chłopiec patrzał na srebrnego guldena. Blady z nasuniętemi brwiami.

— A weźże — szeptali ludzie.

— Nie bądź głupi, zabieraj i ucałuj pańską rękę, co choć czasem wybije, to przecie sto razy za to zapłaci — radził żyd.

W odpowiedź żydowi, chłopiec pochwycił guldena i rzucił przez okno. Pieniądz zadzwonił po bruku zataczając się pod koła powozu. W karczmie zrobiło się cicho, młody pan wsiadł do powozu i zawołał na stangreta „ruszaj!“

Konie ruszyły i elegancki powozik wiozący młode małżeństwo znikł na zakręcie drogi.

W karczmie powstał gwar podziwu dla dzielnego chłopca, który się nie dał nawet tak wielkiemu państwu.

— Alboś ty bardzo głupi, albo zajdziesz daleko — zawyrokował arendarz, przynosząc mu szklankę piwa i pszenną kukiełkę.

— Prędzéj to drugie — mówili ludzie, spoglądając na chłopca z pewnym szacunkiem i sympatyą.

Uśmiechnął się dumnie Franuś i zabrał się do podwieczorku. Powoli zaczęli się do niego zbliżać naprzód ciekawe gospodynie, za niemi gospodarze rozpytując się skąd pochodzi, gdzie idzie. Wywiązała się pogwarka o Krakowie, każdy radził na swój sposób, a wszyscy najlepiéj znali Kleparz. O Kleparzu rozpowiadano długo i dużo. Chłopiec słuchał, ośmielał się, zadając ludziom pytania.

Arendarz za pięć centów gotówką pozwolił mu przespać się na ławie. Chłopiec położył tłómoczek pod głowę i zasnął za chwilę. We śnie majaczała mu muzyka, basy brzęczały. Co się obudził, popatrzał na zadymioną izbę natłoczoną ludźmi, zamykał oczy i sen wracał.

Przez wycięte w okienicach serca przedzierały się promienie słońca padając na twarz chłopca. Zbudził się, przetarł oczy, rozejrzał po pustéj izbie, tłómoczek zarzucił na plecy i wyszedł kąpiąc się w porannéj mgle.

Odetchnął głęboko; rozśmiała się w nim młodość, radowała nadzieja. Szedł bitą, białą drogą opasującą wzgórza.

Przypomniał sobie ojca, łzy w oczach matki, jéj wyciągnięte nad nim ręce. Rzewne te obrazy wzruszały go i rozrzewniały. Wstrząsnął się cały, dreszcz go przeszedł niepewności i obawy....

— Pawluś — szepnęła mu myśl rozpogadzając zachmurzoną twarz. Siadł na schodach murowanéj kapliczki, rozwiązał tłómoczek i zabrał się do śniadania.

Idące drogą kobiety witały go, odpowiadał im wesoło i uśmiechał się na ich żarty.

Słońce mknąc w górę złociło świat, wypijało rosę z łąk i trawników. Gorąco się robiło; zmęczony chłopiec przystawał, opierał się o drzewa, rozglądał. Smutno mu było samemu, tęsknił za matką i wioską i gdyby nie nadzieja nauki wróciłby pewno.

Wysoki mur z po za którego wyglądały wielkie rozłożyste drzewa ciągnął się obok drogi, w środku wznosiła się żelazna kratowana brama. Spojrzał przez nią w głąb ogrodu, oczy wytrzeszczył i usta na pół odchylił.

W głębi białe ściany murowanego dworu stroiły ciemno zielone liście winogradu. Na ganku towarzystwo złożone z dzieci i osób starszych, bawiło się wybornie koziołkami młodego chłopca w trykotach i śpiewem dziewczynki w czerwonéj spódniczce, pobrzękującéj tamborinem, gdy ojciec jéj rosły, barczysty, z siwiejącą brodą żyd przygrywał na skrzypcach, wyśpiewywała żydóweczka przy akompaniamencie skrzypiec starego. W dalszym ciągu następowały łamane sztuki chudego chłopca na dywaniku rozłożonym na murawie.

Dzieci klaskały w ręce, starsi się śmiali, strofka po strofce wybiegała piskliwie z gardziołka dziewczynki, żyd wygrywał z wrastającą namiętnością, chłopiec zażądał do swych sztuk stołka.

Przypatrujący się Franuś zapomniał o wrodzonéj nieśmiałości, przeszedł bramę, dotarł do krzaków bzu, usiadł i słuchał zapatrzony. Śpiew dziewczynki czarował go— sztuki chłopca zachwycały. Okazały dwór, kwiaty, zielona murawa i stare na niéj modrzewie przygniatały go swą wspaniałością.

Po wielu wysiłkach śpiewu, akrobatycznych skokach i grze na skrzypcach starego żyda zakończono przedstawienie mimiczną pantominą. Żydóweczka pochwyciła cynowy talerzyk służący do sztuk

chłopcu i pobiegła z nim na ganek. Posypały się na talerzyk dziesiątki, a wśród nich padł z brzękiem świecący srebrny gulden. Brzęk i widok białego srebra wywołał rumieniec na twarz dziewczynki i uśmiech szczęścia. Ojciec jéj za każdym datkiem kłaniał się z godnością rabina i oblizywał nieznacznie, chłopiec w trykotach stanąwszy na stołku patrzał ciekawie.

Dziewczynka z tryumfem zchodziła po kamiennych schodach, wzrok jéj padł na białą sukmanę Franusia, podbiegła do niego nadstawiając talerzyk. Chłopiec zarumienił się jak wiśnia, wyjął z kieszeni czterocentową sztukę i położył ją na cynowym talerzu.

— Dziękuję — szepnęła dziewczynka dygając zgrabnie.

— Mamo, ten chłopiec także dał coś żydóweczce — wołały dzieci, i oczy wszystkich zwróciły się na Franusia.

— Chodźno tu — zawołał na niego pan domu.

— Idź, idź — zachęcała go żydóweczka.

Franuś się wahał.

— Śpiesz się kiedy pan woła — dodał żyd.

Na rozkazujący ton żyda chłopiec się odwrócił i poszedł za bramę.

— I dlaczegóżeś uciekł? — pytała go żydóweczka za bramą na drodze — możebyś co dostał?

— Ja nic nie chcę — odparł z godnością Franuś.

Żyd potrząsł głową, przez usta przemknął mu uśmiech szyderstwa nad głupotą młodego goja, lecz milczał.

Chłopiec w trykotach wyjął z podróżnéj torby długi płócienny surdut, wdział go na rękawy, zapiął się, czapkę nasadził na bakier i z powagą wielkiego artysty zaczął zwijać papierosa i spluwać z szykiem miejskiego kawalera.

— Gdzież ty idziesz smyku? — rzucił pytanie zwracając się do Franusia.

— Do Krakowa.

— To pójdziemy razem — zawołała dziewczynka.

Żyd kiwnął głową na znak, że podziela projekta córki.

— Po-co? — zawołał akrobata.

— Uczyć się — odpowiedział cicho.

— A któż cię będzie żywił—co? Myślisz że w mieście darmo dają jeść.

— Przecież mam za co się wyżywić— odparł z dumą chłopiec.

— To tak gadaj—zawołał akrobata puszczając z fantazyą dym z papierosa.

Ojciec z córką zmienili znaczące spojrzenia. Żydóweczka zbliżyła się do chłopca, towarzystwo zamilkło idąc razem. Promienie słońca paliły, gorąco zapierało oddech, a droga wiła się pod górę.

— Ciężko ci—odezwał się chłopak w trykotach do Franusia— daj to ci ulżę. I pomimo mrugań i znaków żydóweczki, aby Franuś nie dawał, akrobata przeniósł tłómoczek chłopca na swe barki.

— Dla czego ty nie niesiesz naszéj torby— odezwała się z wymówką mała.

— Bo mi się nie podoba — odpowiedział zwięźle.

— To i memu staremu ojcu się nie podoba.

— Ale musi, bo to jego — rozumiesz. Nie godziłem się do noszenia torby.

Zamilkli oboje, tylko żyd westchnął głęboko, aby zamanifestować się jako ofiara.

Na samo południe dobili nad Rabę, przeszli wiszący most i wkroczyli w podwoje gospody usadowionéj na wspaniałym rynku miasta Gdowa.

— Dawać mi moje — rzekł ostrym tonem do żyda akrobata, rzucając na ławę tłómoczek Franusia.

— Czy to już się dzień skończył — odparł żyd.

— Ale się skończy, a jeść się chce.

Żyd się namyślił, podrapał w głowę i zaczął wyjmować z głębokiéj kieszeni szóstka po szóstce, kładąc je rzędem na stole. Gdy ich było pięć westchnął, a chłopak zgarnął pieniądze.

— Piwa, bułek — zawołał. — Chcesz kiełbasy, to dawaj dwie szóstki — zwrócił się do Franusia.

Chłopiec bał mu się sprzeciwiać i dał mu dwie szóstki. Akrobata wybiegł z niemi.

— I cóżeś zrobił—zawołała żydóweczka— sam wszystko zje.

Wrócił akrobata z trzymaną w ręku kiełbasą, rozłamał ją, podając jedną połowę chłopcu.

— I dla tego małego smyka kufel piwa i dwie bułek — wołał na karczmarza.

— Jedz, pij i baw się, póki masz za co — mówił wesoło uderzając lekko pięścią w kark chłopca.

Franuś zachęcony, a po części zteroryzowany jadł, pił, zazdroszcząc pewności siebie i rozkazującego tonu artyście.

Ojciec z córką usunęli się na bok, zabierając się również do śniadania składającego się z jednéj bułki, dwóch jaj i małéj szklanki piwa. Żyd jadł wolno, upijał po kropelce ze szklanki i słuchał opowiadań dziewczynki w szwargocie żydowskim, głową kiwał, dziwiąc się rozumowi córki, któréj szczebiotliwa wymowa, pełna zapału, podobna była świergotowi ptaków.

Artysta zawołał arendarza, zapłacił za swoję część, spojrzał na żyda i dziewczynkę, uśmiechnął się tryumfująco, rozciągnął na stole karczmy i wkrótce zwycięsko zachrapał.

Widocznie artystyczne chrapanie ośmieliło dziewczynkę bo przybiegła do Franusia, pociągnęła go za rękaw sukmanki i palcem przywołując wyprowadziła na ulicę. Ojciec poszedł za nią.

— Ty się z nim nie wdawaj — mówiła żywo pokazując oczami na karczmę. To łajdak, on by cię okradł do nitki i cóżbyś mu zrobił.

— To łajdak — poświadczył poważnie żyd.

— Nas się trzymaj. Tobie z oczu patrzy żeś ty dobry chłopiec— pogłaskała go ręką po twarzy. — My ci krzywdy nie zrobimy.

Chłopiec głaskany przez żydóweczkę zarumienił się.

— A jaki on mocny — zawołała.

Akrobata stanął w oknie.

— I mogę ci kości połamać — wrzasnął.

Dziewczynka przytuliła się do ojca.

— Wierz żydom — zwrócił się do Franusia — a wyjdziesz tak jak ja.

— Cóż ci to za krzywda — odparła z godnością żydówka.

— Okradacie mnie, moję pracę, moję sztukę, wodzicie ze sobą jak psa na łańcuchu, abym dla was zarabiał. Ssiecie moję krew.

— Kto cię trzyma — odezwał się żyd. — Zdejmuj trykoty, bierz swoje łachmany i idź zkądeś przyszedł.

— To dawaj piątkę odczepnego.

— A, a — wydobył się przytłumiony wykrzyknik z piersi grozą przejętéj dziewczynki.

— Pięćdziesiąt nędznych centów na dzień, to i pierwszy lepszy chłop tyle zarobi — mówił daléj.

— A tyś kto? — spytał dumnie żyd.

— Ja jestem sztukmistrz, rozumiesz i gdyby nie ja, cóżbyście swoim bekiem zarobili?

— Zarobilibyśmy tyle co z tobą — odparła dziewczyna.

— Spróbujcie.

— Niech cię o to głowa nie boli.

— Kiedy nie boli, to zobaczycie podłe plemię.—Zostajesz z żydami, czy idziesz ze mną? — rzucił ultimatum Franusiowi.

— Nie chodź — zawołała żydówka.

Franuś od chwili poznania czuł niechęć do akrobaty i głową skinął że zostanie.

— Oddawaj ubranie — odezwała się groźnie dziewczyna.

— Jeszcze słońce nie zaszło — głupia! Zrzucił płócienne okrycie, nastroszył kędzierzawą czupryne, podciągnął trzewiki i przez okno dostał się na drabinę prowadzącą na szczyt dachu karczmy.

— Hej! hajsa! chodźcie, patrzcie i dziwujcie się — wołał stojąc na kominie, zwinął dłoń i zaczął na niéj trąbić.

Dzieci i starzy wylegli przed karczmę. Akrobata stanął na rękach, wywijając nogami.

Okrzyk podziwu i przerażenia wydobył się z piersi zgromadzonego tłumu. Żyd, żydóweczka i Franuś zdumieni patrzali.

Sztukmistrz w koziołkach zsunął się z drabiny witany wesołemi okrzykami. Z dumą przeszedł obok trójki naszych znajomych, ciągnąc za sobą tłumy na placyk okryty murawą.

Dziewczyna szepnęła do ojca, żyd pobiegł za nim.

— Jędrek nie rób głupstw, bo ja cię do burmistrza zaprowadzę.

Jędrek rozśmiał się szyderczo.

— No dorzucę ci jeszcze dwie szóstek i zaczynajmy.

— Dawaj papierka.

Żyd chwycił się za głowę.

Ludzi coraz się więcéj gromadziło.

— Pokażę wam sztuki i komedye jakicheście jeszcze nie widzieli. Ustąpcie się, do koła stanąć—róbcie koło—krzyczał Jędrek.

— Pięć szóstek,—szepnął mu żyd.

— Ani dziewięć.

Blady wydobył z kieszeni srebrnego guldena i oddał go—ręka mu drżała.

— Już go żyd kupił,—szeptali ludzie.

— Na co by się żyd nie złakomił,—mówili drudzy.

Za ojcem postępowała dziewczyna. Kazała się prowadzić pod rękę Franusiowi.

— Masz białą sukmanę i krakuskę a ja czarny haftowany gorsecik, to dobrze będziemy pasować.

Chłopiec nie śmiał odmówić, chociaż się wstydził iść razem z żydówką.

Przedstawienie się zaczęło, akrobata wywijał koziołki, żyd grał na skrzypcach, dziewczynka śpiewała, wstrząsała tamborinem bębniąc po niem chudą, opaloną ręką. Lud się bawił, śmiał, lecz skąpo grajcary wyrzucał.

Po godzinnéj pracy odbito zaledwo papierka z dwoma szóstkami zarobku.

— Dwie szóstek,—powtarzał z boleścią żyd,—dla nas tylko dwie szóstek a dla niego całego guldena. Obcierał twarz rękawem chałata i wzdychał.

Akrobata w odpowiedź śmiał się dziko, dziewczynka z oburzenia zaciskała pięści.

Franuś w téj chwili znienawidził sztukmistrza. Nie mogąc znieść jego dzikiego śmiechu, odwrócił się z oburzeniem,

Smutnie opuścili Gdów—tylko akrobata zdradzał wyborny humor. Nasadziwszy czapkę na ucho, ręce włożywszy w kieszenie, gwizdał wesoło piosnki idąc naprzód.

Szli w milczeniu, Franuś dźwigał swój tłómoczek, żyd torbę—dziewczynka pobrzękiwała tamborinem. Raba zaszumiała, droga się wyciągnęła poziomo długim, białym pasem. Akrobata gwizdał, tamborino w ręku dziewczyny samo brzęczało, a rzeka rzewnie szumiała. O zachodzie słońca dotarli do Dobczyc, roztasowując się obozem w jednéj z karczem umieszczonych na rynku.

— Temu łajdakowi,—szeptał żyd do córki, trzeba w nocy zabrać nasze trykoty, oddać jego łachmany i niech idzie na złamanie karku.

— Niech idzie,—powtórzyła córka.

Akrobata tymczasem zabawiał się w karczmie. Chcąc od jednego zamachu olśnić widzów postawił na czole szklankę piwa—położył się z nią, powstał przesunął przez siebie obręcz i dopiero wypił duszkiem przy hucznych oklaskach.

Późno w noc czaił się żyd do miejsca obranego na nocleg przez młodego artystę, niosąc pod pachą cywilne jego ubranie. Wyciągnął rękę w ciemnościach pomacał, lecz nic nie znalazł. Zaświecił zapałkę, obejrzał się—nikogo nie było. Jęknął z boleści, zapałka zgasła—ogarnęła go znowu ciemność i rozpacz.

— Okradł mnie i uciekł, powtarzał załamując ręce.

Nazajutrz rano skarżył się, wołał o sprawiedliwość, lecz nikt akrobaty nie widział. Franuś był uradowany tym wypadkiem, odetchnął swobodnie i gdy żydówka z całą namiętnością jéj rasie właściwą przeklinała młodego łotra, odezwał się do niéj.

— Może i lepiéj się stało, że uciekł.

— Co ty gadasz,—wrzasnęła.

— Bo i bez niego damy sobie radę.

— A nasze pieniądze za jego nowe trykoty—wołała pełna gniewu.

— Poradzicie sobie jakoś.

— Daj mu pokój,—szepnął stary do córki—ten młody goj nie rozumie co to pieniądz znaczy. Na to trzeba być żydem.

Akrobata przepadł bez wieści jak kamień w wodzie,—trójka naszych znajomych poszła drogą ku Wieliczce. Grywała, po domach, odpoczywała w karczmach. Żydóweczka opanowała Franusia i przewodziła nad nim swoim sprytem i przytomnością.

IV.

Drugiego dnia wieczorem stanęli na moście podgórskim. Wisła głucho jęczała — na galarach ognie migotały a nad Krakowem w górze świeciła czerwona łuna, odbijająca się od ciemnych chmur.

Franusiowi serce zaczęło bić—patrzał rozwartemi szeroko oczami na krzyżujące się wozy i potrącających się ludzi. Miejski gwar, szum Wisły, nawoływania flisaków i przekleństwa woźniców—ogłuszyły chłopca.

— Czy ty wiesz, że już jakbyśmy byli w Krakowie szepnęła mu dziewczynka.

Chłopiec skinął głową, lecz nic nie odpowiedział.

— Trzymaj się mnie, bo jeszcze się gdzie zgubisz.

Franuś przysunął się do niéj.

— No i cóż cieszysz się, żeś już przyszedł. Żeby nie my, Bóg wie, coby się z tobą stało. O rabusiów i łajdaków jak Jędrek nie trudno.

Chłopiec milczał.

Minęli rogatkę idąc zwolna przez główną ulicę Kazimierza wśród natłoczonych sklepów, ciżby ludzi i wrzawy. Franuś widział tylko samych żydów, słyszał ich szwargot, przestraszył się—zwalniał kroku, przystawał. Dziewczyna wzięła go za rękę i ścisnęła, aby go oprzytomnić. Chłopcu się zdawało, że go prowadzą na zatracenie, lecz nie miał odwagi i sił opierać się, nie umiał sobie radzić, zwątpił i poddał się. Charakter słowiański zapanował nad nim.

— Czy to Kraków,—szepnął do dziewczynki.

— Nie to dopiero Kazimierz—nasze miasto, dodała dumnie. Przecież widzisz samych naszych.

— Daleko do Krakowa,—zapytał.

— Kazimierz jest w Krakowie.

Żyd skręcił w ciasną, niebrukowaną uliczkę. Z jednéj strony ciągnął się parkan zbity z desek, z drugiéj małe, pochylone drewniane domki. Widocznie od starości o własnych siłach nie mogły się utrzymać. Wspierały się wzajemnie bokami, pochylały naprzód, garbiły. Franuś mało co widział,—smutek mu ciężył kamieniem na sercu, ponure myśli obsiadły mózg. Prowadzony przez żydóweczkę szedł machinalnie, nie myśląc nawet o ucieczce i ratunku.

Stanęli przed jednym z domków. Okna jego dotykały niemal ziemi, dach wychylał się, wyglądając ciekawie na ulicę. Drzwi wązkie i niskie rozdzielały domek na dwie połowy, po jedném z każdéj

strony okienku. Żyd zastukał,—głos z wnętrza odpowiedział mu szwargotem, zaskrzypiały drzwi i w cieniu sieni zarysowała się postać staréj żydówki.

— Chodź, to nasz dom, a to nasza komornica—rzekła dziewczynka, prowadząc za rękę chłopca.

Z sionki przeszli do małéj izdebki zapadniętéj w ziemi,—stara żydówka świeciła.

Mocny zapach stęchliny uderzył chłopca—ciężko mu było oddychać. Wystraszony patrzał do koła, stara żydówka i żyd żywą ze sobą prowadzili rozmowę.

— Zdejm tłómoczek i siadaj, nie bój się, tu ci włos z głowy nie spadnie, mówiła żydówka.

Chłopiec w milczeniu zdjął tłómoczek, położył go na ziemi i usiadł na drewnianym stołku przy oknie.

Na stole paliła się świeczka w mosiężnym lichtarzu, naprzeciw drzwi stało łóżko przykryte pierzyną, obok niego komoda i sofka z zapadniętem dnem.

— Jakże ci się podoba nasze mieszkanie,—zagadnęła chłopca, patrząc mu w oczy mała.

— Duszno,—rzekł chłopiec.

— Głupi jesteś, odparła,—jutro się okno otworzy i nie będzie duszno.

Żyd usiadł z drugiéj strony stołu.

— Słuchajno Franek, rzekł poważnie, możebyś ty u nas mieszkał...

— Co?—pytała ciekawie dziewczynka.

Chłopiec się zarumienił.

— Ja z córką jestem cały dzień za domem.

— A ty będziesz jak pan sam jeden,—dodała. Będziesz miał dosyć czasu na twoję naukę. I cóż,—nalegała.

— Nie wiem-odpowiedział nieśmiało.

— A któż będzie wiedział,- rzekł żyd.

Chłopiec się wstydził mieszkać u żydów, lecz czuł żeby mu tu było dobrze.

— Może myślisz, że my cię zedrzemy—dodał żyd. A ty tylko dasz dwa papierki na miesiąc.

Córka przerwała żywo ojcu i zaczęła się gorąca dyskusya szwargotem, z któréj Franuś nie zrozumiał ani jednego wyrazu.

— No, no—zwróciła się do chłopca,—nie bój się daj papierka i zostań. Ale musisz sobie sprawić siennik, bo koc do przykrycia to my ci damy.

Franuś w milczeniu zgodził się, żyd nie protestował, kazał chłopcu dać dwadzieścia centów i wyszedł, aby kupić wiktuałów na dzisiejszą ucztę.

Wiesz co Franuś,—odezwała się niespodzianie dziewczyna budząc się z zamyślenia, szkoda, że ty nie jesteś żydem.

Rozśmiał się chłopiec naiwnie, nie rozumiejąc o co idzie.

— Albo co?—zapytał.

— Lepiéj by ci było na świecie. Przysunęła się do niego.

— Lepiéj—powtórzył zdziwiony.

— Lepiéj, mówiła serdecznie, uśmiechając się. O i dużo lepiéj,—zaczęła go ręką głaskać po twarzy. Zostałbyś z nami już na całe życie. Ojciec nauczyłby cię sztuk, chodziłbyś z ojcem po świecie, zarabiałbyś—dużo—i dobrzeby nam było.

— Dobrze?—powtórzył bezwiednie zarumieniony od pieszczotliwych głaskań dziewczyny. Oczy zaświeciły mu dziwnym blaskiem. Spojrzeli na siebie, drobna ręka żydówki zadrżała.

— Franuś,—szepnęła, czego się ty tak na mnie patrzysz. Zamruż te twoje ślepia.

Zaskrzypiały drzwi od sieni—dziewczyna odskoczyła od chłopca, rzucając się do torby podróżnéj, z któréj zaczęła wyjmować manatki. Franuś oparł głowę na ręku udając zamyślonego.

Wszedł żyd—postawił na stole butelkę piwa, śledzie w papierze i bułki, przywołał córkę i zabrano się do wieczerzy ze spokojem i powagą. Żydówka była zamyślona, ojciec odpoczywał z rozkoszą próżniaka, który musiał pracować—Franuś roztargniony, wodził do koła oczami i myśli zebrać nie mógł.

— Spać—rzekł ojciec.

Dziewczyna pokazała oczami Franusia. Chłopcu mimowoli zaczęło serce bić ze strachu.

— Ty pójdziesz do izby jeszcze nie najętéj. Jest tam łóżko i siennik,—zawyrokował żyd.

Chłopiec chciał wziąść tłómoczek.

— Zostaw,—zawołała,—choćby tam było złoto, nikt ci go nie ruszy. Pochwyciła świeczkę ze stołu otworzyła drzwi, prowadząc chłopca za rękę—przez wąską, pełną wyboi sionkę.

Skrzypnęły drzwi, dziewczyna weszła naprzód oświecając małą, wąziutką izdebkę, w któréj łóżko zajmowało połowę miejsca. Powybijane w oknie szyby odświeżały powietrze.

— To tu?—spytał Franuś.

— Tu, rzekła z dumą, tu—będziesz spał jak król. A śpij dokąd chcesz, bo jutro u was święto. Postawiła świeczkę na oknie i zaczęła poprawiać siennik na łóżku, aby w nim zniwelować do-

ły. Chłopiec patrzał na izdebkę, łóżko i dziewczynę prawie bezmyślnie.

— No cóż Franuś,—przecie i u żydów jest nieźle—prawda?

— Prawda, szepnął—dziewczyna wzrok czarnych swych oczu zatopiła w chłopca.

— Sali, zawołał żyd z sionki szwargotem,—zostaw go i chodź, a niech da na śniadanie dziesięć centów.

Sali pod wpływem nieokreślonego dla niéj uczucia, nie śmiała wyciągać od chłopca dziesięciu centów, sięgnęła do kieszonki, wyjęła srebrny pieniążek, ścisnęła go w dłoni, pochwyciła świeczkę i szepcząc:

— Dobranoc ci—śpij póki cię nie zbudzę,—wybiegła.

Chłopiec został sam w ciemnościach. Strach podnosił mu włosy na głowie—nie śmiał się ruszyć,—złowrogi szwargot żyda przerażał go. Słyszane historye o zabójstwach popełnianych przez żydów, przesuwały się przed wzrokiem jego duszy. Po chwili zebrał odwagę i na palcach zbliżył się do okna—otworzył je, wychylił głowę i spojrzał w górę. Na błękitném niebie świeciły jasno gwiazdy,—uroczysta cisza panowała w naturze. Powoli pocichu wyszedł przez okno na małe podwórko i nareszcie odetchnął głęboko całemi piersiami. Czuł się uratowany—uśmiechnął się nawet,—obejrzał do koła.

Dwie niewielkie komórki na drzewo i nizki parkan otaczały dziedzińczyk. Podszedł pod parkan, spiął się na palcach, ujął rękami krawędź pierwszéj deski i wytężając siły, przesunął się na drugą stronę.

Rad ze swéj zręczności i odwagi stanął na wąskiéj i niebrukowanéj uliczce i obejrzawszy się bojaźliwie pobiegł pocichu przed siebie. Za chwilę znalazł się na szerokiéj ulicy oświeconéj długim rzędem lamp. Żywéj duszy,—żal mu się zrobiło tłomoczka i Salki, chociaż o tém nie mówił przed samym sobą.

Zadudniało po kamiennych płytach—o uszy chłopca odbił się odgłos biegu dwóch ludzi. Nie widział ich i tém się więcéj przestraszył. Spłoszony wrócił na wąską uliczkę, zatrzymał się przed chatą żyda i skradając się zajrzał do okienka. Po chwili wpatrywania, zobaczył na łóżku pod pierzyną śpiącego żyda, na sofce Salkę—pod ścianą nietknięty tłomoczek. Serce mu zabiło radośnie, strachy i widma wobec rzeczywistości uleciały od niego. Wrócił przez parkan na dziedzieńczyk, otwartem oknem dostał się do izdebki, rzucił się na łóżko i zasnął.

— Ty śpiochu wstawaj,—wołała z uśmiechem Salka, stojąc przy łóżku chłopca. Ojciec już poszedł za geszeftami, a ja się ciebie nie mogę doczekać ze śniadaniem.

Rozespany chłopiec, na pół nieprzytomny, ujął za rękę dziewczynkę i pocałował zwyczajem wiejskim.

Płomienie buchnęły na jéj twarz. Nikt jéj jeszcze w rękę nie pocałował. Żydówek po rękach nie całują. Uczucie dumy i radości opanowało ją. Położyła dłoń na czole chłopca.

— Franuś! ja nie wielka pani, ani twoja matka, co ty mnie w rękę całujesz.

— Ale ty dobra jesteś Salka,—odpowiedział i cały zarumieniony ukrył twarz w słomę siennika.

— Chodź, chodź—szeptała mu do ucha,—masz mleko i bułkę, ja dziś funduję,—bo ja cię nie chcę obdzierać—rozumiesz.

— Przyjdę,—szepnął.

— Śpiesz się.

Po odejściu dziewczynki zerwał się, umył pod studnią i odświeżony wszedł do izby. Do ostatniéj szuflady komody Salka przekładała jego bieliznę z tłomoczka, książki leżały na komodzie.

— Franuś to twoja będzie szuflada—tłómoczek się schowa. A teraz pij mleko i jedz bułkę—to dla ciebie. Po śniadaniu pójdziemy na miasto.

— Do Krakowa.

— Na rynek—gdzie chcesz.

— I na Kleparz.

— O to daleko, ale i tam polecimy—ja znam całe miasto—zobaczysz.

Wyszli,—chłopiec stanął przed kościołem.

— Chodź jeżeli chcesz—zdecydowała mała.

— I ty—spytał zdziwiony.

— Abo mnie to nowina kościół, rzekła,—żebym tyle setek miała.

— A kiedy tak, to ty przejdź na naszą wiarę.

— Jakiś ty głupi,—odparła—cóż ty masz, te trzy koszul w tłómoczku i parę papierków w kieszeni. Ojciec mnie wygna, żydzi przeklną i z czegóż będziemy żyć?

Chłopiec zawstydzony nic nie odpowiedział.

Weszli do kościoła,—organy, muzyka i śpiewy, zapalone świece, dym kadzideł, ubiory księży nastrój uroczysty i wspaniały, opanowały umysł dziewczynki — ukorzyły chłopca. Stali długo oparci o filar — Ksiądz odwracając się od oltarza przeżegnał lud, zrobił się szmer w kościele—żydóweczka wystraszona pochyliła głowę.

— Chodźmy,—szepnęła ciągnąc za sukmankę chłopca.

Wyszli.

— Ładnie?—spytał się z dumą Franuś.

— Tak, — odpowiedziała, ale teraz musisz iść do bóżnicy. Nie wypędzą cię. Mnie nie wolno, ale cię zaprowadzę. Nie bój się — włos ci z głowy nie spadnie.

— I pocóż?

— Po nic, — tak sobie. Ja tego chcę, — dodała z mocą i ująwszy go za rękę poprowadziła.

Stanęli przed potężnych rozmiarów owalnym budynkiem.

— Idź tam prosto w te drzwi, rzekła popychając chłopca.

— Kiedy ja nie chcę.

— Musisz!—zawołała—bo inaczéj nie pokażę ci miasta. — Czego ty się boisz?

Steroryzowany poszedł; drzwi były na pół odchylone, wszedł cicho, zdjął czapkę i patrzał bojaźliwie na ołtarz, dziesięcioro Bożego przykazania, wielkie świeczniki i modlących się żydów w futrzanych czapkach, okrytych śmiertelnemi koszulami. Cisza, przerywana szmerem pacierzy, białe z czarnemi pasami okrycia, zarzucone na ramionach żydów i ich duże czarne i białe brody, ponuro oddziałały na umysł chłopca. Zaczął się lękać tych poważnych żydów i ich Boga.

— Wdziéj czapkę — rzekł jeden z wchodzących.

Franuś nie wdział czapki, lecz wymknął się z bóżnicy. Salka czekając na niego siedziała na schodach.

— Widzisz, że i u nas jest kościół i u nas się modlą, a jak śpiewają, tylko idź tam w szabas. — No cóż? — gadaj.

Lecz chłopiec pod wpływem niewytłómaczonego strachu i wstrętu do śmiertelnych koszul, nie mógł się zdobyć na odpowiedź.

— Gadaj! — zawołała Salka.

— Ładnie — rzekł nie chcąc się narażać—ale nie tak jak w naszym kościele.

— Pójdziesz w szabas, to dopiero zobaczysz.

— Teraz to już przecie zaprowadzisz mnie do miasta—przerwał.

Poszli przez Stradom, Grodzką ulicę, rynek do bramy Floryańskiéj. Salka pokazywała mu wielkie gmachy mówiąc:

— Patrz to są szkoły. Albo tu, albo tam będziesz chodził.

Franuś patrzał zdziwiony z pewnym szacunkiem i dumą na okazałe budynki.

— A gdzież Kleparz? — pytał.

— Patrz — pokazała mu ręką — te domy, te ulice, to wszystko Kleparz.

Chłopiec przypomniał sobie Karasia szewca i Pawlusia.

— Kupmy sobie piernika — zaproponowała dziewczyna.

— Dobrze, ale mi się jeść chce i nie wiem, gdziebym co ciepłego zjadł.

— Ciepłego... Wiem wybornie. Ja nie mogę tego jeść, bo to trefne, ale ty... chodź, chodź, zaprowadzę cię.

Biegła przez planty, Franuś przy niéj. Za parę chwil z po za zielonych drzew wynurzył się Szczepański plac, pełen straganów, gwaru kupujących i nawoływań przekupek. Dzieci przeciskały się przez tłumy, żydóweczka naprzód, za nią głodny chłopiec.

— Tutaj — szepnęła do chłopca, zatrzymując go przy studni.— Zaczekaj, ja ci wytarguję, i wysuwając się naprzód, zagadnęła otyłą o granatowéj twarzy przekupkę.

— Wiele kosztuje — wskazała palcem — ta miseczka rosołu z grochem, kartoflami i kawałkiem mięsa.

— A ty mała parszywko nie wiesz, że to świńskie ucho,— a wara ci od tego!

— Ja tego nie chcę dla siebie — odparła z pewném obrzydzeniem — tylko dla tego chłopca.

— Czego on sam nie mówi? — Ośm centów.

— Sześć, wszyscy jedzą po sześć. Jeżeli nie chcecie po sześć pójdziemy daléj. — Za ośm to z bułką albo chlebem — mówiła mała zapalając się. — Ośm!? a na Podgórzu dostanę za cztery.

— Za dużo ujadasz, ty żydowskie plemię.

— Bo mówię za sprawiedliwością.

— Patrzajcie, żydówka sprawiedliwością buzię sobie wyciera. Nie skaranie to boskie.

— Proszę pani o jedną miseczkę — rzekł łagodnie zbliżając się Franuś.

Gdy Salka ująwszy się pod boki, gotowała się do stanowczéj odpowiedzi, przekupka nalała z kotła wielką warząchwią rosołu do glinianéj miseczki, dodała grochu i kartofli i podała chłopcu.

— Siadaj tu pod studnią, masz i bułkę, płać ośm centów, a nie zadawaj się z żydami.

Dziewczynka postawiła na swojém, utargowała dwa centy i z pewnym tryumfem siadła na wystawie studni. Franuś zajadał z chciwością, bułkę podał dziewczynce. Salka tylko połowę zatrzymała dla siebie, a drugą wdrobiła do rosołu chłopcu.

— Proszę pani jeszcze o jednę miseczkę—rzekł Franuś podając sześć centów.

— Tak ci smakuje—mówiła udobruchana przekupka.—No, no, to z ciebie jakiś dobry chłopak.

— On idzie do szkoły — odezwała się Salka.

— Głupi, lepiejby zrobił, żeby do terminu poszedł. Bo czy się to przepcha przez szkoły, kiedy pod studnią jada.

Nie było odpowiedzi. Franuś jedząc milczał, Salka również milczała.

Po obiedzie napili się w studni wody i wrócili na planty.

— Chodźmy na Kleparz—prosił się chłopiec—będziemy szukać Pawlusia u szewca Karasia.

Lecz dziewczynka czy to z zazdrości, czy dla innych powodów, nie chciała iść na Kleparz, utrzymując, że w takiém wielkiém mieście niepodobna wynaleść jakiegoś szewca i jego chłopaka.

Poszli plantami po-pod zamkiem na Stradom. Nad Wisłą na galarach kupili za dwa centy jabłek i zwrócili się ku domowi.

— Franuś powiedz sam, czy to nie lepiéj chodzić sobie, bawić się i nic nie robić, jak ślęczeć nad książką.

Chłopcu zaczęło być tęskno za książką, cały tydzień nic nie czytał, uśmiechnął się więc tylko i milczał.

— Franuś, wiesz co, dobrze się stało, że ty będziesz mieszkał u nas, i chociaż to wszystko co ojciec ma moje będzie, wytargowałam dla ciebie papierka.

— I cóż ci ze mnie przyjdzie?

— Choćby nic, to zawsze jakoś raźniéj mi będzie, gdy wieczór wrócę do domu i ciebie zobaczę. Ja już od jutra muszę pracować. Chodzić po ulicach, śpiewać, tańcować i rękę wyciągać. Saméj będzie mi ciężko. — Ten łajdak zabrał trykoty i przepadł jak kamień w wodę — westchnęła. — Ty nie uciekniesz od nas — prawda?

— Gdzieżbym uciekał — odparł dobrodusznie.

Weszli do izdebki.

— Co ty się włóczysz cały dzień—ofuknął ją szwargotem ojciec.

— Jutro znów harować będę, a dzisiejszy dzień jest moim dniem — odpowiedziała urażona.

Ojciec zamilkł.

V.

Wyświeżony w czystéj koszuli zawiązanéj u szyi różową wstążeczką, trzymając w ręku świadectwo i list polecający proboszcza, szedł Franuś blady z bijącém sercem przez ulicę Krakowa, szukając szkoły, któréj nazwę napisał mu na kopercie nauczyciel. Nie mógł do niéj trafić, chociaż mu Salka pokazywała, ludzi się pytać nie śmiał.

— Czegóż to tak szukasz moje dziecko? — zagadnął go przechodzący w dużym cylindrze i granatowéj algierce małego wzrostu staruszek.

— Szkoły — odpowiedział Franuś.

— Szkoły — powtórzył zdziwiony — a jakiejże?

Chłopiec podał mu kartkę nauczyciela z adresem.

— W ręku co za papiery trzymasz?

Franuś podał świadectwo szkolne. Staruszek czytał, uśmiechał się i głową kiwał.

— Bardzo dobrze —odezwał się— musisz mieć głowę na karku nie od parady. Gdybyś ty poszedł drogą naukową, możebyś i daleko zaszedł. Ale cóż kiedy ty pewno zostaniesz księdzem, osiędziesz na wsi i ludzi będziesz zdzierać.

— Księdzem być nie chcę — odparł Franuś stanowczo.

— I drogą naukową pójdziesz, przysięgnij! — nalegał pochylając się do twarzy chłopca.

— Pragnę się uczyć mocno, pragnę — szepnął chłopiec.

Staruszek się uśmiechnął.

— Jeszcze tego nie rozumiesz, moje dziecko, co to znaczy iść drogą naukową. Na początek radzę ci nie pytaj na nic i na nikogo, tylko się ucz i ucz i ucz.... Ani się spostrzeżesz jak ci się w głowie rozjaśni, świat będzie inaczéj wyglądał.

Wzruszony Franuś pocałował go w rękę. Staruszek pogłaskał chłopca i poprowadził z sobą.

Weszli do okazałego budynku.

Na dziedzińcu wrzało. Różnego wieku chłopcy zbici w gromadki wesoło gwarzyli. Głośne śmiechy i częste gonitwy dopełniały miary wesołości. Wejście staruszka prowadzącego Franusia uciszyło wrzawę. Ogólna uwaga zwróciła się na białą płótniankę i czerwoną krakuskę chłopca, lecz widocznie z uszanowania dla jego towarzysza nie śmiano się zbliżać i zaczepiać go.

Po kamiennych wschodach protektor i protegowany dostali się do obszernéj sali. Na środku stał stół zielonėm suknem pokryty, a za stołem siedział wysoki barczysty mąż. Gęsta broda nadawała wyrazowi jego twarzy nieco grozy, chociaż grube, uśmiechnięte usta łagodziły surowość oblicza. Na widok staruszka powstał kłaniając się zamaszyście.

— Polecam panu dziecię naszego ludu, zdolności wyjątkowe, jak pisze jego nauczyciel.

Franuś został na środku, panowie podeszli do framugi okna rozmawiając z sobą po cichu.

— Pamiętaj malcze — zwrócił się do chłopca staruszek — com ci mówił i coś mi przyrzekł. Pogłaskał chłopca i poszedł, odprowadzony do drzwi przez dyrektora.

W sali zostali sami Franuś i barczysty z czarną brodą dyrektor.

— Pokaż świadectwa— odezwał się poważnie, lecz dość łagodnym tonem.

Chłopiec je podał w milczeniu.

— Wiele masz lat?

— Czternaście skończę niedługo.

— Czternaście, nauczyciel twój bardzo cię chwali, proboszcz poleca i jeszcze masz takiego protektora, a zatém na moję odpowiedzialność zapisuję cię do drugiej klasy.

Franuś z radości poczerwieniał. Dyrektor zapisał go na listę uczniów klasy drugiéj.

— Dawno już znasz tego pana?

— Przed chwilą zobaczył mnie na ulicy i przyprowadził tutaj.

— Nie wiész co to za jeden?

— Nie wiem.

— I nie wiész nawet jak się nazywa?

— Nie wiem — odpowiedział Franuś spokojnie.

— Nie kazał ci kiedy do siebie przyjść?

— Nic mi nie mówił.

Dyrektor się zamyślił, wpatrując się w wpisane nazwisko chłopca na liście. Radby je wykreślić,— wymazywać nie chciał, wyskrobać nie miał ochoty. Niechęć dyrektorska do skrobania uratowała chłopca.

— No cóż — odezwał się kładąc ręce w kieszenie.

Chłopiec milczał, dyrektor zmierzył go od stóp do głowy.

Nie masz innego ubrania?

— Płótnianka nowa proszę pana, a krakuskę matka mi kupiła w ostatni jarmark.

— Nie o to idzie, nowa czy nie nowa, — odparł z pewnym tonem dyrektor, tylko o to, że w mieście do szkół po chłopsku chodzić nie-można. Słyszysz?

— Słyszę, — odpowiedział cicho Franuś.

— Musisz sobie sprawić cywilne ubranie — to schowaj lub sprzedaj. Gdzie ty mieszkasz?

Chłopiec zawstydzony milczał.

— Nie odpowiadasz?

— Nie wiem, — szepnął.

— U kogo, — rzekł ostro.

Franuś ze strachu zadrżał.

— U żydów, — dodał cicho spuszczając ze wstydu głowę.

— U żydów na komornem — polak — katolik — uczeń klasy drugiéj — u żydów pewno na Kazimierzu. A to wyborne. A cóż,

chłop ufa tylko żydom, im wierzy, tym pijakom co ssą naszą krew. Dyrektor pochwycił pióro, a przestraszony Franuś ujął go za rękę.

— Ja się dziś od nich wyprowadzę, zawołał żałośnie. Sami mnie wciągnęli i zatrzymali. I cóż miałem robić — nie znam w mieście nikogo.

— Od żydów uciekaj jak od zarazy. Wynieść się od nich dzisiaj — poszukać stancyi u jakiéj poczciwéj mieszczki, — przebrać się i jutro do szkoły!

Przejęty wdzięcznością chłopiec, skłonił się jak umiał najzgrabniéj i wyszedł na palcach.

— Stary mi zawsze narzuca dziadów i chłopów, którzy niby mają iść drogą naukową, a tym czasem pokazuje się, że oni chcą tylko kieszenie ładować. Rozśmiał się ze swego dowcipu pan dyrektor, mierząc dużą salę szerokiemi krokami.

Zaledwo Franuś zeszedł ze schodów, otoczyła go gromadka młodzieży.

— Zdawałeś egzamin?

— Do któréj idziesz klasy?

— Zkąd ty jesteś?

— Jak się nazywasz, rzucali mu pytania.

Franuś zdobył się na odwagę i powiedział głośno.

— Idę do drugiéj klasy.

— Krakusie przychodź jutro, bo jutro się lekcye zaczynają.

— Przyjdę — dziękuję, — uchylił krakuski — ukłonił się.

— A za cóż dziękujesz, wołali za nim śmiejąc się.

Franuś był już na ulicy. Szedł żywo, oczy mu błyszczały szczęściem, na twarz wystąpiły rumieńce.

— Jestem uczniem drugiéj klasy — powtarzał z cicha, uśmiechając się. Zatęsknił za matką, ojcem, nauczycielem i Hanusią; radby ich w téj chwili uściskać i pochwalić się. Przypomniał sobie Salkę, poskoczył naprzód i stanął jak wryty. Dyrektor go wygnał od żydów, a oni jedni przygarnęli go do siebie i za papierka na miesiąc dawali mu ciepłą i cichą izbę. Żal mu było cichéj izby, a więcéj jeszcze Salki, która go lubiła, ręką głaskała po twarzy i wpatrywała się w jego oczy. Żal mu było zamyślonego, milczącego żyda, jego ciężkich westchnień i gry na skrzypcach.

Gdzie się teraz podzieje — kto go przytuli. W wielkiém mieście znalazł się bez dachu i przytułku.

Dyrektor jednym rozkazem zdruzgotał mu jego szczęście i nadzieje. Z załamanemi rękami, ze łzami w oczach stał jak skamieniały, oglądając się jakby chciał szukać ratunku.

O kilkanaście kroków oddalony obserwował go z tajemniczą miną niski, barczysty, o wązkim czole i gęstéj czuprynie piędziesięcioletni mężczyzna. Franuś popatrzał na niego miłosiernie, lecz barczysty miał wyraz twarzy tak zimny i obojętny, że poszedł, kierując się ku Kazimierzowi.

W izdebce żydowskiego domku było pusto i cicho. Salka od rana pracowała z ojcem na ulicach Krakowa. Chłopiec spojrzał smutnie na książki ułożone na komodzie i westchnął ciężko. Podniósł na ziemi leżący, pusty tłómoczek, otworzył komodę, spakował swoję bieliznę, pozbierał książki i wstydząc się spojrzéć w oczy Salce i jéj ojcu wyszedł po cichu. Aby omylić czujność żydówki, mieszkającéj w drugiéj naprzeciwko izdebce, zwrócił się na lewo ginąc w zaułkach. Długo kołował zanim się wydobył na szeroką ulicę Stradomia.

Na zakręcie spotkał się z jegomością, który przed godziną wpatrywał się w niego.

Chłopiec się zmięszał, jegomość uśmiechnął, lecz nie przemówił ani jednego wyrazu.

Nie było rady jak korzystać ze znajomości zrobionéj przy studni na Szczepańskim placu. W tym celu zwrócił się pod zamek i plantami dotarł na plac, gdzie czerwona i otyła jejmość rozdawała za sześć centów miseczki gorącego rosołu.

— Dzień dobry pani, przemówił jak mógł najgrzeczniej, zdejmując czapkę.

— A to ty mały, odezwała się przekupka, mięszając warząchwią w kotle. Rosołek mój smakuje ci—co? I nie dziwota, bo dobry. Żadnych oszukaństw— kości i mięso!

— Smakuje, — i bardzo powtórzył Franuś.

— Widzicie jaki to z niego przychlebca — to pewno dla tego, żeby mu dać dużo kartofli.

— Nie o to mi idzie, mówił, tylko chciałem panią prosić....

— O cóż to gadaj, — pytała ciekawie.

— U żydów nie mogę mieszkać.

— A rozumie się u tego paskudnego plemienia.

— Szukam gdzie jakiéj izdebki, żebym się mógł przytulić.

— Szukasz stancyi — tak gadaj.

— Stancyi powtórzył Franuś.

— Ja bym Cię wzięła do siebie, ale u mnie nie ma kąta wolnego, ani na lekarstwo. Cóż dopiero dla ciebie, co się przecie uczyć musisz.

— Muszę, — powtórzył.

— Masz miskę rosołu i bułkę, płać ośm centów, siadaj i jedz, a może ci jaki kąt wyszukam.

Dajże mi tymczasem „*pozior*“ na kocioł i bułki.

Franuś dając pozior na kocioł, jadł przy studni, przekupka poszła między sąsiadki i kumy. Niezadługo wróciła prowadząc podobną do siebie z tuszy przyjaciółkę, która trzymając ręce w kieszeniach fartucha stanęła pochylając się nad Frankiem.

— To to ten — pytała się.

Właścicielka kotła kiwnęła potakująco głową.

— A masz ty smyku grajcary — zwróciła się do chłopca.

— Nie wiele, ale przecie mam — odparł z pewną dumą.

— Kiedy tak, to ci oddam kąt. Oddzielę go parawanem, wstawię łóżko, siennika i dery ci pożyczę, stolik pod oknem już stoi. I za to wszystko tylko trzy papiery bez miesiąc.

— Nie stać mnie na tyle — odpowiedział. — Żydom płaciłem papierka.

— To wracaj do żydów! — wrzasnęła dama zaczerwieniona z oburzenia.— Moja pani, żydów mi stawia na ten przykład — zwróciła się do kumy.

— Musieli go opanować, zwyczajnie jak żydy — uspokajała rozgniewaną przekupkę.

Odeszły na bok rozmawiając ciszéj, lecz z równą energią, a ze współudziałem rąk, które jak wiatraki podnosiły się i opadały.

Franuś jadł oczekując wyroku ze ściśnioném sercem.

Gdy się kumy wygadały do woli, wróciły do chłopca.

— Dwa papierki, albo wracaj do żydów—odezwała się stanowczo właścicielka izby z parawanem.

— No to już niech będzie — odpowiedział wzdychając.

— Mój cię zaprowadzi, a jak ci się spodoba zapłacisz wieczór, ale mnie do ręki. Staremu ani się waż. Jakbyś jemu dał, to tak jakbyś nic nie dał. A teraz bierz na plecy tłómoczek i chodź za mną.

Franuś w milczeniu powstał, zarzucił na plecy tłómoczek i na pożegnanie pocałował w rękę właścicielkę kotła. Nie chciała jednak korzystać z tego odznaczenia i dla miłéj zgody dała znak chłopcu, aby i swą gospodynię również pocałował, czego jednak zrozumiéć nie chciał.

Właścicielka izby z parawanem sprzedawała kaszę i mąkę poustawianą w workach w drewnianym kramiku, pomalowanym na orzechowo. Mąż jéj chudy, wysoki, blady na twarzy, z czerwonym nosem, w białéj konfederatce na głowie, stał oparty o worek krup, patrząc z dobrodusznym uśmiechem na świat i ludzi.

— Chłopca zaprowadź do stancyi, dała rozkaz żona. Parawan znieść z góry.—Ruszać.

Na ten rozkaz mąż wyprostował się, konfederatkę nasadził na ucho, zrobił młynka laską i rzekł wesoło do chłopca.

— Chodźmy kolego.

W chwili gdy opuszczali Szczepański plac, do właścicielki kotła zbliżył się kręty o niskiem czole a gęstéj czuprynie jegomość i pokazując Franusia zaczął z nią rozmowę, w któréj dama ująwszy się pod boki, zaimponowała mu wymową i dowcipem. W porównaniach była niewyczerpaną.

Na Piasku, przy Krupniczéj ulicy w podwórzu, znajdowała się tak nazwana stancya—duża, niska i wilgotna izba. Podłogę miejscami powyrywaną zastąpiła glina. Zimno było i ponuro—dwa okna zakurzone patrzały na źle wybrukowany dziedziniec, założony wozami i drzewem.

Franuś stanął na środku izby smutno patrząc do koła. Serce mu się ścisnęło z żalu, za małą izdebką żydowską.

— Przywykniesz kochanku, przywykniesz, tak jak ja przywykłem—rzekł gospodarz rozstawiając przyniesiony parawan. I mnie się zdawało, że nie wytrzymam dwóch dni, a wytrzymuję już całe lat dziesięć. Zrzucaj z pleców tłómoczek i kpij sobie ze świata i ludzi tak jak ja, a ze mną wszyscy Głowaccy. Bo trza ci wiedzieć, że chociaż nie jestem z chłopów, miło mi że się Głowackim nazywam.

— Mam prośbę do pana,—odezwał się cicho Franuś.

— Mów śmiało. Na Głowackich możesz rachować jak na Zawiszów.

— Chciałbym sprzedać to ubranie, a kupić sobie inne.

— Jakie?

— Szlacheckie,—szepnął.

— Cóż to wstydzisz się swego stanu. Czy to Głowacki nie był chłopem, Kościuszko nie chodził w sukmanie?

— Ja się nie wstydzę, tylko pan dyrektor.

— Głupi,—krzyknął Głowacki.

— Kazał,—odezwał się Franuś.

— Ale ja Głowacki,—pozwalam ci.

— Powiedział, że mnie wypędzi.

— Niech on z nami nie zaczyna, powiedz mu. Krakuska i biała sukmanka jestto patryotyczny strój—żebyś wiedział ty i twój dyrektor.

— Muszę, — prosił się Franuś bo mnie jutro do klasy nie przyjmie.

— O to mu kości połamiemy. My rządzimy w mieście, a nie jacyś tam pół niemcy dyrektory. Głowacki uderzył laską w podłogę z całych sił.

— Proszę pana,—nalegał Franuś, nie znam miasta mogą mnie oszukać, a na jutro muszę być przebrany.

— Kiedy się boisz, ha to chodźmy, ale takiego hałasu narobimy w mieście,—wszystkie poruszymy sprężyny, że mu twoja sukmana kością w gardle stanie. Na twarz Głowackiego wystąpiły rumieńce, oczy mu błyszczały ogniem zapału Widząc to Franuś przestraszył się o losy dyrektora, a w Głowackim zaczął szanować nieznaną mu potęgę.

Ominęli plac Szczepański, aby uniknąć interpelacyi pani Głowackiéj i przez rynek dostali się na Wielopole. Tam po długich targach i przymierzaniach zostawił Franuś swoję białą płótniankę i czerwoną krakuskę, za ciemno zielony watowany surdut i szarą z grubego kortu czapkę, niestety nie nową. Kamizelkę i pantaliony musiał kupić za gotówkę.

Głowacki spojrzał na chłopca i rozśmiał się głośno.

— Kaducznie wyglądasz, zawołał. Rodzona by cię matka nie poznała. Ale cóż kiedy dyrektorzy, dziatwę naszą chcą na niemców przerabiać—niech mają.

Chłopiec się zgryzł—żal mu było płótnianki, w któréj się czuł jak we własnéj skórze, lecz nadzieja, że jutro pójdzie do szkoły i uczyć się będzie—pobijała zgryzotę serca. Nie pytaj na nic i na nikogo, tylko się ucz, powtarzał słowa staruszka, które mu trafiły do serca.

Z powrotem, stanęli na jednéj z szerokich ulic przed kamienicą, na któréj czarnemi literami wymalowany był napis „Miodosytnia Robackiego.“ Głowacki długo się w niego wpatrywał.

— Słuchaj-no Franuś, odezwał się serdecznie, nie mógłbyś mi pożyczyć do jutra papierka?

Chłopiec się zarumienił, przypominając sobie rozkaz pani Głowackiéj.

— Nie mam,—rzekł bojaźliwie.

— Przecież widziałem jak ci żyd wydawał resztę.

— Zaledwo parę szóstek.

— Pożycz i parę szóstek.

Nie śmiejąc odmówić wydobył skórzany woreczek i oddał wszystkie drobne Głowackiemu.

— Masz klucz od stancyi i bądź zdrów, a przed babą ani mrumru.

Głowacki znikł w podwojach miodosytni, a Franuś rozczarowany co do jego potęgi, poszedł do domu. Na drodze w jednym ze sklepów zobaczył wystawione lustro,—przejrzał się w nim i przestraszył. Zielony podwatowany surdut robił go garbatym, a siwa czapka starszym i mizernym. Westchnął ciężko. „Nie pytaj na nic i na nikogo tylko się ucz.“ Tym frazesem chciał się zagłuszyć, widocznie jednak nie mógł, bo wstydził się ludzi, ustępował im z drogi, idąc po pod ścianami domów.

VIII.

Wieczorem wracała Salka z ojcem do domu. Dawno w Krakowie nie byli i pewno dla tego połów był obfity. Żyd zmęczony szedł leniwo, dziewczynka biegła naprzód ciesząc się nadzieją, że razem z Franusiem będzie się oddawać rozkoszy rachowania zarobionych pieniędzy.

Otworzyła z hałasem drzwi od sionki, wpadła do izdebki i jednym rzutem oka dowiedziała się o ucieczce chłopca. Z gwałtownością odmykała szuflady komody, patrząc czy świąteczny hałat ojca i jej ubranie na szabas ocalało? Leżały jednak nietknięte na swych miejscach. Odetchnęła,—strach minął, lecz gniew z całą gwałtownością wybuchł.

Wszedł żyd.

— Ojcze ten nikczemny łajdak uciekł,—zawołała.

Ojciec wzruszył filozoficznie ramionemi.

— Goj, czy się można było czego innego spodziewać od goja. I jeżeli nic nie zabrał.....

— Nie—patrzałam.

Nastała chwila milczenia przerwana powtórnym wybuchem dziewczyny, rozwiniętéj nad wiek praktyką życia i krwią południa płynącą jéj w żyłach.

— Przytulilišmy go do siebie jak swego, wodzili, bronili! Za nędznego papierka mógł sobie u nas siedzieć jak pan—i uciekł.

— Wstydził się, rzekł z powagą żyd,—a mówiłem ci Sali nie interesuj się tym głupcem, bo on nie wart tego.

— Ojciec go sam lubiłeś, odparła.

— Jak się lubi psa. A któż się spodzieje, kiedy pies ukąsi.

— Gardzę nimi, nienawidzę ich! Obrażona duma wyrzucała z piersi dziewczyny wykrzykniki. Ojcze my jeszcze zostaniemy bogaci, a wtedy będziemy ich deptać nogami—wszystkich!..

— Jak Bóg da,—zawyrokował poważnie żyd.

— Da, dla czegoby nie miał dać, jest wielki i mściwy. Żeby ten łajdak przynajmniéj powiedział dziękuję wam. Ha to podłe plemię, prawda ojcze, że podłe?

— Podłe, powtórzył żyd, aleś ty Sali myślała do dzisiaj inaczéj. Ja wiedziałem, że tak będzie, ale nic nie mówiłem.

Dziewczynka odwróciła się, kryjąc przed ojcem łzy żalu i oburzenia.

Żyd kiwał głową, bębnił palcami po stole, oddając się rozkoszy odpoczynku, próżnowania i rozkoszy marzeń.

Przywołana przez Sali weszła stara żydówka. Rozmowa powróciła do ucieczki Franusia, lecz stara nic nie widziała i nic nie słyszała. Zirytowana dziewczyna odprawiła ją, usiadła na sofie, podparła głowę rękami, zapadając w głęboką zadumę.

— Sali rachujmy, rzekł poważnie żyd, zaciągając perkalową firankę na okno.

Wyraz rachujmy, zelektryzował dziewczynkę. Zerwała się na równe nogi,—z po za czerwonéj spódniczki odpasała skórzaną torbę, wysypując do czapki ojca pieniądze. Liczyli razem układając w kolumny centy—czterocentówki i szóstki. Wszystkiego razem było sześć złotych i pięndziesiąt centów.

— Sześć—zawołali jednocześnie, — dziewczynka pokraśniała z radości.

— Dziś jeszcze zaniosę je do naszéj spółki,—rzekł żyd,—oni potrzebują gotówki.

— Spiesz się spiesz—po co mamy tracić dzień jeden do bogactwa. Ach, jakbym chciała mieć dużo, dużo, a potém wszystkich gojów na swoje sługi przerobić.

Żyd się rozśmiał, schował pieniądze i wyszedł. Salka pochwyciła pozostałe pięndziesiąt centów i wybiegła za ojcem. A gdy ten znikł wśród tłumów żydowstwa zwróciła się na Stradom. Obiegła planty, rynek, w nadziei że może odszuka Franusia.

Nie odszukała go.

— Wyborny egzemplarz,—mówił do siebie krępy o gęstym zaroście filozof. Chłopiec sam jeden, bez znajomości miasta, stosunków, biedny bo inaczéj nie jadałby przy studni—przychodzi wywalczać sobie naukę i byt. Protekcyi żadnych—musi więc rachować na własne siły, własną energją. Teorya moja samopomocy znalazła okaz pierwotny, dobrze zachowany, nieuszkodzony! Takby powiedział botanik, a ja dodam—samoistny. Śledźmy go, jak będzie się rozwijał, walczył, zwyciężał, upadał i dźwigał.

Filozof się rozśmiał i zatarł ręce.

Wybornie się stało, że się wydobył z pod wpływów i opieki żydów. Chociaż walka z nimi również byłaby ciekawą, lecz by w niéj pewno prędko upadł. A tak ma przed sobą łatwiejsze stosunki.

— Sledzmy, pracujmy i poświęcajmy się dla nauki.

Nie ma jak własną siłą wydobyci na wierzch ludzie, wypracowane w walce charaktery.

Filozof nasz miał sześć tysięcy złotych rocznego dochodu, żadnych obowiązków i dużo czasu, zajmował się więc badaniem rozwoju sił jednostek w walce o byt.

VIII.

Franuś nie wiedząc że jest dobrze zachowanym okazem, rozgościł się jak mógł i umiał za parawanem przy oknie w stancyi państwa Głowackich. Smutno mu było samemu w dużéj, wilgotnéj izbie lecz wmawiał w siebie, że się przyzwyczai tak samo jak się przyzwyczaił Głowacki.

Jedynie myśl go trapiła co o nim powie Salka, gdy się dowie że uciekł. Rumienił się ze wstydu, wyrzutów sumienia i żalu, lecz nie widział innego sposobu wyjścia. Dla złagodzenia wrażeń wspomniał o rodzinnéj wiosce, matce, ojcu, Hanusi. Rozmyślał zkąd będzie teraz dostawał książek do czytania, od kogo?? Salka by mu poradziła. Tęsknił za Salką i książkami.

Wieczorem wtoczyła się pani Głowacka. Kazała Franusiowi kupić za własne pieniądze nafty, nalać do lampki, zapalić i chmurna, milcząca zabrała się do łatania starych worków.

— Gdzież mój, rzuciła pytanie.

— Nie wiem, odparł Franuś, bojąc się przyznać do pożyczki.

— Pewno u tego paskudnego Robaka.

Franuś milczał.

Późno wieczorem położył się na twardym sienniku, lecz sen nie przychodził. Ciężkie myśli jedna za drugą przesuwały się w umyśle chłopca.

O północy wszedł energicznie Głowacki, stukając z siłą i animuszem kijem o podłogę.

— Basiu nie bój się, to ja twój mąż Głowacki. Czy ci kiedy w głowie postało, że Ty będziesz żoną Głowackiego. Ale ten głupi los zniża i podnosi. Mnie zniżył do kasiarki, a ciebie podniósł do Głowackiego.

— Dziękuj Bogu, że leżę w łóżku,—mruczała Basia.

— Cicho,—pod Robakiem żebrała się sama tężyzna,—pito moje zdrowie! A temu dyrektorowi co dzieci nasze na niemców przerabia, Franuś słyszysz, połamiemy kości.

Franuś milczał przerażony.

— Spać,—zawołała głośno, rozkazującym tonem Głowacka.

— Cicho Basiu, Basieńku wielkie rzeczy dzieją się na świecie. Francuzi znowu idą na Niemców i zmiażdżą ich. Każdy patryota powinien mieć wytężony wzrok i wyostrzony słuch.

— Ty stary głupcze, pracuj i patrz tego z czego masz grosz, a nie baw się w panów i patryotów.

— Basiu straszne rzeczy zaczynają się dziać, że włosy stają na głowie, a serce drży z radości. Franuś rzuć książki w kąt i stawaj do apelu. Niemcem chcą cię zrobić, ale ty się nie dasz prawda? Jutro wykupię ci krakuskę.

— Spać stary głupcze bo wstanę. I Basia wysunęła nóżkę z pod pierzyny. To oznaczało, że cierpliwość Basi wyczerpuje się. Głowacki zamilkł, a wtedy Basia nabrała rezonu, śmiejąc się z osłów zbierających się u Robaka i ich patryotyzmu.

— Piją, żeby małpować panów i głupstwa pleść.

— A jednak Basiu ojczyzna to wielkie słowo,—odezwał się rzewnie Głowacki. Ona mnie utrzymuje przy życiu i dla niéj chodzę do Robaka. Głowacki zaczął płakać.

Franuś uczuł w téj chwili sympatyą dla Głowackiego, a znienawidził Basię.

Ojczyzna,—wielkie rzeczy zaczynają się dziać,—on ma stanąć do apelu. Wszystko razem w rozmarzonéj głowie chłopca olbrzymiało, przygniatając go ogromem potęg mu nieznanych.

Tyle wrażeń w jednym dniu, zbyt silnie wstrząsnęło jego organizmem. Majaczył przez sen, budził się, zrywał, nasłuchiwał. Miarowe chrapania Głowackich uspakajały go. Przytulał głowę do poduszki wypchanéj słomą i zasypiał.

(*dok. nast.*) *Sewer.*

NA SĄSIEDNIM DWORZE.

I.

W dniu 30 stycznia r. 1730 nowego stylu nad ranem, odbywała się w Kremlu narada, któréj wynik miał stanowić o losach rozległego mocarstwa. Młodociany, bo czternastoletni dopiero władca tego państwa Piotr II, zapadłszy na ospę, skonał w godzinę po północy, a zarówno interes osobisty wysokich dygnitarzy, którzy stali u steru władzy, jak dobro samego imperyum wymagały, aby proklamacya nowego pana nastąpiła jak najprędzéj, zanim się jeszcze zbudzą mieszkańcy „biało-kamiennéj Moskwy.“ Jak gdyby w przeciwstawieniu do zwyczajów, praktykowanych pod tym względem w sąsiedniej Rzeczypospolitéj, mieli się oni dowiedzieć równocześnie, że jeden monarcha umarł a drugi po nim nastąpił.

Postępowanie to odpowiadało zupełnie duchowi i potrzebom samowładczego rządu; ale czyż w téj mianowicie myśli działali ci, od których głosu zawisł wybór nowego cara — czyż chcieli także widzieć ojczyznę, rządzoną równie absolutnie, jak dotąd? Byli oni zanadto spragnionymi wyzwolenia i władzy, ażeby chcieli znosić nadal dotychczasowy absolutyzm, który im się nieraz tak gorzko dał we znaki. Znosząc dawniéj bez jęku i szemrania wszelkiego rodzaju rozkazy i nakazy najdolegliwsze, z uczuciem niewymownego żalu i zazdrości, tęsknym wzrokiem spoglądali ku Polsce, temu rajowi magnatów i ku Szwecyi, temu ideałowi wolnego państwa. Najpierwszym rodom przyświecała swobodna ustawa państwowa szwedzka jako wzór, do którego dążyć powinni, nie zadawalając się podrzędnemi ustępstwami, lecz przeważna większość szlachty, nie wierząc w możność tak wielkiego przełomu, gotowa była przyjąć i mniéj doniosłe ulgi. Pragnęła ona odzyskania praw człowieka,

zniesienia konfiskat, uwolnienia od kar cielesnych, a przedewszystkiem stanowczéj uchwały, stanowiącéj źrenicę wolności polskiéj, że nie wolno nikogo skazywać na wygnanie, więzienie lub inne kary, kto nie został sądownie przekonanym o winie. Jakiekolwiek jeszcze odcienie i różnice przejawiały się w ówczesnych aspiracyach politycznych magnatów i szlachty, pod jednym względem panowała niemal zupełna jednomyślność, oto uprzywilejowana kasta z samolubstwem, wspólném wszystkim kastom, myślała wyłącznie o sobie, nie troszczyła się o lud, dotknięty srogą niewolą i zamykając oczy na przykład Szwecyi, gdzie chłop był wolnym, wolała sobie wziąć za wzór Rzeczpospolitą polską, gdzie samowola i dobrobyt klas wyższych odbijały jaskrawo od losu.

W niespełna cztery godziny po zgonie Piotra II, o piątéj zrana, zebrała się Najwyższa Rada, tak zwani *wierchowniki* celem niezwłocznego przystąpienia do wyboru. Składała się z sześciu członków, a mianowicie z kanclerza Gołowkina, podkanclerzego Ostermanna, kniazia Dymitra Galicyna i trzech Dołgorukich. W tak stanowczéj chwili nie znalazło się to wysokie ciało w komplecie, bo przebiegły Ostermann wymówił się od udziału w naradach: najprzód zajęciem około osoby dostojnego nieboszczyka, którego ubierał, następnie wielkiém znużeniem po długiém czuwaniu przy zmarłym, w końcu rzekomą delikatnością cudzoziemca, który się nie czuje powołanym do wybierania krajowi pana, lecz gotów jest uznać wszystko, co tak rozumni i mądrzy ludzie postanowią; na wszelki jednak wypadek, aby nie być zniewolonym do podpisów, wedle swego zwyczaju zasłonił się chorobą, poczuwszy nagle gwałtowne bole newralgiczne w prawéj ręce, obwinął ją flanelą i na dobitek kazał sobie krwi upuścić (1). Powiększyła się natomiast Rada, przybierając dwóch członków, feldmarszałków Galicyna i Dołgorukiego; tych pociągnęli naturalnie zasiadający już w Radzie bracia, a pierwszy dla uzasadnienia samowolnego kroku oświadczył, że najwyższéj

---

(1) „Er hat sich auch diese Nacht zur Ader gelassen und passiret vor sehr Krank; ich hoffe aber, dass er sich nur *par politique* also stelle und vor Ihro Russ. Kays. Mt. Anherokunft nicht gesundwerden wird.“ — Trafne te słowa wyjęliśmy z relacyi posła pruskiego na dworze moskiewskim; barona Axla Mardefeldta, pod datą 2 lutego 1730, znajdującéj się w tajném archiwum berlińskiém jak wszystkie jego raporty, które wszędzie, gdzie datę podaję bez bliższego określenia, odnieść należy wedle nowego stylu. Prawdziwém i odpowiedniém charakterowi Ostermanna wydaje mi się to, co Mardefeldt pod tymże dniem zapisuje, że podkanclerzy jeszcze przed śmiercią Piotra II porozumiał się potajemnie z Galicynami względem wyboru Anny, że więc mimo na pozór zupełnie biernego zachowania „er das *primum mobile* in dieses Affaire gewesen.“

władzy państwowéj brakło dotąd mężów, którzyby się znali na sprawach wojennych.

Mogło się było wydawać, że Dołgorukowie, korzystając ze swéj liczebnéj przewagi, wezmą górę nad towarzyszami, przeprowadzą swe zamysły i będą nadal panowali równie wszechwładnie, jak za Piotra II, któremu narzucili nietylko faworyta, lecz nawet narzeczoną swego rodu. Jakoż nie brakło po temu gorliwych i usilnych chęci: podrobili testament, w którym Piotr mianuje księżniczkę Katarzynę Dołgorukównę następczynią i rozpuścili wieść, że należy się spodziewać potomka zgasłego przedwcześnie cara. Ale była to zbyt niezgrabnie uknuta intryga, by mogła złudzić kogokolwiek; wystąpił przeciw niéj pierwszy sam feldmarszałek Dołgoruki i powiedział głośno, że testament jest podsunięty. Odtąd już nie odważyli się fałszerze stawać w obronie urojonych swych roszczeń; stanowisko, jakie od téj pory zajęli, było bierne i wyczekujące. Kanclerz Gołowkin nie odznaczał się nigdy odwagą i stanowczością działania, a choćby niezupełnie prawdą było, co o nim opowiadają, że na têm elekcyjném posiedzeniu, myśląc o niebezpieczeństwie na jakie się narażał, drżał ze strachu, udawał że go kaszel dusi i że wskutek tego głosu wydobyć nie może — tyle jest rzeczą niezawodną, iż odgrywał na niém bierną rolę, dbając jedynie o to, aby się niczém nie skompromitować.

Nie dziw, że wobec takiego ugrupowania się członków Najwyższéj Rady, têm swobodniejsze pole działania miał kniaź Dymitr Michałowicz Galicyn, zwłaszcza, że mógł liczyć na poparcie młodszego brata, feldmarszałka, kniazia Michała. Nie potrzebował on tak sprzyjających warunków, aby wystąpić śmiało i stanowczo. Daleki od małodusznéj trwożliwości kanclerza, nie mając w swéj przeszłości takich plam jak rodzina faworyta, człowiek szlachetny i prawy, z właściwą sobie energią przystąpił do dzieła i, nie oglądając się na nic, dał elekcyi taki obrót, jakiego sam pragnął. Jeden z najwykształceńszych Rosyan, mówił kilkoma językami, co między magnatami tego kraju było wówczas rzeczą dość rzadką i korzystał gorliwie ze skarbów duchowych, zgromadzonych w znacznéj bibliotece. Uważając się za potomka wielkich książąt litewskich, ambitny i pełen poczucia własnéj godności, nie mógł się nigdy pogodzić z absolutyzmem, a oburzała go sama myśl, że jedno skinienie samodzierżcy może go strącić z wysokiego stanowiska, pozbawić dostojeństw i majątku, uczynić najnędzniejszym z ludzi. Przez długie lata marzył napróżno o urzeczywistnieniu swego ideału politycznego, o ograniczeniu władzy monarszéj i zastąpieniu „samodzierżawia“ jednostki oligarchiczną formą rządu; nareszcie nadeszła

tyle pożądana sposobna ku temu chwila—trzebaż z niéj było korzystać! Nie trudno przyszło mu pozyskać zgodę na to, że ktokolwiek zasiądzie na tronie carów, będzie musiał się wyrzec absolutnéj władzy; chodziło tylko o wybór osoby, któraby bez wahania przyjęła ten warunek. Z wyniosłém lekceważeniem i z nietajoną pogardą mówił dumny kniaź o dzieciach Katarzyny I, których nie uznawał za prawowite potomstwo Piotra W., a wspomniawszy mimochodem o podrobionym testamencie Piotra II, wykazywał niestosowność i niemożebność innych kandydatów: jak znanéj z lekkich obyczajów Elżbiety i księżnéj Meklemburskiéj, aby się w końcu oświadczyć niedwuznacznie za owdowiałą księżną Kurlandzką, w. księżną Anną Iwanówną, lubo i o niéj nie przemawiał w panegirycznym tonie.

Zdanie Galicyna poparł co żywo kniaź Wasil Łukicz Dołgoruki, który przez czas krótki cieszył się względami Anny, a teraz może poddawał się słodkiéj ułudzie, że zdoła odzyskać dawniejsze u niéj wpływy. Zgoda na ten wybór była powszechną; Rada przeto uwiadomiła niezwłocznie o wyniku elekcyi liczne zgromadzenie wojskowych i cywilnych dygnitarzy, które z niecierpliwością czekało w wielkiéj sali pałacowéj, co postanowią *wierchowniki*. Nowina o ograniczeniu absolutnych rządów wzbudziła między zebranymi wielką radość; w pierwszéj chwili ogólny zapał wywołała nadzieja, że inne słońce zajaśnieje nad tą pochmurną krainą. Z magnackich rodzin rosyjskich nie podzielali tego uczucia tylko Sałtykowowie, Trubeccy, Gołowkinowie i sędziwy kniaź Romodanowski z powodu węzłów krwi lub przyjaźni, jakie ich łączyły z Anną. Natomiast wszyscy niemal cudzoziemcy, zwłaszcza zaś Niemcy, dowiedzieli się o téj nowości ze smutkiem, bo oni mogli płużyć jedynie pod wpływem ożywczych promieni „samodierżawia,“ a zmiana formy rządu odbierała im wszelkie widoki powodzenia. Oddawna sarkali już Rosyanie, że obcy przybysze, a szczególniéj inflanccy Niemcy wydzierają im należne krajowcom stanowiska, że zajęli piątą część wysokich stopni cywilnych, trzecią część w armii, dwie trzecie na flocie; gdyby więc w przyszłości władza miała przejść w ręce Galicynów i Dołgorukich, wypadałoby się obawiać, iż znaczna część cudzoziemców zostanie usuniętą a ich miejsce zastąpią choćby mniéj zdolni, rodowici Rosyanie.

Widoczną było rzeczą, że ku temu także celowi zmierzały warunki, pod jakiemi Najwyższa Rada ofiarowywała Annie carską koronę. Nietylko oryginał lecz nawet współczesne kopie tych paktów konwentów, że je tak nazwiemy, zginęły niepowrotnie, a różne wersye, jakie przeszły do naszych czasów, różnią się znacznie mię-

dzy sobą; my je tutaj podajemy wedle relacyi posła pruskiego. Warunków było ośm; zobowiązywały one nową monarchinią, że będzie rządziła z pomocą Najwyższéj Rady, że bez jéj zgody nie wypowie wojny, ani nie zawrze pokoju, daléj, że bez jéj zezwolenia nie rozpisze kontrybucyi i podatków, ani téż nie będzie udzielała wyższych stopni, począwszy od pułkownika—że żadnego szlachcica nie skaże, dopóki tenże prawomocnie przekonanym nie zostanie, iż zasłużył na karę—że żadnemu szlachcicowi nie skonfiskuje majątku, dopóki tenże na drodze sądowéj nie okaże się winnym zbrodni — że bez przychylenia się Najwyższéj Rady nie zechce rozdawać dóbr koronnych, w końcu bez jéj zezwolenia nie wyjdzie za mąż ani nie zamianuje następcy.

Z pismem, zawierającém powyższe punkta, nad wieczorem tegoż samego jeszcze dnia wyjechała do Mitawy deputacya, złożona z Wasila Łukicza Dołgorukiego, Michała Michałowicza Galicyna i generała Leontiewa, z których pierwszy reprezentował Najwyższą Radę, drugi—Senat, trzeci—generalicyą. Wysłańcy ci mieli uznać Annę za carową, skoro rzeczone pakta podpisze a nadto ustnie przyrzecze, nie zabierać z sobą Ernesta Jana Birona, którego wpływ na księżnę dobrze już znano w stolicy i zaczynano go się lękać.

W sześć dni później, wieczorem 5 lutego stanęła deputacya w Mitawie i otrzymała niezwłocznie posłuchanie. Wszedłszy do komnaty, znaleźli w niéj posłowie prócz księżnéj niesympatyczną sobie postać jéj ulubieńca, Birona, i wtedy to, jeśli można wierzyć opowiadaniu księcia Piotra Dołgorukiego, który w swych Pamiętnikach umieścił wiele ciekawych szczegółów, zaczerpniętych z familijnéj tradycyi—wtedy to pomiędzy jego przodkiem Wasilem Łukiczem a potężnym w przyszłości faworytem, miała się odegrać następna scena. Pierwszy rozkazał drugiemu aby natychmiast wyszedł z sali, a gdy ten dumny względami swéj pani, nie posłuchał rozkazu, schwycił go za kołnierz i wyrzucił za drzwi. Dotkliwą tę zniewagę, wyrządzoną parweniuszowi, gorzko potém miała odpokutować cała rodzina Dołgorukich. Sześciu jéj członków padło z kolei z ręki kata, a Biron, który miał powiedzieć: „Zniszczę ich a nawet zburzę ich domy,“ mógł być zadowolony ze swéj zemsty.

Akt przedłożony Annie do podpisu, mieścił na końcu upokarzającą dla niéj formułę: „jeśli wedle powyższych punktów postępować nie będę, utracę koronę.“ Mimo to podpisała go monarchini, w myśli nietrudnéj do odgadnienia, którą podzielali wszyscy jéj przyjaciele. Pod świeżém wrażeniem warunków, przygotowanych przez Najwyższą Radę, pisze poseł pruski do swego króla: „Zapewne księżna kurlandzka nie będzie czyniła trudności w téj mie-

rze a z czasem snadnie wszystko zmieni, zwłaszcza przy pomocy Ostermanna.“ Nie inaczéj zapatrywały się na tę sprawę osoby, na których zdaniu zwykła była polegać; wyraz opinii i rady swych przyjaciół otrzymała w liście generała Jagużyńskiego, którego adjutant Sumarokow, przybył do Mitawy w trzy godziny po deputacyi. Nieostrożny ten poseł, spostrzeżony na ulicy, został niezwłocznie okuty w kajdany, Anna zaś oddała deputacyi wręczone sobie przez niego pismo wierzytelne (1). W dniu 12 lutego wtrącono samego generała do więzienia w Kremlu, gdzie trzymany pod surową strażą, nie mógł się z nikim widywać; odebrano mu order św. Andrzeja i ogłoszono we wszystkich pułkach, że się dopuścił ciężkich zbrodni przeciw carowéj i państwu.

Dołgorukowie i Galicyny wściekli, że Jagużyński chce udaremnić ich plany, łaknęli jego krwi. Ulegając podszeptom zemsty, postanowili o ile możności jak najprędzéj wydać nań wyrok, jako na zdrajcę ojczyzny, posłać dekret Carowéj niezwłocznie do potwierdzenia i ściąć obżałowanego przed jéj przybyciem do stolicy. Tylko usilnym prośbom teścia, kanclerza Gołowkina, zawdzięczał nieszczęśliwy zwłokę w egzekucyi, co go ocaliło.

Bezpośrednio po zgonie Piotra II machina państwowa stanęła nagle, a we wszystkich wydziałach pracy publicznéj nastąpiła stagnacya, jak w porze prawdziwego bezkrólewia, bo jakkolwiek Najwyższa rada najtroskliwiéj co dzień się zbierała, jedna wyłącznie sprawa zajmowała całą jéj baczność. Dla ludzi, którzy się odważyli na krok równie zuchwały, jak na ograniczenie władzy monarszéj, najżywotniejszą była teraz kwestya zabezpieczenia nie tylko saméj, tak ważnéj zdobyczy, lecz nadto własnego stanowiska, mienia i życia, bo jedno z drugiém było w tym razie nierozdzielnie złączone. Członkowie Rady przeto z wyjątkiem Ostermana, który się przyczaił oczekując wyjaśnienia sytuacyi i Gołowkina, który z powodu uwięzienia zięcia nie przychodził na posiedzenia — odbywali długie konferencye celem obmyślenia najstosowniejszéj formy arystokratycznego rządu.

Na pozór nic się nie sprzeciwiało nowemu porządkowi rzeczy. Ani partya holsztyńska, ani zwolennicy w. księżnéj Elżbiety, nie

(1) In seinem Schreiben hat Jagurzyński der Kayserin unbedachtsamer Weise Mittel an Hand geben wollen, wie sie sich denen Membris des hohen Conseil opponiren könne, solches aber nicht unterschrieben, sondern nur am Ende angehenget, dass der Ueberbringer ihr den Schreiber und noch 20 andere, die von ebendemselben Sentiments wären, entdecken würde. Rel. Mardefeldta z 16 lutego 1730.

zdradzali niczém zamiaru jakiejkolwiek opozycyi; ostatnia, któréj słabość niewieścia nie pozwalała wystąpić czynnie, przesłała powinszowanie nowéj carowéj na ręce księżnéj meklemburskiéj. Mardefeldt wspominając o tém, nie może się powstrzymać od okrzyku, dziwnie brzmiącego w ustach pruskiego dyplomaty: „Gdyby ta księżniczka była się zdecydowała zawczasu wyjść za margrabiego Karola, nie byłoby jéj z pewnością ominęło następstwo tronu!“ Być może, iż poseł wierzył w to, o czém donosił swemu dworowi; jest to jednak rzeczą jasną, że gdy chodziło o złamanie dotychczasowego despotyzmu, związek z księciem pruskim nie tylko nie byłby mógł Elżbiecie dopomódz w oczach wyborców, lecz owszem byłby jéj sprawę pogorszył, boć nie było to w interesie członków Najwyższéj Rady, aby carowa, któréj władzę chcieli ograniczyć, znalazła punkt oparcia w domu tak już wtedy potężnym, dla Rosyan niesympatycznym i znanym z despotycznych zachcianek, jak Prusy.

O ile przecież sama osoba nowéj władczyni nie budziła wstrętów, o ile wszyscy niemal Rosyanie wzdychali do zamyślonéj reformy, jak więzień zamknięty w kaźni do powietrza i światła — o tyle rozchodziły się opinie co do form, sposobów i środków, korzystania z tego skarbu, i o tyle niepopularną była Rada, która w imieniu monarszém pragnęła rządzić państwem. Szczególniéj drobna szlachta, generalicya i duchowieństwo zaraz w pierwszych dniach po zgonie Piotra okazywały niezadowolenie z nowego porządku rzeczy, a śmielsi odzywali się dość głośno: że wolą despotyzm jednego, niż kilku osób, z których każda będzie miała przedewszystkiém uboczne względy na oku.

Nie troszcząc się o te objawy nieprzychylnego usposobienia, pewna, że znajdzie środki do wzbudzenia posłuszeństwa, powołała Rada w dniu 13 lutego senat, generalicyą, oraz wszystkie kollegia i kazała im składać przysięgę „ojczyźnie i cesarzowéj.“ Rozkazowi temu stało się zadość, Rada wraz z senatem i generalicyą odbywała codziennie posiedzenia, chcąc koniecznie jeszcze przed przyjazdem Anny opracować podstawy i formy nowego ustroju państwowego, ale sztuczny płód téj gorączkowéj pracy nie mógł posiadać warunków trwałości.

Ciało polityczne, chcące za pomocą zamachu stanu ująć w swe ręce ster rządów, powinno się nasamprzód składać z żywiołów jednolitych, zgodnych, związanych z sobą wspólnością interesów i celów. Na nieszczęście nawet wspólność ostatecznego celu nie łączyła wszystkich członków Najwyższéj Rady; ci zaś z pomiędzy nich, którzy w téj mierze byli z sobą zgodni, nienawidzili się oso-

biście. Znamy już stosunek Ostermana (1) i Gołowkina do kolegów, dodajmy tu jeszcze, że pomiędzy dwiema książęcemi rodzinami, powołanemi do działania, w których ręku spoczywała cała przyszłość nowych urządzeń państwowych, panowały nieporozumienia, że mianowicie obydwaj feldmarszałkowie różnili się znacznie w zdaniach, że nie wszystkim przypadał do smaku arbitralny sposób postępowania Dymitra Galicyna, a na ojca byłego faworyta spoglądano bardzo niechętnie i podejrzliwie. Owe niesnaski i zatargi zaczęły niebawem przenikać po za obręb pałacu i stawać się przedmiotem publicznych rozmów. Wspomniany faworyt, kniaź Iwan Dołgoruki, sądząc że jak za poprzedniego panowania, tak i teraz wszystko mu wolno, polecił cofnąć grenadyerów, którzy od dawna odbywali straż w pałacu w. księżniczki Elżbiety. Dotknięta tém niemile carówna, odniosłszy się z zapytaniem do Rady, czy to nastąpiło na jéj rozkaz, otrzymała w odpowiedzi oświadczenie, że jeśli zuchwalec ośmieli się raz jeszcze przysłać do niéj kogoś z podobném zleceniem, aby posłańca kazała wychłostać, samemu zaś kniaziowi, jeśli się zjawi osobiście, może napluć w oczy (2).

Rada najwyższa chcąc okazać że jest wyrazem opinii całego ogółu kasty uprzywilejowanéj i że nie krępuje niczyjéj wolności, zapowiedziała przy odczytaniu warunków podpisanych przez Annę, że każdemu szlachcicowi, który, nie dając się uwodzić interesem osobistym, ma coś do zaproponowania, coby mogło być korzystném dla państwa, wolno wystąpić z projektem. Odwołując się do tego pozwolenia, zaniosły stosowne podania różne grona, złożone z wybitniejszych ludzi sfer cywilnych i wojskowych, lecz Rada nie uwzględniła ich życzeń, jako zmierzających widocznie do ukrócenia dyktatury osób, które obecnie w jéj skład wchodziły. Nie możemy tu przytaczać wszystkich tych desideratów; dość będzie, gdy wspomnimy o najpierwszym projekcie, który wyszedł z łona generalicyi

---

(1) Mardefeld pisze 23 lutego: „Die Membra des hohen Conseils sind vor einigen Tagen *en corps* zu dem Frh. v. Ostermann, welcher nochimmer krank ist, gekommen u. haben ihn gezwungen, gewisse Puncta, das neue Sistema betreffend, sambt ihnen zu unterschreiben. Sothane Gewaltthätigkeit hat dieser habile Minister mit grosser Vorbedacht abgewartet, umsich ausser aller Verantwortung zu setzen.... Bis dato will er keine Feder ansetzen."

(2) Relacya Mardefelda z dnia 20 lutego. Mardefeldt datuje swe raporty zawsze wedle nowego stylu. Szczegóły zawarte w téj relacyi są niejako odpowiedzią na rozkaz gabinetowy, wysłany z Berlina w dniu 11 lutego (a więc po otrzymaniu wiadomości o śmierci cara), w którym król nakazuje mu się starać o względy Iwana Dołgorukiego, „weil das *pouvoir* dieser nunmerigen Famille dominanter und an dem russischen Hofetag täglich grösser wird."

a innym stronnictwom posłużył snać za model, bo w sprawach zasadniczych biorą one sobie z niego wzór i przykład.

Generalicya jest przekonaną, że aby sprostać trudnemu zadaniu rządzenia wielkiém państwem, powinien się rząd składać nie z kilku, lecz przynajmniéj z 21 osób, aby zaś nawet tak wzmocnione ciało nie było przeładowane interesami, powinno sobie wziąć do pomocy senat, złożony z 11 osób. Kandydatów na stanowiska centralnego rządu, do senatu, na gubernatorów i prezydentów kollegiów, powinny proponować generalicya i szlachta. Z żadnéj rodziny nie można wybierać więcéj kandydatów, jak jednego. W Najwyższéj Radzie i w senacie, to jest razem w obydwóch tych korporacyach, mogą nadal zasiadać tylko dwie osoby z jednéj rodziny. W ważnych sprawach, szczególniéj odnoszących się do prawodawstwa, oprócz N. Rady powinny mieć głos i udział senat, generalicya i szlachta.

Nadto domagają się petenci zaprowadzenia niezbędnych reform w służbie wojskowéj, (aby żaden szlachcic nie był odtąd zmuszany do dłuższéj służby, aniżeli przez lat 20, nie musiał wbrew swéj woli pełnić funkcyi majtka lub rzemieślnika, aby pensye wojskowe wypłacano regularnie), żądają zniesienia przywileju pierworodztwa w sukcesyach, ulgi dla duchowieństwa i mieszczan, obarczonych różnemi ciężarami, a nawet zmniejszenia zbyt uciążliwych podatków, któremi dotychczas gnębiono lud prosty.

Rzecz prosta, iż N. Rada nie mogła przyjąć podobnych propozycyj, nie chcąc od razu abdykować i wypuścić z rąk władzy, któréj tak łaknęła; lecz z drugiéj strony łatwo odgadnąć, że wszystkie stronnictwa i koterye, które wystąpiły z memoryałami, widząc, iż nie zwrócono na nie wcale uwagi, czuły się tém w wysokim stopniu dotknięte i przechodziły do szeregów opozycyi. Zastęp zwolenników Rady przerzedzał się z dniem każdym, położenie jéj stawało się coraz krytyczniejszém, a przyjazd monarchini pogorszył tylko stanowisko członków samozwańczego rządu.

II.

Anna odbyła solenny wjazd do Kremla w samo południe 26 lutego n. st. Na kilka dni przedtém w porze wieczornéj, że użyjemy słów Mardefeldta, zajaśniała nad Moskwą wspaniała, niewidzianéj dotąd wielkości zorza północna. Przez kilka godzin niebo było jak krew czerwone a na wszystkie strony biły silne, olśniewające promienie téj saméj barwy. Jakkolwiek ludzie wykształceni uważali ten widok za naturalne zjawisko, lud jednak z trwogą i przerażeniem

patrząc na zakrwawiony horyzont, widział w tém zapowiedź przyszłych swych losów i pogrążał się w ponurych przeczuciach. Okazało się następnie, że nie sam lud miał powód do obawy...

Anna wyruszyła z Mitawy w cztery dni po otrzymaniu urzędowéj wiadomości o swym wyborze. Jechała do Moskwy przez Rygę, Psków, Nowogród i Twer—jechała w dziwnych warunkach, w charakterze tryumfatorki i więźnia zarazem. Ludność składała jéj wszędzie wiernopoddańcze hołdy, przyjmując monarchinią przy odgłosie dzwonów w jak najuroczystszy sposób; lecz osoba, którą spotykały te honory, nie miała swobody, będącéj udziałem zwykłego śmiertelnika. Pilnowana na każdym kroku najściśléj przez jednego z członków deputacyi, Wasila Łukicza Dołgorukiego, musiała patrzéć na to spokojnie, że nieugięty cerber strzegł jéj jak oka w głowie, a dla tém pewniejszego wywiązania się ze swéj misyi, sypiał tuż obok jéj komnaty. Niewolno jéj było zabrać z sobą Birona, do którego towarzystwa tak przywykła, że się bez niego obejść nie mogła, a jedyną jéj wówczas pociechę stanowiło obcowanie z dziećmi tego człowieka, które otaczała zawsze najżywszém przywiązaniem.

Niemniéj przykrą i uciążliwą straż rozciągał Wasil Łukicz nad swą władczynią w Kremlu, lecz zwolennicy Anny okazali się przebieglejszymi i chytrzejszymi od niego. Ponieważ nikt bez jego wiedzy nie mógł się widziéć z Carową, używano pośrednictwa osób i rzeczy, które nie wzbudzały podejrzenia. Od swego dawniejszego agenta, Rencholda Löwenwolda, otrzymywała Anna nowiny i rady przez jego kochankę, panią Łopuchim, w sukienkach Karola Birona, którego jéj przynoszono kilka razy dziennie, ukrywała się tajna korespondencya a Teofan, arcybiskup nowogrodzki, zręczny intrygant, któremu się udało pozyskać dla absolutyzmu cały wyższy kler z wyjątkiem arcybiskupa Łopatyńskiego i Daszkowa, przesłał jéj w darze piękny zegar, schowawszy w nim zredagowany przez Ostermanna memoryał, obejmujący szczegółowy plan dalszego postępowania.

Nienormalny ten stosunek nie mógł trwać długo; niejeden téż wypadek zapowiadał rychłą zmianę. Wprawdzie w cztery dni po przybyciu Anny składano rotę przysięgi wedle słów, przepisanych przez Radę, przyrzekając zawsze jak najusilniéj „starać się o pożytek i powodzenie Cesarzowéj i Ojczyzny“—jako się godzi“ prawdziwemu i wiernemu synowi ojczyzny“—ale wiele osób sarkało głośno przeciw formule przysięgi dla tego, że nie nadano w niéj Annie tytułu „samodzierżczyni,“ że zakradły się tam wyrażenia niejasne i dwuznaczne i nie oświadczono wcale, z czyjego rozkazu ma być przysięga składaną. Jakiś zuchwały oficer powiedział nawet, że lubo

on sam przysięgał, gdyby mu jednak Carowa kazała odprawić egzekucyą ścięcia członków N. Rady, nie wahałby się uczynić zadość rozkazowi (1).

Przez dwa tygodnie pracowały cicho i potajemnie stronnictwa, niezadowolone z obecnego położenia; w dniu 8 marca, w środę, dojrzał owoc tych zręcznych i starannie ukrywanych zabiegów. W stanowczym tym dniu rozkazała Anna kapitanowi gwardyi, Albrechtowi, rodowitemu Prusakowi, aby przyjmował rozkazy tylko od pułkownika Sałtykowa, podczas gdy dotąd straż zamkowa zostawała pod wodzą Wasila Łukicza Dołgorukiego. Dzięki temu zarządzeniu zebrało się w sali zamkowéj bez przeszkody 800 szlachty, głównie oficerów gwardyi. Zebranie to stosownie do umowy, zażądało unieważnienia paktów konwentów, narzuconych Carowéj i przywrócenia władzy absolutnéj, co téż otrzymało z łatwością. Przedarłszy rewers, podpisany przez siebie w Mitawie oświadczyła Anna, że będzie panowała jak matka swych poddanych. Pierwszymi jéj czynami jako samowładczyni były: akt wdzięczności i zadośćuczynienie zgwałconym uczuciom własnego serca. Generała Jagużyńskiego, wtrąconego do więzienia za to, że ośmielił się wskazać jéj drogę do samowładztwa, uwolniła niezwłocznie, oddała mu szpadę i order, obsypała go dowodami łaski i wdzięczności; Birona, którego zostawiła w Mitawie tylko na wyraźne żądanie deputacyi, w nadziei, że przymusowe rozłączenie nie potrwa długo, przywołała natychmiast do swego boku, a tęsknie tego wezwania oczekujący faworyt, w dziesięć dni późniéj był już u stóp swéj pani.

Od téj chwili zmienia się scena działania na moskiewskim dworze, zmieniają się także osoby, odgrywające na niéj role pierwszych aktorów. Niepodobnaby zrozumieć owych zmian i przebiegu następnych wypadków, nie poznawszy bliżéj dwóch postaci, stojących na czele rządu, z których jednę powoływała do władania jéj najwyższa w państwie godność, drugą zaś, pozbawioną wszelkich prawnych ku temu tytułów, wyniosły tak wysoko jedynie osobiste względy monarchini.

Anna, córka cara Iwana V i Praskowii Fedorownéj Sołtykowéj, a wdowa po Fryderyku Wilhelmie, księciu kurlandzkim, z którym

---

(1) Rel. Mardfeldta z dnia 6 marca. W raporcie tym „w obec bardzo delikatnéj sytuacyi" uważa poseł za swój obowiązek zapytać króla, jaka forma rządu w Rosyi byłaby milszą dworowi berlińskiemu. „Meinem wenigen Begriff—mówi—dürfte Ew. Kgl. Mt. das erstere (absolutyzm) vor der Hand convenabler sein, mit der Zeit aber und bei veränderten Conjuncturen könnte es vielleicht nicht schadenwann Moscau eine Republic, mithien nicht so redoutable wäre, als es bisher gewesen. „Odpowiedź Fryderyka Wilhelma I brzmiała: „Er soll vor die Souverenität sein."

żyła zaledwie dni kilkanaście, w porze naszego opowiadania liczyła lat 37. Wzrostu więcej niż średniego, dobrze zbudowana, otyła, o rysach wyrazistych i grubych, miała głos męzki, lubiła zajęcia i rozrywki, będące raczéj udziałem mężczyzn, jak jazdę konną i polowanie; w ogólności z wyjątkiem słynnéj księżnéj Daszkowowéj, nigdy podobno kobiéta nie miała bardziéj męzkiéj powierzchowności. Wstając dość wcześnie, pomiędzy godziną siódmą a ósmą z rana, nie wiele czasu traciła na toaletę, albowiem o czystość i wdzięczny układ stroju nigdy wiele nie dbała, a brud wcale jéj nie zrażał. Przepadała natomiast za zbytkiem; to téż wypiwszy kawę, z rozkoszą i zachwytem przeglądała wspaniałe zbiory drogich materyj i klejnotów, których widok dostarczał jéj codzień nowych wrażeń. Około godziny dziewiątéj podpisywała przedłożone sobie papiery, nie trudząc się zwykle ich odczytywaniem; brakło zresztą na to czasu. bo pragnęła podążyć co prędzéj do stajni, ulubionego miejsca rozrywki Birona. Tutaj spędzała wraz z faworytem po kilka godzin z rzędu, słuchając jego hippicznych wywodów i dosiadając koni— tutaj nawet udzielała posłuchań, gdy wypadało załatwić sprawę, nie cierpiącą zwłoki, a nie chciała jeszcze wracać do pałacu. Mówiono, że większą część swych gustów i upodobań przejęła od Birona; jakoż odznaczał on się zamiłowaniem zbytku i przepychu a bez koni żyć nie mógł.

Niemniéj lubiła strzelanie ~~od~~ do zwierząt, zwłaszcza do ptaków; to téż wyszedłszy ze stajni, oddawała się téj zabawie. Zwykle jéj towarzystwo przy obiedzie stanowiła rodzina Bironów; tylko w dni galowe jadała publicznie z siostrzenicą Anną i w. księżną Elżbietą. Po obiedzie kładła się dla wypoczynku rosyjskim zwyczajem na łóżku; faworyt i wtedy musiał jéj dotrzymywać towarzystwa. Po godzinnéj sieście obudzało się w niéj pragnienie nowéj rozrywki; ponieważ zaś lubiła śpiew, przeto otworzywszy podwoje do przyległéj komnaty, wołała na zgromadzone tam panny honorowe:

— Nu, diewki, pojte!

W przeciwstawieniu do dworu berlińskiego, gdzie sławnemu z brudnego skąpstwa Fryderykowi Wilhelmowi I, musiano przedstawiać najbardziéj drobnostkowe rachunki kuchenne, wyliczające cenę każdéj cytryny, mleka i jaj w wysokości kilku fenigów, gdzie do przysmaków królewskiego stołu należał groch ze słoniną a i tych grubych potraw, jak się w swych pamiętnikach uskarża księżna Baireuth, nie dawano w dostatecznéj ilości—panował w Kremlu prawdziwie oryentalny zbytek. Anna nie grzeszyła nigdy oszczędnością; jako księżna kurlandzka nie mogła wybrnąć z długów, osiadłszy zaś na tronie wielkiego państwa, odznaczała się więcéj niż kró-

lewską rozrzutnością. Otoczyła się wtedy blaskiem i pompą, choć w nienajlepszym smaku, a rozsypywanie złota i uszczęśliwianie niém otoczenia, sprawiało jéj niezwykłą przyjemność. Na wieczorach recepcyjnych zakładała sama bank faraona lub innych gier hazardownych. Stawki były bardzo wysokie, wygrywano nieraz wiele tysięcy rubli, lecz Anna była wspaniałomyślną, płacąc bowiem gotówką, ilekroć przegrywała, nie miała zwyczaju brać wygranych pieniędzy. To téż zaproszenie do gry uważano za osobliwą łaskę monarchini; wybrańcy ci bogacili się jéj kosztem, szczególniéj zaś Biron, którego nigdy nie brakło przy zielonym stole, gdy Carowa bank trzymała.

Gwałtowna i namiętna, pod pierwszym popędem gniewu nawet okrutna, nie chowała długo urazy i chętnie przebaczała, jeśli na to dozwalał faworyt; w przeciwnym razie lubo z żalem, ulegała jego woli. Kobiéta żwawéj ręki i niewstrzemięźliwego języka, nie zawsze próbowała panować nad sobą, a szczególniéj panien honorowych nie oszczędzała: Żona Sergiusza Piotrowicza Dołgorukiego przeszła potajemnie na katolicyzm. Oburzona tą apostazyą Anna, skazała prozelitkę na wygnanie i wezwała ją na pożegnalną audencyą. Gdy księżna wedle dworskiego ceremoniału całowała rękę carowéj, ta wymierzyła jéj silny policzek, zasypała strwożoną gradem obelżywych epitetów i odprawiła następnemi słowy:

— Poszła won, mierzawka! (hultajka, łajdaczka).

Inną razą spostrzegłszy, że stojące w orszaku śpiewających panien dworskich Anna i Zofia Aleksiejewny Sołtykowny, przestały śpiewać, zapytała je o przyczynę. W odpowiedzi jedna tłómaczyła się zmęczeniem, druga zaś dodała, że śpiewały już dosyć. Rozgniewana tą zuchwałością autokratka, wypoliczkowała obydwie, kazała je oćwiczyć rózgami i posłać za karę na robotę do pralni dworskiéj. Po tygodniu z miłości dla swéj krwi, bo była z niemi spokrewniona, uwolniła je z pokuty.

Zupełny niemal brak świadectw o usposobieniu i charakterze Anny w porze, gdy jeszcze nie zostawała pod kuratelą Birona, nie dozwala nam rozróżnić ściśle, co w niéj było przyrodzoną skłonnością, a co wynikiem ślepéj uległości dla faworyta. Nie można jéj nazwać złą kobiétą, a nawet odmówić pewnéj dobroci serca, lecz była słabą, łatwo poddającą się podszeptom osób, którym ufała a wpływ, jaki na nią wywierał faworyt, był ze wszech miar zgubny i złowrogi. Nie wątpię, że gdyby nad jéj sercem i umysłem zapanował mąż szlachetny, mający wyższe cele na oku, byłoby jéj panowanie zostawiło zupełnie inną pamięć w historyi; wszakżeż mimo dziwnego czaru, jaki na nią wywierał ten zły demon, próbowała od czasu do czasu powstrzymać jego okrutną rękę, prośbą i łzami nakłonić go do ła-

godności. Ale Biron bywał w takich wypadkach nieugiętym, nieubłaganym; stawiał kwestyą na ostrzu noża, bo znając swą nieprzepartą siłę, mawiał: „albo on, albo ja"—i temi groźnemi słowy usuwał zwycięzko wszelki opór.

Anna zarówno intelektualnie, jak moralnie wyżéj stała do obydwóch sióstr swoich, od młodszéj, Praskowii, skrofulicznéj ograniczonéj, rażąco brudnéj i niesłychanie skąpéj i od starszéj, Katarzyny, wydanéj za księcia meklembursko-szwerynskiego, Karola Leopolda, nieznośnego tyrana, którego właśni poddani wypędzili z kraju. Wprzód jeszcze porzuciła go żona, godna takiego męża, jak widać z przydomku, nadanego jéj przez Meklemburczyków (*wilde Herzogin*). Mała, gruba, pospolita. dopóki nie wpadła w gniew, miała zwyczaj śmiać się głośnym, grubym śmiechem; ukojenia trosk i kłopotów szukała na dnie kieliszka, w końcu piła wyłącznie prostą wódkę, co podobno śmierć jéj przyśpieszyło.

Wolna od tego nałogu, lubiła Anna wino, lecz używała go z umiarkowaniem, z przyjemnością natomiast widywała innych, przebierających miarę w trunku, szczególniéj w dniu 30 stycznia. Dzień ten obchodzono na dworze bardzo uroczyście, jako rocznicę ogłoszenia Anny Carową; należało wtedy do obowiązków patryotyzmu pić na zabój, aby okazać radość z wstąpienia na tron panującéj szczęśliwie monarchini. Niedoścignionym w téj mierze był sławny mistrz pijaństwa, kniaź Aleksander Kurakin, wielki koniuszy; z łatwością przychodziło mu składać najwymowniejsze dowody przywiązania do tronu, pojętego w tak oryginalny sposób, bo palenie ofiar na ołtarzu Bachusa należało do największych rozkoszy jego żywota.

Na ustalenie charakteru, nawyknień i trybu życia Anny, wpłynęło przeważnie wczesne jej odosobnienie. Piotr I w widokach politycznych bezpośrednio po przedwczesnym zgonie księcia Fryderyka Wilhelma, przeznaczył jéj Kurlandyą na miejsce stałego pobytu. Prowadziła tu młoda wdowa osobny dwór zdala od rodziny, pozbawiona towarzystwa osób, równych jéj urodzeniem. Mając lat ośmnaście skosztowawszy zaledwie małżeńskiego pożycia, ujrzała się nagle w obcym kraju, wśród obcego otoczenia, skazaną na niemiłą i nudną egzystencyą. Gdyby była posiadała wyższe wykształcenie, nie trudno przyszłoby jéj urozmaicić sobie jednostajność wygnania, lecz otrzymała bardzo zaniedbane wychowanie a książka nigdy jéj nie nęciła. W takich warunkach niedziw, że starała się rozerwać, zawiązując bliższe stosunki z ludźmi, z którymi los ją zetknął. W braku innych padł jéj wybór najprzód na Piotra Michałowicza Bestużewa-Riumina, ojca kanclerza, który bawił przy niéj w Mitawie w cha-

rakterze rezydenta i ochmistrza dworu. Zbyt wielka jednak różnica wieku nie wróżyła trwałości temu związkowi; jakoż pięćdziesięcioletni dyplomata wypadł wkrótce z łaski księżny. Przelotnie równie panowali w jéj sercu Maurycy Saski i Wasili Łukicz Dołgoruki. Pełen rycerskich przymiotów syn Augusta II i Aurory Königsmark, obudził w niéj gorącą zrazu chęć połączenia się z nim węzłem małżeńskim. Okazywała mu przez dłuższy czas wielkie względy, odbywała nawet w jego interesie podróże do Rygi i Petersburga, gdzie zdołała wzbudzić chwilowe sympatye dla swego ulubieńca, nie wahała się występować śmiało przeciw potężnemu Mienszykowowi i wpływać tak skutecznie na uległego sobie Dołgorukiego, że ten wbrew odbieranym ze stolicy instrukcyom, w pewnych chwilach nietylko oszczędzał, lecz nawet faworyzował hrabiego. Rozwinięta w téj porze pod wpływem uczucia energiczna czynność Anny, świadczy wymownie, jak dalece błądzą ci, co pragnąc najtrwalszemu jéj związkowi z człowiekiem bez imienia i przeszłości, nadać jakąś nieokreśloną, platoniczno-sentymentalną cechę, usiłują nas przekonać, że była zbyt flegmatyczną, aby mogła utrzymywać z kimkolwiek miłosny stosunek. Gdybyśmy nawet przeciw tak dziwacznemu twierdzeniu nie mogli przytoczyć poważnych świadectw współczesnych, wystarczyłby psychologiczny rozbiór samych powszechnie znanych faktów. Historya bowiem nie wskazuje przykładu, aby kobiéta, będąca jeszcze w kwiecie wieku, w epoce życia. gdy tak serce, jak krew biją silném tętném, pochodząca z rodziny znanéj z rozwiązłości, człowieka, pochodzącego z niższych warstw społecznych wyniosła do najwyższych stopni, obsypała bogactwami a będąc samowładną panią ogromnego państwa, oddała mu się w bezwarunkową niewolę do śmierci jedynie—z wzniosłych pobudek szacunku i przyjaźni.

Nie od razu, jak się zdaje, owładła nią namiętność tak potężnie. Była to może dla niéj z początku miłostka w rodzaju poprzednich, któréj jednak młodość, uroda i zręczność mężczyzny nadały z czasem szczególny powab. W pierwszych jednak latach nie można było sądzić, aby ów związek był nierozerwalnym; przeciwnie Anna mimo węzłów, łączących ją wtedy już z Bironem, rzuca się w objęcia Maurycego Saskiego, który nietylko był młodym, przystojnym, zalotnym i pełnym towarzyskich przymiotów, lecz nadto cieszył się już sławą bohatera. Anna porusza wszelkie sprężyny, ażeby go zaślubić, a lubo pojęcia moralne hrabiego były dość luźne, nie przypuszczamy, iżby po ślubie zechciał był ścierpieć przy sobie przyjaciela żony.

Ale księżna doznała w końcu smutnego rozczarowania ze strony człowieka, któremu okazywała tyle względów. Płochy zdobywca serc niewieścich, przywykły na dworze Ludwika XV do zbyt łatwych podbojów, zniewolony z politycznych przyczyn grać komedyą gorącéj miłości do otyłéj i nieładnéj kobiéty, która nie mogła go nęcić ani świeżością młodości, bo dawno już przebyła wiosnę życia, ani urokiem konwersacyi francuzkich salonów—musiał po chwilach niemiłego przymusu odetchnąć u stóp jakiejś piękności. Odkrywszy wśród francymeru Anny powabną twarzyczkę, zwrócił na nią swe oko, a uszczęśliwiona bogini nie okazała się srogą. Skutki téj płochości miały się okazać zgubnemi dla Maurycego. Uwiadomiona o niewierności kochanka Anna, odwróciła się od niego z dumą kobiety obrażonéj w najdelikatniejszych uczuciach, i odtąd zostawiła go jego losowi.

Byłoby to dla nas ważną rzeczą, gdybyśmy wiedzieli, czy i jaką w téj sprawie odegrał rolę Biron—i czy może za jego pośrednictwem wykryła się miłosna intryga? Tyle jest rzeczą pewną, że z takiego rozwiązania stosunku on wyciągnął największe korzyści, bo księżna zawiedziona przez świetnego wodza francuzkiego, tém bardziéj zbliżyła się do swego dworzanina i odtąd nigdy mu już nie dała powodu do zazdrości.

Nie myślimy zatapiać się w wywodach o ciemnéj historyi przodków faworyta; dość będzie, gdy powiemy, że najbieglejsi architekci heraldyczni nie zdołali mu zbudować genealogicznego drzewa a szlachta nadbaltycka drwiła z pysznego parweniusza, zowiąc go potomkiem masztalerzy i przewoźników. Szlachcice kurlandzcy, dumni kilkowiekową przeszłością swych rodów, nie chcieli z nim razem pełnić służby dworskiéj u „księżnéj,“ jeszcze w r. 1727 pomimo usilnych starań nie przyjęło go rycerstwo a do swego pocztu, ponieważ nie mógł przedłożyć dowodów szlacheckiego pochodzenia. On sam podpisywał się zawsze Ernest Jan Biron, i tak téż stale nazywać go będziemy, skoro pod tém przywłaszczoném imieniem przeszedł do historyi, lecz właściwe jego nazwisko brzmiało podobno *Büren* czy *Bieren*. Urodził się 23 listopada r. 1690. Ojciec jego, Karol, trzymając prawem lenném książęcy folwark, Kalnezeem, szczupłe dochody, płynące z téj posiadłości, łożył na wychowanie synów. których miał jeszcze dwóch, Karola i Gustawa. Późniejszy regent Rosyi spędził czas pewien na uniwersytecie królewieckim, lecz jak się zdaje niezbyt gorliwie poświęcał się naukom, bo wykształceniem nie celował, a tylko językiem niemieckim dobrze władał. Powróciwszy z Królewca miał zajmować skromną posadę nauczyciela domowego. Jego historyczny zawód rozpoczyna się dopiero od chwili, gdy go Anna

przyjęła do swéj służby i mianowała przybocznym sekretarzem. Od pierwszego widzenia, jak zaręczają, sprawił na niéj bardzo korzystne wrażenie.

Wedle opisów nieprzyjaznych nawet osób, miał Biron niemało warunków, zdolnych mu zyskać względy kobiet. Wzrostu więcéj niż średniego, był wtedy wysmukłym i pełnym ujmującéj gracyi w obejściu; nawet w późniejszych latach nabrawszy już tuszy, zachował pewien wdzięk ruchów i całego układu. Dzielną i skuteczną broń posiadał w oczach, o których kolorze nic jednak nie wiemy; przenikliwym, pełnym wyrazu i uroku wzrokiem umiał pociągać ludzi, którym chciał się przypodobać, ale dla osób podrzędnych lub nielubianych miewał spojrzenie surowe, badawcze i przykre a w chwilach uniesienia rzucał błyskawice i płomienie. Podobnież głos miał donośny, lecz miły i melodyjny wobec ludzi, o których przyjaźń lub względy mu chodziło, zwykle suchy i szorstki, w gniewie zaś piorunujący i straszny. Upatrywano w nim trzy rozmaite indywidualności, niepodobne wcale do siebie: Birona uniżonego, nadskakującego z rzadką układnością i słodyczą, Birona władcę i pana, przemawiającego wyniośle do korzącego się dworu i Birona w gniewie, gdy się nie potrzebował hamować i mógł dać uczuć całą wagę swéj niełaski.

Odznaczał się nie tyle rozumem i nadzwyczajną bystrością, ile niezwykłym sprytem i zręcznością w postępowaniu. Obdarzony w wysokim stopniu talentem podobania się, mistrz w intrydze, ilekroć kogoś nie mógł zastraszyć, potrafił go w końcu ująć, jeśli to było w jego interesie. Mimo bardzo powierzchownéj edukacyi obcując, zwłaszcza już w Rosyi, z uczonymi i znakomitymi ludźmi, nigdy nie dopuścił, aby mu ktokolwiek zaimponował, nigdy nie zdradził swéj ignorancyi, bo pamięć miał wyśmienitą, cokolwiek przeczytał, to pozostawało jego własnością na zawsze i w danym razie było umiejętnie zużytkowane, a mając przewagę nad interlokutorem, nadawał rozmowie obrót dla siebie dogodny. Namiętny lubownik i znawca koni, najchętniéj o nich rozprawiał, a gdy rozmawiając z obcym dyplomatą, czuł się zakłopotanym, temat ten stanowił zwykłą jego ucieczkę. Z tego powodu hr. Ostein, poseł austryacki, rozpuścił złośliwy koncept, że gdy Biron odzywa się o koniach lub do koni, wtedy mówi jak człowiek, lecz przemawiając o ludziach lub do ludzi, mówi jak koń.

Wbrew temu niesprawiedliwemu orzeczeniu, natchnionemu osobistą niechęcią, gładka, żywa i barwna wymowa, połączona z talentem szybkiego oryentowania się, należała do nieposlednich zalet faworyta. Dzięki temu darowi, śmiałości i schlebianiu osobie, któ-

réj namiętność obudził, stał się dla niéj niezbędnym, był jéj wyrocznią i przedmiotem bezwzględnego uwielbienia. Nie czyniła téż nic bez jego wiedzy i woli, nawet w przedmiocie strojów zasięgała rady téj uniwersalnéj w jéj oczach powagi, a ster władzy powierzyła niepodzielnie jego rękom, jakkolwiek nie zajmował formalnego stanowiska ministra.

Na dworze moskiewskim ukazał się Biron po raz pierwszy podczas koronacyi Katarzyny I, na któréj to uroczystości występował w charakterze delegata swéj pani. W Moskwie wiedziano o jego wielkim wpływie na Annę; to téż gdy krótko przed śmiercią Piotra II, Korf w imieniu księżnéj prosił o podwyższenie jéj pensyi, odpowiedziała mu Najwyższa Rada wedle Mansteina, że uczynionoby to chętnie, gdyby jéj funduszami nie rozrządzał Biron (*mais qu'on ne vouloit pas, que Bieren en disposât*).

Wśród okoliczności, nie znanych bliżéj, zaślubił Ernest Jan w r. 1723 nadworną pannę Anny, nie celującą wcale wdziękami Benignę von Trotta Treyden. Wiedziała ona niezawodnie z góry, jakie stanowisko zajmować będzie jako trzecia osoba w tym związku przyjaźni, pogodziła się ze swym losem i nie okazując nigdy uroszczeń w téj mierze, zbierała pełną ręką owoce swéj wyrozumiałéj powolności. Pisarze niemieccy zachwycają się obrazami „idyliczno-familijnego pożycia,“ jakie trzy te osoby wśród objawów rozczulającéj zgody i serdecznego przywiązania prowadziły w cichéj Kurlandyi, „zapominając o świecie i przez świat prawie zapomniani,“ zanim interes państwa powołał ich na szerszą arenę politycznego działania. Rzeczywiście Anna uczucia, żywione dla faworyta, przeniosła na jego potomstwo, a Bironowie umieli ocenić te względy, skoro jadącéj do Moskwy w porze zimowéj powierzyli dzieci.

Bezbrzeżną była ambicya i pycha Birona, gdy się ujrzał samowładnym panem Rosyi. Zostawiwszy tytuł władzy Annie, był *de facto* carem, jak to jednomyślnie przyznają obcy dyplomaci, przebywający na dworze rosyjskim, i lubił okazywać swą potęgę. Tłum dworaków drżał i płaszczył się przed nim, potomkowie starożytnych rodów, generał kniaź Boriatyński, kniaź Szachowski, generalny prokurator państwa Nikita Trubecki i inni, zapominając o swéj godności, zbliżali się do niego z czołobitnością poddańczą, całowali go w ręce jak monarchę, a on przyjmował to wszystko, jako cześć sobie należną. Wielokrotnie wygłaszał zasadę, która była hasłem jego życia: *il faut se pousser au monde*. Dążąc do wytkniętego z góry celu, nie dbał nigdy o wartość środków; skryty i przebiegły, dopóki się kryć potrzebował, stanąwszy u mety, zdejmował maskę

i postępował z cyniczną otwartością. Było wtedy w zwyczaju na dworze okazywać wzgardę narodowi, któremu się panowało. Przeznaczona na następczynią carowéj Anna, księżna brunświcka, odzywała się często: *„ah! ces cochons russes!“* sam Biron nie lepiéj ich traktował. Nietylko jemu samemu, lecz także jego synom, źle wychowanym, bo nad wszelką miarę psutym i gburowatym chłopakom, wszystko uchodziło na dworze, albowiem najniegodziwszy nawet figiel popełniony przez nich, wzbudzał powszechny zachwyt. Do najulubieńszych ich żarcików należało wylewanie wina na ubiory dworaków lub niespodziane zdzieranie im z głowy peruk, gdy siedząc zajęci rozmową, nie przeczuwali co im grozi. Młodszy Karol, ożeniony późniéj z polką, Apolonią Ponińską, słynny utracyusz, który nawet siedział w Bastylii za długi, miał zwyczaj przebiegać sale pałacowe z rózgą aby chłostać dygnitarzy i dworaków po łydkach. Pewnego razu zamierzył się na w. marszałka Reinholda Löwenwolda, lecz ten podskoczywszy zgrabnie, uniknął ciosu. Wtedy mały hultaj pobiegłszy daléj, uderzył generała *en chef* kniazia Iwana Federowicza Boriatyńskiego. Generał, choć zwykle uległy sługa faworyta, w tym razie nabrawszy wyjątkowo odwagi, ośmielił się użalić przed ojcem na syna i powiedzieć, że wobec takich wybryków swywolnego chłopca nie podobna będzie przychodzić na pokoje. Zdumiony zuchwalstwem pochlebcy Biron, zmierzywszy go ponurym i pogardliwym wzrokiem, odparł wyniośle:

— Jeśli pan niezadowolny, możesz zażądać dymisyi; przyrzekam że ją otrzymasz.

Ale generał zamiast prosić o uwolnienie od obowiązków, połknął upokarzającą pigułkę i tém skwapliwiéj odtąd starał się o pańskie względy.

Zrodzony niemal w niedostatku, ujrzawszy się z czasem panem ogromnéj fortuny i olbrzymich dochodów, płynących coraz obficiéj z najrozmaitszych źródeł, rozkoszował się Biron swemi bogactwami i rozpraszał je z królewską rozrzutnością, chcąc wszystkich olśnić i wprawić w zdumienie; budował w Kurlandyi wspaniałe zamki, prowadził dom z niesłychanym przepychem, miał niezliczoną ilość kosztownych zaprzęgów i najdroższych klejnotów. Nie było wydatku przed którym-by się cofnął, gdy chodziło o zaimponowanie ludziom i zadośćuczynienie próżności. Nie potrzebował się lękać finansowéj ruiny, bo w każdéj chwili mógł swą kasę zapełnić milionami; sam więc wydawał olbrzymie sumy i przyznać to trzeba, nie szczędził niczego żonie, która brak rodzinnego szczęścia starała się okupić zewnętrznym blaskiem. Dziwy opowiadają o jéj zbytkownych strojach. W przeciągu kilku lat miała na nie wydać dwa

miliony z górą rubli, a gdy mąż jéj został regentem, kupiła sobie suknią z karmazynowego atłasu, przybraną bogato w perły, za sto tysięcy rubli. Próżna ta kobieta w oryginalny sposób okazywała swą wielkość; przedrzeźniając monarsze zwyczaje, nie udzielała posłuchań inaczéj jak na tronie i dawała do pocałowania — obydwie ręce.

Znakomite sumy czerpał Biron z samych, bezpośrednich darów Anny. Obdarzywszy ulubieńca godnością wielkiego podkomorzego, połączoną ze stopniem rzeczywistego radcy przybocznego, obsypywała go systematycznie dowodami nieograniczonéj łaski i szczodrobliwości. Uradowana ważnym faktem zdobycia Gdańska, darowała mu 180,000 talarów, jak gdyby ówczesny tryumf rosyjskiego oręża był jego zasługą, a że pominiemy inne bardzo często powtarzane upominki, dawała mu pieniądze na zakupno licznych dóbr rycerskich w Kurlandyi, Biron zaś umiał jéj wspaniałomyślność tak doskonale wyzyskiwać, że w ciągu niespełna trzech lat wydał na ten cel olbrzymią na owe czasy kwotę 600,000 tal. alber.

Ale to wszystko otrzymywał on, wedle pisarzy nadbaltyckich, na legalnéj drodze, z łaski monarchini, zawdzięczał to dobroci swéj cesarskiéj przyjaciółki. Rosya była państwem absolutném a carowa nieograniczoną panią w rozdawnictwie dóbr państwowych i zasobów skarbu publicznego; żadnemu jéj darowi, choćby zakrawał na największy wybryk, nie można z prawnego stanowiska nic zarzucić....

Najbardziéj jednak naciągane argumenta prawne nie obronią faworyta, jak zobaczymy niżéj, od ciężkich zarzutów najnieuczciwszego wyzyskiwania kraju, powiedzmy szczerze, praktykowanéj na wielką skalę kradzieży. Nie wątpiący o niczém jego ziomkowie i urodzeni obrońcy, nie mogąc zaprzeczyć zbyt jawnym faktom, nie dają mimo to za wygraną. Zdaje się tym pisarzom, że swego bohatera oczyścili zupełnie, przeciwstawiwszy mu takich koronnych łupieżców, jak Mienszykow i Dołgoruki, którzy wypróżniali skarb i obdzierali cesarskie pałace; szczytem zaś ich argumentacyi jest przytoczenie wielce wymownego i charakterystycznego przykładu, którego im wcale nie zazdrościmy. Clive, zdobywca Indyi, oskarżony, że książąt indyjskich zmusił do złożenia sobie darów w wysokości kilkukroć stu tysięcy funtów szterl., na całą obronę odpowiedział pełnym zdumienia okrzykiem:

— Na Boga, milordowie, dziwię się że nie wziąłem więcéj!

„Toż samo mógłby był o sobie powiedzieć Biron“ — mówi profesor dorpackiego uniwersytetu C. Winkelmann w słabéj, lecz mocno niemiecką tendencyą zabarwionéj rozprawie p. t. *Russland und Ernst*

Johann Biron. Tenże gorliwy adwokat faworyta, jak widzimy, nie krępujący się bynajmniéj moralnemi skrupułami, decyduje się niemal na przyjęcie cyfry czternastu milionów rubli, znalezionych u niego w gotówce i brylantach w chwili, gdy został uwięziony, pomimo niezmiernie rozrzutnego trybu życia Birona; jest tu zaś jedynie mowa o sumach, znalezionych na miejscu, nie licząc kapitałów, umieszczonych już oględnie za granicą. Cyfra ta wydaje mu się jednak dla tego nieco podejrzaną i przesadzoną, że całoroczne dochody państwowe w ówczesnéj Rosyi nie wynosiły wedle niego wiele więcéj (?), jak dziesięć milionów. Otóż przyjąwszy nawet, że tyle jedynie płynęło corocznie do skarbu publicznego, wypada zapytać, czy tylko z niego wyłącznie czerpał Ernest Jan? czyż uczony niemiecki zapomina, że faworyt przyjmował chętnie hojne dary od postronnych monarchów, że wielką rubrykę w jego budżecie stanowiła sprzedaż urzędów i wszelkiego rodzaju zdzierstwa! Poseł saski Lefort, opowiada w swych relacyach, że wpływowe figury dworu Anny skwapliwie przyjmują podarki i kubany, jedną zaś trudność dla dającego stanowi okoliczność, aby zachować odpowiednią miarę w obdarzaniu czekających na to osób, obrażano się bowiem zbyt skromną ofiarą.

Niejeden znaczny dar przyjmował Biron z wiedzą Anny, która wedle świadectw dyplomatów, bawiących na jéj dworze, wolała widzieć faworyta, przyjmującego hojne dary, niż je otrzymywać sama. Dla tego téż, jak widzimy z relacyi posła saskiego, ks. Lynara, August III w chwili, gdy prosił carową o pożyczkę, przesłał Bironowéj swój portret i wspaniałą szpilkę w cenie 20,000 tal. Równocześnie przeznaczono dla żony Ostermanna pierścień za 10,000 tal., lecz poseł nie miał odwagi wręczyć jéj tego podarunku, aby, jak mówi, nie wzbudzić zazdrości Bironowéj. Cesarz Karol VI dla ujęcia sobie faworyta, darował mu własny wizerunek, obsypany suto dyamentami, wartości 30,000 tal., mianował go hrabią i kupił mu od hr. Dohny na Szlązku dobra za trzykroć sto tysięcy. Nienasycony tém parweniusz, gdy w szczodrobliwości dworu wiedeńskiego nastąpiła niejaka przerwa, skarżył się gorzko na zaniedbanie i utrzymywał, że dodane do portretu cesarskiego dyamenty, są lichego gatunku. Ale nic zabawniejszego jak targi, prowadzone przez długie miesiące a nawet całe lata pomiędzy Fryderykiem Wilhelmem I a jego posłem, Mardefeldem. Brudny skąpiec i zdzierca w koronie, bezwzględny bałwochwalca pieniędzy, miał wedle przysłowia węża w kieszeni i wydawać nawet drobnych sum nie lubił. Kiedy już wypadało koniecznie podejmować gościnnie przejeżdżającego przez Prusy Piotra I, o którego względy się ubiegał,

przykazał najsurowiéj, aby pod żadnym warunkiem nie wydać więcéj jak sześć tysięcy talarów, a rozgłaszać po świecie, że koszta przyjęcia wyniosły 40,000! Można więc łatwo pojąć, jakie znosił męki, odbierając od Mardefeldta doniesienie za doniesieniem, że nie można liczyć na poparcie widoków i interesów pruskich przez faworyta, bez ofiarowania mu dwuchkroć stu tysięcy talarów. Przerażony tą straszną dla siebie nowiną, nie chciał z początku o niéj słuchać, lecz wabiony nadzieją terytoryalnych nabytków, powracał do téj myśli, zapewniał, że chociaż na niepewne nie chce wydać „beczki złota,“ mimo to gotów się dobrze opłacić, nie prędzéj jednak, jak gdy wedle własnych słów, będzie miał kota w miechu. Zdaje się, że obydwaj ci zacni ludzie chcieli się nawzajem wywieść w pole, bo Kurlandyą, która stanowiła główny przedmiot układów, przeznaczał już Biron wtedy dla siebie, a król pruski otrzymawszy ją dla syna, nie byłby się zapewne kwapił z wypłatą. Ostatecznie więc zdobywane różnemi sposobikami pruskie talary zostały w Berlinie, lecz skąpy król zawiódł się we wszystkich rachubach i w żadnym punkcie nie doznał upragnionego od Rosyi poparcia. Dwóch tych ludzi, lubo obdarzonych charakterami wręcz przeciwnemi, zbliżała przecież wspólna im chciwość, którą starali się zaspokoić podobnemi środkami. Fryderyk Wilhelm I nie tylko sprzedawał pierwszemu lepszemu order *„de la générosité,“* a jeśli znalazł naiwnego ochotnika, zapisywał z radością w kalendarzu *„heute wieder einen Hasen gefangen“* — lecz nadto tak skwapliwie za odpowiednią sumę rozdawał urzędy każdemu, kto tylko stanął do licytacyi, że jego syn i następca Fryderyk II, po wstąpieniu na tron musiał osobnym rozkazem gabinetowym zapowiadać, iż służącym i lokajom nie wolno odtąd udzielać posad w królewskich kancelaryach.

Biron, zbyt pyszny, aby się osobiście miał zajmować tego rodzaju handlem, załatwiał najdrażliwsze interesa przez nader zręcznego powiernika, żyda Lippmanna, którego uczynił swym wspólnikiem i przypuścił do części zysków, a dla dodania powagi wyrobił mu najprzód tytuł nadwornego bankiera, późniéj zaś najwyższego komisarza dworu (*oberhofcommissar*). Ulubiony i poufny ten doradca faworyta, przypuszczany nawet do udziału w naradach swego protektora z ministrami, był figurą znaczącą na dworze a wszyscy mu nadskakiwali, wiedząc że jest prawą ręką dyktatora. Miał on rzeczywiście wpływ wielki i nadużywał go często w sposób niegodziwy wraz ze swym współwyznawcą i przyjacielem Bielenbachem. Wszelkie urzędy, godności i zaszczyty sprzedawał jawnie z polecenia Birona, w końcu jednak zdradził go w widokach własnego oca-

lenia, bo w chwili jego upadku pośpieszył donieść Annie brunświckiéj, gdzie uwięziony regent umieszczał swe kapitały.

Twarde były rządy Birona, ciężką i żelazną jego ręka, w tradycyi ludowéj smutnéj do dnia dzisiejszego zażywa sławy tak zwana Bironowszczyzna, czyli straszna epoka wszechwładzy faworyta. Doprowadził on kraj, szczególniéj prowincye do zupełnéj ruiny, a z obawy przed wybuchem utrzymywał całą armią szpiegów, czyhających na każdą oznakę niezadowolenia. Dochody państwa zbliżały się do cyfry 15 milionów rubli; w porze wstąpienia Anny na tron, suma podatków zaległych wynosiła około siedmiu milionów. Biron, który wysilał swój spryt na wyszukiwanie nowych źródeł dochodów, aby z nich tém obficiéj mógł czerpać na własne fantazye i zachcianki, uprosił Annę, że pozwoliła mu ściągać zaległości w sposób, jaki uzna za stosowny i oddała pod wyłączny jego zarząd kapitały, mające się zebrać na téj drodze. Wydano rozkaz, aby wszyscy dłużnicy uiścili się niezwłocznie z zaległych podatków. Plan egzekucyi był obmyślany z wyszukaną przebiegłością; ukaz ogłaszał, że zamożni włościanie gminy odpowiadają za ubogich, właściciele za poddanych, wojewoda za powierzone swéj władzy miasta i obwody. I działy się z inicyatywy niemieckiego awanturnika rzeczy, na które nie zdobyli się ani Mienszykow, ani Dołgorukowie, jakkolwiek lubią go z nimi zestawiać jego panegiryści. Gromady żołnierstwa szły od wsi do wsi i z miasta do miasta, z surowym rozkazem nie powracania bez zdobyczy. Nie znajdując zwykle gotówki, zabierali bez litości, cokolwiek miało jakąkolwiek wartość, a więc konie, bydło, pościel i wszelkie ruchomości, które sprzedawali za bezcen na miejscu. Gdy otrzymana ze sprzedaży kwota nie wystarczała, zakuwano samych właścicieli w kajdany i wleczono do sądu, gdzie obnażonych do kolan nieraz wśród przejmującego mrozu, do krwi bito rózgami w łydki; szlachciców, również okutych, trzymano w więzieniach o chlebie i wodzie, dopóki nie spłacili wszystkiego, w przeciwnym zaś razie oczekiwał ich Sybir. Lippmann sprzedawał nadto nominacye na komisarzy podatkowych oficerom gwardyi, którym służyło prawo skazywania na więzienie i chłostę przedstawicieli wszystkich stanów, nie wyjmując samych wojewodów; to też opłacano się grubo tym satrapom.

Barbarzyński ten system rządzenia wywoływał w kraju paniczny postrach. Jęczący pod brzemieniem dotkliwego ucisku chłop moskiewski uciekał wprawdzie i dawniéj ze swych siedzib, lecz nigdy dotąd nie przybrała emigracya tak wielkich rozmiarów. Zabrawszy konie i bydło, uchodzili włościanie przed egzekucyą w lasy, a całe obszary niegdyś zamieszkane, pustoszały do niepoznania.

Podobno w obrębie samego obwodu Perejasławia Zaleskiego 68 wsi świeciło wyludnieniem i pustką. Podczas Bironowego samowładztwa wyemigrowało z pogranicznych ziem rosyjskich do Litwy i Polski około 250,000 ludzi. Generał Lascy wstępując roku 1733 w kraje Rzeczypospolitéj dla osadzenia na tronie Augusta III, miał wyraźny rozkaz chwytania tych wychodźców; jakoż tysiące ofiar szły wtedy pod knut i na Sybir. O. Gagaryn opisał niedawno tragiczne losy jednego z takich pochwyconych emigrantów, który, o zgrozo! wstąpił w Wilnie do zakonu jezuitów; pisze o nim również o. Pierling w świeżo wydanéj książce p. t. *La Sorbonne et la Russie.* Aleksy Ładyżyński—on to bowiem dopuścił się tak strasznéj zbrodni — oddany łaskawym wyrokiem św. Synodu pod knuty, poszedł następnie za karę na Sybir w stopniu prostego żołnierza.

Ale ministeryum niemieckie nie było zadowolone z zebranego wówczas jasyru; na jego rozkaz przekroczył w r. 1735 oddział wojska granice Litwy i zarządził łowy na nieszczęśliwych zbiegów. Echo téj niesłychanéj samowoli odezwało się na sejmie, lecz Biron po świeżém zwycięstwie, odniesioném nad Stanisławowczykami, wywierał zbyt silny wpływ na samego Augusta III, który tylko jemu zawdzięczał wyniesienie na tron, i na przeważną większość polskich magnatów, aby go można było pociągnąć do odpowiedzialności za podobne nadużycie; to téż przytłumiono zbyt śmiałe głosy i nikt odtąd nie śmiał stawać w obronie tych biednych ludzi, co się schronili pod opiekuńcze skrzydła bezsilnéj Rzpltéj.

Anna, jak wiemy, nie pozbawiona popędów dobrego serca, nie byłaby zapewne zezwoliła na tak bezprzykładne gospodarstwo, lecz ślepo wierząc faworytowi, nie wiedziała, co się dzieje w państwie i może nie przypuszczała nawet, aby ten słodki wobec niéj człowiek zdolny był władać tak okrutnie.

Przywykły do czołobitności i najbardziéj wyszukanego pochlebstwa, nie znosił on głosu prawdy. Za słowo nagany dla niego i rządu, podsłuchane przez czujnego szpiega, można się było dostać na tortury, pójść do owéj strasznéj, sekretnéj kancelaryi, z któréj się rzadko wychodziło całym. Najsroższe kary sprowadzało nieoględne wyrażenie się o stosunku Anny do faworyta. Ucięcie języka, wyrwanie nozdrzy i wysłanie na Sybir, należało jeszcze do objawów łagodności, bo zdarzało się, że obżałowany wrzucony do wody w zaszytym worku, ginął tam marnie lub konał wśród mąk, zakopany żywcem w ziemi.

Biron otoczył carową nieprzebytym murem oddanych sobie indywiduów. Niepodobna było uzyskać przystępu do niéj bez jego pozwolenia; wszyscy, którzy się znajdowali przy jéj boku, byli jego

kreaturami, począwszy od najwyższych figur, a kończąc na tak zw. *komnatnym istopniku*, który rano wchodził do sypialni monarchini dla rozniecenia ognia. Zanim przystąpił do téj czynności, zwykł był padać wiernopoddańczo na ziemię, oraz całować z pokorą stopy Anny i faworyta.

Do ulubionych jéj rozrywek należała nielitościwa zabawa z bufonami. Nie wiadomo, czy i to szlachetne zamiłowanie rozbudził w niéj Biron, lecz sekundował jéj w niém z godnym lepszéj sprawy zapałem, i za jego to radą zniewoliła do odgrywania téj poniżającéj roli członków starożytnych rodzin. Tak smutny los przypadł w udziale kniaziowi Michałowi Aleksiejewiczowi Galicynowi, jego zięciowi hr. Aleksemu Petrowiczowi Apraksinowi i kniaziowi Nikicie Fedorowiczowi Wołkońskiemu. Ostatni, którego syn był za Stanisława Augustusa ambasadorem w Polsce, został nadwornym błaznem, licząc już lat 50, z najwyższego rozkazu, ponosząc w ten sposób karę za niechęć, okazywaną przez jego żonę Annie i faworytowi. Jego szwagrowie Michał i Aleksy Bestużewowie, zajmowali wysokie stanowiska urzędowe, drugi został nawet ministrem gabinetowym i jako taki patrzał obojętnie na upokorzenie Wołkońskiego, podobnie jak krewni Apraksina. Galicyn i Apraksin pokutowali w ten sposób gorzko za wyrzeczenie się prawosławnéj wiary. Kniaź Michał Aleksiejewicz owdowiawszy, ożenił się z włoszką, przyjął sam potajemnie katolicyzm i wpłynął na zmianę religii zięcia. Oczywiście małżeństwo uznano za występne a tém samém nieważne, obydwóch zaś winowajców napiętnowano hańbą wzgardzonego powszechnie zawodu. W dodatku na ówczesnym dworze rosyjskim rola ta połączona była z większą niż gdziekolwiek indziéj sromotą. Gdy carowa ze swym orszakiem wracała z zamkowéj kaplicy z nabożeństwa do swych komnat, bufonowie zgodnie z przepisanym sobie ceremoniałem, oczekiwali jéj w jednéj z przejściowych sal pałacowych. Ażeby rozweselić zbyt poważnie po służbie Bożéj nastrojone towarzystwo, musieli przycupnąć na ziemi i zająwszy pozycyą kury, wysiadującéj jaja, krzyczeć na różne tony: *kukuryku!* Wtedy dworacy chcąc podnieść kamerton ogólnéj wesołości, zniżali się do najbardziéj barbarzyńskich żartów z nieszczęśliwych ofiar, a najczęściéj malowali im na twarzy wąsy i faworyty. Najżywszą jednak radość i najgłówniejsze wybuchy śmiechu wywoływało następne okrucieństwo. Poustawiano pięciu bufonów twarzą do ściany, szósty zaś otrzymywał zlecenie, aby jednemu koledze po drugim podstawiwszy nogę, przewracał biedaków tyłem na ziemię. Na dane hasło musieli rzucać się na siebie z wściekłością, zadawać sobie bolesne razy i krwawe rany, a ponieważ to wido-

wisko wprawiało w złoty humor faworyta, nie mogło więc być obojętném osobie, która starała się odgadywać jego myśli i podzielała wszystkie jego upodobania. Bawiciele tak dostojnych figur nie mogli się pod żadnym warunkiem oszczędzać lub iść do boju ze zmarszczoném czołem. Gdy razu pewnego jeden z nich, o zgrozo, będąc chorym, wypraszał się od miłego obowiązku stawania przy ścianie i padania na wznak, Biron oburzony buntem, kazał go srodze wychłostać.

Ale wszystkie te szlachetne rozrywki wyczerpały się z czasem i straciły urok nowości, należało zatém dla zapobieżenia nudom wymyślić coś nowego. Potrzeba było na to ofiary — los padł na Michała Galicyna, zwanego *kwaśnikiem* dla tego, że raz Anna w przystępie dobrego humoru, ku wielkiéj admiracyi dworaków, wylała mu na głowę szklankę kwasu. Udręczony kniaź otrzymał rozkaz zaślubienia Kamczadałki, Eudoksyi Iwanówny, brzydkiéj jak noc i brudnéj, jak gdyby się nigdy w życiu nie myła. Wiedział Galicyn, czém pachnie nieposłuszeństwo, lubo więc ze wstrętem, poddał się najwyższéj woli. Urządzono komedyą na wielką skalę, aby niczego nie brakło, coby mogło podnieść wrażenie niezwykłego widowiska. Było to w lutym; z Petersburga biegli na różne strony gońce, aby na zaślubiny Kamczadałki sprowadzić mnogich przedstawicieli dzikich plemion. W dniu oznaczonym ciągnęła do cerkwi jedyna w swoim rodzaju kawalkata. Państwo młodzi jechali na słoniu w klatce, goście oryginalnych fizyognomii w narodowych strojach, podążali za nimi na wozach, zaprzężonych renami, kozłami, wołami, psami i wieprzami. Biron, który, jak się zdaje, powziął ten genialny pomysł, odstąpił swéj stajni na obchód weselny. Szaloną wrzawę i piekielny hałas urządzili tam biesiadnicy podochociwszy sobie. Koroną téj awantury, noszącéj wszystkie cechy oryentalnego smaku, był fakt, że nowożeńcy pierwszą noc poślubną spędzić musieli w domu z lodu ustawionym umyślnie w tym celu na Newie. . . .

Takie to były gusta Birona, a więc również Anny i dworu. Dodać przytém trzeba, że oprócz urzędowych błaznów, miał jeszcze faworyt wielu innych, którzy na jego skinienie wszystko gotowi byli zrobić. Znany nam już niezrównany adept Bachusa, Aleksy Borysowicz Kurakin, człowiek płytki i słabego rozumu, wskutek czego musiano go odwołać ze stanowiska posła na dworze francuskim, był szczęśliwszym w karyerze dworskiéj dzięki talentowi płaszczącego się pochlebcy i bufona. Pełzał on niemal na klęczkach u stóp Birona, wytężał wszystkie swe siły, aby go bawić i temi to wielkiemi zasługami dobił się godności W. Koniuszego.

Pisarze niemieccy nie wdają się w szczegółowy rozbiór zarzutów, czynionych faworytowi i jego niemieckim towarzyszom, których dopuścił do udziału w rządach — wskazują tylko na wielkie sukcesa zewnętrzne i tryumfy oręża, którémi się Rosya pochlubić może za panowania Anny. Zdaniem tych bałwochwalców wszelkiego powodzenia, wobec praktycznych wyników ich polityki, zbytecznem byłoby brać ich w obronę a „tylko fałszywa sentymentalność“ może ich potępiać za to, że „i oni uciekali się często do gwałtów i do barbarzyńskich kar,“ że „osobistych przeciwników ścigali bezwzględnie i nieubłaganie i sprowadzili ich zagładę.“ Pomimo to powinni Rosyanie czuć dla nich wdzięczność, jako dla ludzi, którzy państwo wyprowadzili z anarchii, i za przykładem Piotra I dążyli do wielkiego celu.

Co do nas, nie należąc do ślepych zwolenników sukcesu, nie możemy się zgodzić na powyższe wywody, a szczególną pretensyą do narodu rosyjskiego, aby żywił wdzięczne uczucia dla swych niemieckich oprawców, uważamy za chorobliwy objaw narodowéj pychy. Biron żyje i żyć będzie przez długie wieki w pamięci Rosyan, lecz jakżeż przeciwne wdzięczności są uczucia, które dziś jeszcze obudza! Kiedym przed ośmiu laty w podziemiach ex-książęcego zamku w Mitawie wpatrywał się w zabalsamowane jego zwłoki, opowiadano mi, że niedawno przedtém pewna arystokratyczna rodzina rosyjska kazała sobie otworzyć trumnę, po uchyleniu wieka spojrzała na faworyta z nienawiścią, poczém wszyscy splunęli mu w twarz i oddalili się ze wstrętem. Był to zapewne brutalny sposób wyrażenia antypatyi, lecz antypatya ta jest głęboko zakorzeniona i powszechna, a aspiracye inflanckich uczonych, aby ją zamienić na usposobienie przyjazne, pozostaną zawsze pobożném tylko życzeniem.

(*dok. nast.*) *Klemens Kantecki.*

SIŁY PRODUKCYJNE

WIELKICH I MAŁYCH GOSPODARSTW.

Pierwszą grupę w naszém zestawieniu stanowią—Dobra ziemskie Dubidze w gminie Brzeżnica położone, i osada 3-morgowa znajdująca się we wsi Gidle w gminie tegoż nazwiska. W gruppie téj wzięliśmy z małych gospodarstw tylko jedno i to z najmniejszych, z powodu że gospodarstwo w Dubidzach jest silnie intensywne, w którym to względzie wspomniana osada odpowiedni przykład przedstawia, tém rzadszy w gospodarstwie włościańskiém, skoro i między dworskiemi gospodarstwami intensywne stanowią bezwątpienia mniejszość.

Dobra Dubidze własność p. F. Cz. od 3 pokoleń w jednéj pozostające rodzinie, porządnie i gruntownie zabudowane, zawsze starannie i dobrze były zagospodarowane; obecny właściciel, wykształcony specyalnie w przedmiocie gospodarstwa rolnego i techniki, od kilku lat podniósł bardzo intensywność gospodarstwa, nie za pomocą kosztownych melyoracyj, lecz raczéj podniesieniem kultury rolnéj, przez pogłębienie znaczne uprawy z silném nawożeniem przy pomocy nawozów mineralnych a mianowicie kości parzonych (nie zaprawianych kwasem siarczanym).

Dobra te niezbyt duże właśnie do wysokiéj kultury odpowiedni warsztat przedstawiają;—posiadają 11 włók lasu dobrze urządzonego i bez służebności, 300 morg łąk (z których właściwie 180 jest zdatnych do koszenia) wydających około 3.800 cet. siana. Po wyłączeniu z pod uprawy 70 morgów żelazistych iłów, nieurodzajnych pomimo silnego nawożenia, obecnie pozostało pod uprawą morg: 500 dobrego piaszczysto gliniastego gruntu, zdatnego pod uprawę pszenicy, lecz przeważnie gatunku żytniego 1-éj klasy.

Gospodarstwo przed tém 4 polowe z obsiewanym trawami jednym ugorem, przy obecnym właścicielu przeszło na system dowolny, który wobec doskonałéj znajomości rolnictwa, dał właścicielowi możność uniknienia kosztownego zwykle przejścia do płodozmianu, i zarazem zapewnił wolniejszą rękę w zmianach rozmaitych stosunków gospodarskich, w miarę nastręczających się potrzeb i okoliczności ogólnych i miejscowych. System taki niebezpieczny w dobrach wielkich gdzie gospodarstwo prowadzone przez rządców, którzy oprócz zmian osobistych mogą się okazać w dodatku niezdolnemi rolnikami, w ręku umiejętnego i energicznego właściciela może najlepiéj odpowiada celowi.

Jakkolwiek przy zaznaczonym stosunku łąk do ziemi uprawnéj, warunki gospodarskie w tych dobrach są bardzo pomyślne, pomimo to wszakże dawniéj osiągane rezultaty nie mogą iść w porównanie z dzisiejszemi, których zwiększenia jeszcze w krótkim czasie słusznie oczekuje właściciel.

Całe pole orne rozdziela się pomiędzy rozmaite rodzaje uprawy sposobem następującym:

Oziminy zasiewa się morg 150—Jarzyny wszelkiéj morg 150 kartofli morg 50—koniczyn (z przelotem) morg 75 i ugoru morg 75.

Właściciel Dubidz sądzi że najwłaściwszą miarą oceniania kultury danego gospodarstwa jest obliczenie plonu z morgi; niezależnie od ilości zasianego ziarna; gęstość bowiem siewu zależy od rozmaitych często pobocznych okoliczności nic z kulturą ziemi nie mających wspólnego. Rzeczywiście bowiem gdy co do ozimin szczególniéj siew wczesny może być dość rzadkim—późniejszy nie mający tyle czasu do rozkrzewienia musi być bezwarunkowo gęstszym. Drobni rolnicy sieją zwykle o dużo gęściéj niźli większe dworskie gospodarstwa a to z powodu większego we wsi szkodnictwa, gdy ptastwo wybiera ziarno będące na wierzchu, ruń zaś zjadają gęsi szkodliwie ją oskubując. Mały zresztą rolnik woli nieżałować ziarna niż mieć place z rzadkiem zbożem, które w gospodarstwie większém nie tyle co na małéj ilości stanowią straty. Że ocenianie wartości gospodarstwa z ilości ziarn podług wysiewu nie jest zupełnie prawidłowém, można to sprawdzić na bardzo prostym przykładzie. Z dwóch morgów, z których jeden wydał ziarn 10 gdy z drugiego zebrano 9 podług wysiewu—zdaje się na pozór pierwszy być korzystniejszym a jednak jeśli na pierwszym przy wysiewie $^{5}/_{4}$ oziminy zebrano w stosunku 10 ziarn $7^{1}/_{2}$ korcy z drugiego zaś przy wysiewie 1 korca zebrano 9 korcy—a więc przy $^{1}/_{4}$ nadsiewu otrzymano $1^{1}/_{2}$ korcy nadprodukcyi—które wynagrodziły aż nadto nieznaczny stosunkowo nadsiew. Nie chcemy twierdzić żeby gęsty siew miał

być zawsze korzystniejszym; umiejętny gospodarz zawsze potrafi właściwą dla siebie normę wynaleźć; chcieliśmy tylko wykazać że stosunek urodzaju do morga jest zawsze lepszą skalą produkcyjności danego gospodarstwa.

Na téj zasadzie dla pierwszéj grupy przyjęliśmy bezwarunkowo tę ostatnią podstawę, którą o ile się da i w następnych postaramy się uwzględnić. W dwóch latach ostatnich w produkcyi w dobrach Dubidze mała zachodziła różnica, wykazujemy jednak urodzaj ostatni jako dający większe ilościowe rezultaty, chociaż w nim produkcya pszenicy zredukowana do minimum, a to z powodu że właściciel, za nim doprowadzi gospodarstwo do zamierzonych rezultatów, przekłada większą produkcyą żyta jako bezporównania pewniejszą, mniéj podległą przypadkom, oraz zapewniającą większe środki pod względem paszy i nawozu. Pogląd ten bardzo racyonalny mało ma wszakże u nas zwolenników. Większa część rolników zwiększone zasiewy pszenicy nawet na żytnich gruntach ma za ideał gospodarski, chociaż jeśli się porachuje większy urodzaj żyta i stosunkową jego dosyć wysoką cenę, pewniejszy zysk z niego się osiąga. Nie stosuje się to naturalnie do gruntów prawdziwie pszennych, które dla żyta wzajemnie nie dobrze się nadają.

Zwracając się jeszcze do środków produkcyjnych naszego gospodarstwa, zaznaczyć musimy, że w Dubidzach żywego grubego inwentarza, po zredukowaniu 800 szt. owiec (10 sztuk za jednę) wypada 206 sztuk grubego inwentarza na 500 morgów uprawnéj roli, czyli $^{2}/_{5}$ sztuki na morgę, co daje możność nawożenia około 120 mórg nawozem stajennym wzmacnianem coroczném użyciem 150 cetnarów parzonych, mielonych kości.

Rezultaty produkcyi w roku 1882 były następne:

Żyta	z 138 morg	1,400 kor.	czyli po 10	korcy z morgi
Pszenicy . .	z 8 „	100 „	„ 12½	„ „
Jęczmień . .	z 20 „	230 „	„ 11½	„ „
Owsa . . .	z 128 „	1,800 „	„ 14	„ „
			czyli około 9	ziarn z wysiewu
Kartofli . . .	z 40 „	3,000 „	„ 70	kor. z morgi

Koniczyny nasiennéj 10 korcy do sprzedania.

Rachując tę produkcyą na pieniądze podług cen mniéj więcéj bieżących wypadnie dochód brutto:

Za 1,400 korcy	żyta . .	po rs. 5 k.	—	7,000 rs.
„ 100 „	pszenicy	„ 8 „	—	800 „
„ 230 „	jęczmienia	„ 4 „	—	920 „
„ 1,800 „	owsa . .	„ 3 „	—	5.400 „

Za 2,000 korcy kartofli	po rs. 150 k.	—	4,500	rs.
„ 10 „ koniczyny	„ 50 „	—	500	„
„ 60 fur koniczyny za siano		—	900	„
	Razem		20,020	rs.

Co uczyni na morgę gruntu uprawnego brutto rs. 40.

Do porównawczego zestawienia z gospodarstwem w Dubidzach bierzemy, jak wspomniano wyżéj, osadę małorolną we wsi Gidlach, w gminie tegoż nazwiska położonéj. Osada stanowiąca własność Marty Leszczyńskiéj—posiada oprócz placu z ogrodem w ilości 220, prętów gruntu ornego morgów 2½ oraz łąki ½ morgi. Nie bierzemy w rachubę produkcyi ogrodu, który właściwie jest sadem fruktowym i obok tego w ³/₄ służy jedynie do zasadzenia niewielkiéj ilości jarzyn i ogrodowizny, w ¹/₄ zaś zasiany lucerną na użytek krowy powracającéj z pastwiska. Łąka niewielkiéj wartości przy rozwiniętém w dodatku szkodnictwie i wypasaniu daje zaledwo około 10 cetnarów siana. Grunt orny składa się aż z trzech gatunków ziemi—a mianowicie ³/₄ morgi dobréj marglowatéj jęczmiennéj rędziny zdatnéj pod uprawę pszenicy—1 morg gruntów piaskowych żytnich 2-iéj klasy i ³/₄ morgi gruntu nizkiego łąkowego obróconego pod uprawę—miernéj dobroci dosyć żelazistych silnie nawóz pochłaniających. Na osadzie utrzymuje się 1 krowa, co daje stosunek ²/₅ sztuki na morgę a więc ten sam co w Dubidzach. Środki jednak nawozowe tego gospodarstwa zwiększają się utrzymaniem całorocznym 1 maciory dla prosiąt, oraz utuczeniem głównie na kartoflach raz do roku 1⁰ karmnika na potrzeby domowe lub na sprzedaż. Dwie gęsie rozpłodowe i kury dopełniają zasobów gospodarskich, co także na tak małéj przestrzeni przykłada się do powiększenia ilości nawozu, przy gromadzeniu różnych odpadków, śmieci oraz zbieranego gnoju z ulicy, tak że mierzwy zbiera się zwykle przy obfitości podściołu na 1 morgę.

Uprawa roli odbywa się własnemi narzędziami za pomocą najętego sprzężaju od sąsiadów więcéj gruntu posiadających.

We wsi całéj oprócz 42 osad 18 do 20 morgowych, jest również 42 osad 3 morgowych, 15 osad placowych mniéj niż 3 morgi posiadających—oraz 17 działków od ½ do 3 morgów rozdanych z gruntów poduchownych, z których większa część już przeszła na własność zamożniejszych gospodarzy.

Wszystkie te osady jako we wsi rządowéj położone żadnych służebności nie mają, korzystają zaś wspólnie z 203 morg pastwiska gromadzkiego, z którego w stosunku do posiadanego gruntu na zajmującą nas osadę, przypadłoby w udziale ²/₃ morgi.

Przed 2½ laty gospodarstwo na téj osadzie było dosyć zaniedbane, od jesieni zaś 1880 roku przeszło pod bardziéj umiejętny kierunek. Dla podniesienia kultury zrobiony był tylko jednorazowy nakład na kupno pierwszéj zimy 2 fur słomy i 1 fury parokonnéj siana, po czem już dalszy zakup paszy okazał się niepotrzebnym. Główvnym środkiem podniesienia produkcyi okazało się znaczne pogłębienie uprawy do 8-u cali na rędzinie, na słabszéj zaś glebie do 6-u. Jedynym stałym nakładem gospodarskim, wychodzącym z granic obyczaju włościańskiego, jest coroczne zakupno 3 cetnarów kości parzonych i mielonych, używanych łącznie z nawozem stajennym pod zasiew oziminy, który nakład wynoszący rs. 11 opłaca się z naddatkiem samym tylko zwiększeniem produkcyi pszenicy—nie licząc obfitszego urodzaju żyta.

Grunt orny rędzinny i piaszczysty położony w jednym pasie, grunt zaś nizinny razem z łąką w dwóch kawałkach rzeczką Wiercicą przedzielonych. Cała rola podzieloną jest na ¼ mórgowe stajanka, każdy zaś z 3 gatunków ziemi uprawia się w trzech rozmaitych rotacyach—a mianowicie w piaskowym dziale: żyto na gnoju i kościach, kartofle i owies; w dziale rędzinnym do którego dołączone jedno staje piaskowe mocniejsze w 4 letniéj kolei. Jęczmień 6 rzędowy wczesny przysłany po wierzchu gnojem, poczém w tymże roku mięszanka wyki z owsem dla poprawienia roli pod żyto na kościach, po którém pszenica na gnoju i kościach i po pszenicy kartofle: W dziale łąkowym kartofle na gnoju pszenica jara i owies.

Rezultaty produkcyi w roku bieżącym i poprzednim mało się różnią, gdy bowiem w roku bieżącym zwiększyła się produkcya pszenicy, za to mniéj zebrano kartofli, dla których przeszłe lato było bardzo niepomyślne.

Podajemy rezultaty produkcyi w roku 1882.

Żyta	z ½	mor.	5½	kor. czyli w stos.			11 kor. na morgę		
Pszenicy Ozim.	z ¼	„	3¾	„	„	„	15 kor. z morgi		
„ jaréj	z ¼	„	2¼	„	„	„	9	„	„
Jęczmienia . .	z ¼	„	3½	„	„	„	14	„	„
Owsa	z ½	„	5	„	„	„	10	„	„
Kartofli . . .	z ¾	„	36	„	„	„	48	„	„

Kartofle chybiły bardzo w miarę roku poprzedniego w którym sprzątnięto z ½ morgi 55 kr.

Wyka po jęczmieniu w tym samym roku zasiana w pierwszych dniach lipca, a za tém późno nie mając więcéj czasu jak 2½ mies. wegetacyi najdaléj do połowy września, przy szkodnictwie w czasie gdy już pola sprzątnięte, nie daje więcéj nad 5 do 7 cetnarów paszy

główmie jednak przyczynia się do ulepszenia uprawy pod żyto, które po jęczmieniskach nie daje należytych plonów.

Rezultaty powyższego urodzaju obliczone na pieniądze przedstawiają się następnie.

Za	5½ korcy	żyta . . .	a. rs.	5 k. —	27 rs. 50 k.
„	3¾ „	pszen. ozimej	„	8 „ —	30 „ „ „
„	2¼ „	„ jarej	„	6 „ —	13 „ 50 „
„	3½ „	jęczmienia	„	4 „ —	14 „ „ „
„	5 „	owsa . . .	„	3 „ —	15 „ „ „
„	36 „	kartofli . . .	„	150 „ —	54 „ „ „
				Razem —	154 — „

Co uczyni na morgę gruntu uprawnego brutto rs. 61 kop. 60, a więc o 21 rs. 60 kop. więcej od dużego gospodarstwa w Dubidzach.

Chociaż rezultat większy może być po części skutkiem częstszego gnojenia, którego zwiększenie na dużym gospodarstwie jest bezporównania trudniejszém, i od większej znacznie masy używanych kości a mianowicie: biorąc stosunek ilości cetnarów do ilości ziemi uprawnéj, jak 6 do 5 gdy w Dubidzach tenże stosunek wynosi zaledwo 1 do 3, lecz najgłówniejszym powodem téj przewyżki zawsze być musi, większa stosunkowo ilość zasiewów w gospodarstwie, które z natury swojéj nie znosi żadnych nawet pastewnych ugorów, co uwidocznił najlepiéj procentowy stosunek uprawianych płodów do ogólnéj przestrzeni gruntu w każdym z przytoczonych gospodarstw.

Mamy bowiem:

Ugorów	w Dubidzach	15%	w gospod. cząstkow.	0%
Koniczyn	„	15%	„ „	0%
Ozimin	„	30%	„ „	30%
Jarzyn	„	30%	„ „	40%
Kartofli	„	10%	„ „	30%
	Razem	100%	„ „	100%

Z tego widzimy że przy jednakim stosunku ozimin, w małém gospodarstwie uprawia się jarzyn więcéj o 10% i kartofli więcéj o 20%. Im gospodarstwo mniejsze tém bardziéj stosunek uprawy kartofli się wzmaga. Chałupnik morgowy, już połowę swego gruntu obsadza kartoflami, i jest to rzeczą bardzo naturalną, bo kartofle stanowią główną podstawę pożywienia ludu, jak w stanie naturalnym tak i w stanie produkowanéj okrasy; chałupnik taki, dokupi paszy dla krowy a ilości sadzonych kartofli w żadnym razie nie zmniej-

szy. Intensywność zatém produkcyi brutto musi być większą w gospodarstwach drobnych.

Pomimo tak wielkich stosunkowo rezultatów jakie dają się osiągnąć, jakeśmy to widzieli z gospodarstwa 3 morgowego, są one wystarczające jedynie na dostateczne wyżywienie właściciela, oraz na opłatę podatków, wszystkich jednak potrzeb jego zaspokoić nie mogą, przy tym więc rozmiarze uposażenia, zawsze on jeszcze potrzebuje ubocznych dochodów za pomocą zarobku z wynajmu własnéj pracy, z przemysłu zagrodowego, lub z rzemiosła jeśli takowe posiada. W każdym jednak razie zapewnia mu mocną podstawę bytu, daje mu pewną niezależność, i chroni od głodu w razie bezrobocia, daje bowiem możność przy wielkiém ograniczeniu potrzeb wymyślniejszych, przez jakiś czas przynajmniéj egzystować samoistnie. W gospodarstwie opisaném przez nas dopełnienie do potrzeb życia właścicielki stanowi komorne z domu, wynoszące rs. 130 rocznie.

Drugą grupę porównawczą stanowić będą dobra ziemskie Ciążkowice w gminie Żytno położone i trzy osady we wsi Gidlach należące do kategoryi większych i średnich. Zestawienie ze wszech miar usprawiedliwione tak blizkiem sąsiedztwem jak i podobną zupełnie naturą gleby, składającéj się z dwóch odmiennych gatunków ziemi w części rędzinnéj lub gliniastéj pszennéj w części zaś piaskowéj żytniéj. Dobra Ciążkowice własność pp. B. oddawna przedstawiają gospodarstwo zamożne nie przynoszące właścicielom żadnych szczególnych kłopotów, wobec zupełnie odpowiedniéj skali potrzeb do środków do ich zaspokojenia, co jest najważniejszym warunkiem zawsze rozważnego i niegorączkowego działania.

Zamożność téż wyraża się w porządnych i nawet poważnych zabudowaniach;—oprócz starannéj uprawy gruntu żadnych innych, kosztownych melyoracyj nieprzedsiębrano, nawozy mineralne téż nie są w użyciu.

Co do obszerności dobra Ciążkowice należą do średnich: przy 34 przeszło włókach dobrze zaoszczędzonego lasu i 210 morgach łąk, dających przeszło 7,000 cetnarów siana, pod uprawą znajduje się 507 morgów gruntu ornego z których $^2/_5$ należy do gatunku pszennego, $^3/_5$ zaś przedstawia grunt żytni, w połowie lepszy a w połowie średniego gatunku, do tego pastwiska oddzielnego jest morgów 78.

Ilość inwentarza żywego obliczona w zwykłym stosunku na sztuki większe wynosi głów 220, zkąd przy 507 morg. uprawnéj ziemi na 1 morgę przypada $^{22}/_{50}$ sztuki, a więc stosunek prawie ten sam co i w pierwszéj grupie.

Gospodarstwo oddawna urządzone w rodzaju płodozmianu, z podziałem całego pola, bez uwzględnienia odmiennych gatunków

gleby, na 8 zupełnie równych szlaków. Z powodu obfitości siana przed kilku laty jeszcze niesiano koniczyn, przy dwóch polach ugorowych, z których jedno całkowity drugie zaś połowiczny dostawało nawóz. Obecnie tenże płodozmian zmodyfikowany tak, że po koniczynie następuje ugor gnojony całkowicie i dwa pola półgnojem pod strąki i oziminy odsiewne. Całe zaś pole rozdziela się pomiędzy rozmaite rodzaje uprawy jak następuje: oziminy mórg 158, jarzyny wszelkiéj 158 m., okopowych 63 m., koniczyny 63 m. i tyleż ugoru.

Rezultaty produkcyi z r. 1881/2 były następujące:

Żyta	z 79 mórg	483 korce	czyli po 6	kor. z morgi
Pszenicy. . .	z 79 „	567 „	„ „ 7	„ „
Jęczmienia . .	z 32 „	173 „	„ „ 5½	„ „
Owsa	z 63 „	612 „	„ „ 10	„ (5½ ziarn)
Grochu . . .	z 43 „	258 „	„ „ 6	„ z morgi
Wyki . . .	z 20 „	85 „	„ „ 4¼	„ „
Koniczyny . .	z — „	4 „	„ „ —	„ „
Kartofli . . .	z 53 „	1972 „	„ „ 37	„ „
Marchwi . .	z 2½ „	450 „	„ „ 180	„ „
Buraków . .	z 4 „	500 „	„ „ 125	„ „
Końskiego zęba	3½ „			

Siana z koniczyny fur 23.

Rachując tę produkcyą podług cen przyjętych wyżéj, produkcya brutto wyniesie:

Za 483 kor.	żyta.	a rs. 5 k. —	2415 rs.
„ 567 „	pszenicy	„ 8 „ —	4536 „
„ 173 „	jęczmienia	„ 4 „ —	692 „
„ 612 „	owsa	„ 3 „ —	1836 „
„ 258 „	grochu	„ 5 „ —	1290 „
„ 85 „	wyki	„ 4 „ —	340 „
„ 1 „	koniczyny na sprzed.	„ 50 „ —	50 „
„ 1972 „	kartofli	„ 1 „ 50	2958 „
„ 450 „	marchwi	„ 1 „ —	450 „
„ 500 „	buraków	„ 1 „ —	500 „
„ 23 fury	koniczyny	„ 15 „ —	345 „
		Razem . .	15412 rs.

czyli 30 rub. 39 kop. z morgi.

Z trzech gospodarsrw cząstkowych, użytych do porównania w téj grupie, otrzymujemy następujące dane:

a) Gospodarstwo 21-morgowe w Gidlach, własność Pawła Strączyńskiego, składa się właściwie z dwóch osad jednéj 18 i jednéj

3-morgowéj, nabytéj z dorobku. Drugą 3-morgową również nabytą oddał w posiadanie dorosłemu synowi. Zajmuje się wyłącznie gospodarstwem, nie oddając się żadnym zarobkom, z komornego tylko w 2 domach ma około 70 rs. dochodu.

Dwie za tém osady, składające jedno gospodarstwo, zawierają gruntów ornych mórg 16 i łąki 4, które dają mniéj więcéj 80 cetnar. siana. Pole orne składa się z trzech gatunków: ziemi dobréj rędziny, zdatnéj pod pszenicę, około 4 mórg; ziemi łąkowéj pod pługiem przeszło 3 morgi; reszta grunt piaskowy, żytni, słaby, pod zasiew jarzyn nieprzydatny. Inwentarz żywy po redukcyi na sztuki większe daje głów 11, co uczyni na morgę sztuk 0,7, a zatém więcéj niż w Ciężkowicach. Z pastwiska gromadzkiego, zawierającego jak wyżéj wskazano mórg 203, przypada na naszego gospodarza w stosunku posiadanych gruntów około 4 morgi.

Gospodarstwo na zajmującéj nas osadzie prowadzi się bezugorowe, w systemie dowolnym, z zachowaniem wszakże mniéj więcéj pewnych prawideł, a zatém na trzech rodzajach gleby, w trzech rozmaitych porządkach.

Główna zasada jest gnoić rolę o ile można co trzy lata, żeby więcéj z jednego pognoju nad trzy plony nie zbierać. W rędzinie zwykle więc idzie na gnoju: pszenica ozima, poczém jęczmień i proso, a następnie owies; w dziale piaskowym kartofle na gnoju i potém dwa razy żyto; w łąkach kartofle na gnoju, po części żyto, potém owies i tatarkę, a w trzecim roku żyto. W ten sposób gospodarz zmuszonym jest około 5 morg nawozić gnojem corocznie, co przy powyższéj ilości bydła, obfitości podściołu i częstéj wywózce gnoju w pole nie trudno mu przychodzi.

Wynik produkcyi ostatniego roku był następujący:

Żyta . . .	z 6	morg	30	korcy,	czyli w stos.	5	korcy	z morgi
Pszenicy . .	z $2\frac{1}{2}$	„	20	„	„	8	„	„
Jęczmienia .	z $1\frac{1}{4}$	„	15	„	„	12	„	„
Owsa . . .	z $2\frac{1}{2}$	„	20	„	„	8	„	„
Prosa . . .	z $\frac{1}{2}$	„	4	„	„	8	„	„
Tatarki . .	z $\frac{3}{4}$	„	2	„	„	$1\frac{1}{2}$	kor. przeszło z m.	
Kartofli . .	z $2\frac{1}{2}$	„	70	„	„	24	korcy	z morgi

Kartofle na słabych gruntach piaskowych w roku zeszłym zupełnie wypaliło. Innemi laty tenże gospodarz miewa ich zwykle dwa razy więcéj.

Produkcya powyższa obrachowana na pieniądze wynosi:

Za 30 korcy	żyta	a rs. 5 k.	—	150 rs.
„ 20 „	pszenicy. . .	„ 8 „	—	160 „
„ 15 „	jęczmienia . .	„ 4 „	—	60 „
„ 20 „	owsa	„ 3 „	—	60 „
„ 4 „	prosa. . . .	„ 5 „	—	20 „
„ 2 „	tatarki . . .	„ 4 „	—	8 „
„ 70 „	kartofli . . .	„ 1 „ 50		105 „
		Razem .	.	563 rs.

czyli przy 16 morgach gruntu uprawnego po 35 rs. 18 kop. z morgi.

b) Gospodarstwo 18-morgowe w Gidlach, własność Antoniego Wiewiórowskiego, zawiera właściwie 17½ morgów gruntu użytecznego, a mianowicie 12 w polu, w tém 3 morgi rędziny i 2½ morgi w łące ornego, oraz łąki właściwéj 3 morgi. Siana zbiera z łąki własnéj fur 5 i z dzierżawionéj we wsi sąsiedniéj fur 4, razem cetnarów 90. Z ogólnego pastwiska przypada na niego 3½ morgi. Mając dobre konie, chętnie takowe na furmankę wynajmuje.

Bydła licząc na grube sztuki ma głów 7, czyli przy 14½ morg. ornego gruntu prawie po ½ szt. na morgę; gnojem nawozi około 4 morgów, gospodarstwo jak i u poprzedniego bezugorowe w trzech oddziałach. W rędzinie po pszenicy na gnoju idą kartofle i jęczmień, po kartoflach proso i owies, po jęczmieniu groch; w piaskach kartofle i żyto na gnoju, poczém żyto a następnie owies i tatarka. W łąkach kartofle oraz żyto nagnoju, zatém owies i żyto, i w 3-im roku tatarka i owies.

Z tego gospodarstwa w ostatnim roku otrzymał:

Żyto. . . .	z 5 morg:	20 korcy,	czyli w stosunku	4	korcy	z morgi
Pszenicy . .	z 1 „	9 „	„ „	9	„	„
Jęczmienia .	z 1 „	10 „	„ „	10	„	„
Owsa . . .	z 4 „	30 „	„ „	7½	„	„
Grochu. . .	z ½ „	5 „	„ „	10	„	„
Prosa . . .	z ½ „	5 „	„ „	10	„	„
Tatarki . .	z ½ „	2 „	„ „	4	„	„
Kartofli . .	z 2 „	60 „	„ „	30	„	„

Kartofle jak i u poprzedzającego w tym roku wydały plon dużo od zwyczajnego mniejszy.

Wartość produkcyi w pieniądzach wyniesie:

Za 20 korcy	żyta	a rs. 5 k.	—	100 rs.
„ 9 „	pszenicy . .	„ 8 „	—	72 „
„ 10 „	jęczmienia. .	„ 4 „	—	40 „
		do przeniesienia		212 rs.

			z przeniesienia	212 rs.
„ 30 „	owsa	. . . . a rs. 3 k.	—	90 „
„ 5 „	grochu	. . . „ 5 „	—	25 „
„ 5 „	prosa	. . . „ 5 „	—	25 „
„ 2 „	tatarki	. . . „ 4 „	—	8 „
„ 60 „	kartofli	. . . „ 1 „	50	90 „
		czyli razem	. .	450 rs.

co wynosi na morgę 31 rub. 3 kop. czyli mniéj od poprzedzającego przeszło o 4 ruble, a prawie tyle co w Ciążkowicach.

c) Gospodarstwo 9-morgowe w Gidlach Kazimierza Gawrona pochodzi z podziału ojcowskiéj 18-morgowéj osady pomiędzy dwóch braci. Skutkiem przywiązania do grzędy ojcowskiéj brat młodszy Kazimierz, którego gospodarstwo opisujemy, nie chciał przyjąć spłaty swéj schedy pieniężnie od starszego, skutkiem czego ten, ponieważ już zdawna na siebie zarabiał, dokupił sobie 9 morgów z rozdzielonéj innéj osady.

Kazimierz gruntu ma w polu przeszło 6 morg, w tém rędziny tylko z pół morgi, gruntu w łąkach przeszło morgę i tyleż właściwéj łąki do koszenia, z któréj sprząta siana fur 2, czyli cetnarów 20. Z ogólnego pastwiska przypada mu 1,8 morgi.

Jak już wspomniano wyżéj, każdy gospodarz większy wsi Gidel ma grunta główne orne w 2 kawałkach. Działy tak zwane dodatkowe leżą w dwóch oddzielnych obrębach, z których jeden piaskowy, słaby; drugi zaś szczerkowy, dobry, żytni. Otóż w drugim posiadają wydziały, którzy w pierwszym mało mają rędziny, do takich należy Kazimierz Gawron. Nie mając dosyć rędziny, sieje trochę pszenicy w gruncie szczerkowym, żytnim.

Przy szczupłém uposażeniu gruntowém, trzymając parę koni, donajmuje łąki za rs. 20; z produktów nic nie sprzedaje, obracając zbywające od pożywienia własnego na wyżywienie koni i trzody; środki więc pieniężne zdobywa zarobkiem na gruntach mniejszych właścicieli nie trzymających sprzężaju i furmanką; człowiek młody, który niedawno z wojska wrócił, pracowity i stateczny, niezawodnie dorobi się możności rozszerzenia swéj posiadłości gruntowéj.

Inwentarza grubego utrzymuje 5 sztuk, co na $7\frac{1}{2}$ morg uprawnéj ziemi wynosi więcéj niż pół sztuki na morgę. Sposób gospodarowania i gnojenia podobny zupełnie jak u poprzedzających.

Zbiór w ostatnim roku wynosił:

Żyta	z 3 morg	korcy 12	czyli w stosunku	4	korcy	z morgi
Pszenicy . .	z $\frac{1}{2}$ „	„ 3	„	6	„	„
Jęczmienia .	z $\frac{1}{2}$ „	„ 3	„	6	„	„

Owsa . . . z 2 mórg korcy 12 czyli w stosunku 6 korcy z morgi
Kartofli. . . z 1½ „ „ 60 „ „ 40 „ „

Mogąc kartofle sadzić na gruntach szczerkowych dobrych żytnich, ma plon pewniejszy od tych co je na słabych piaskach zmuszeni sadzić jak dwaj opisani poprzednio.

Wartość powyższéj produkcyi oblicza się jak następuje:

Za 12 korcy	żyta. . . .	a rs. 5 k.	—	60 rs.
„ 3 „	pszenicy . .	„ 8 „	—	24 „
„ 3 „	jęczmienia .	„ 4 „	—	12 „
„ 12 „	owsa	„ 3 „	—	36 „
„ 60 „	kartofli . .	„ 1 „	50	90 „
		Razem . .		222 rs.

czyli 29 rub. 60 kop. z morgi.

Zestawienie rezultatów gospodarstw 2-éj grupy przedstawi się w ten sposób:

	Gospodarstwo wielkie	Gospodarstwa małe			Przeciętna małych gospodarstw
		a	b	c	
	rs. kop.	rs. kop.	rs. kop.	rs. kop.	rs. kop.
Dochód z morgi	30 39	35 18	31 3	29 60	31 93
Stosunek uprawn. płodów:					
Oziminy	31¼%	53%	41½%	46½%	47%
Jarzyny	31¼%	31%	44½%	33½%	36⅓%
Okopowych	12½%	16%	14%	20%	16⅔%
Traw	12½%	0%	0%	0%	0%
Ugoru	12½%	0%	0%	0%	0%
	100%	100%	100%	100%	100%

W téj grupie jak i w poprzedniéj widzimy przewagę ilości zasiewów w małych gospodarstwach, stosunkowo do przestrzeni, nad takąż ilością w gospodarstwie większém, co również stanowi pewien rodzaj większéj względnéj intensywności. Chociaż bowiem poszczególne plony mogą być większe w dużych gospodarstwach w stosunku do zajmowanéj przestrzeni, na ogół wszakże muszą być większe w małéj własności, co daje téj ostatniéj niejaką przewagę w ilości surowéj produkcyi.

Do trzeciéj grupy zaliczamy dobra Jedlno w gminie Radziechowice położone i dwie osady wsi tegoż co i dobra nazwiska.

Dobra Jedlno, własność p. M., od r. 1869 pozostają pod jednym nieprzerwanym gospodarskim kierunkiem. Przy ziemi bardzo nieszczególnego gatunku, przeważnie piaskowéj żytniéj w małéj tylko części 1-éj największéj zaś 2-éj klasy, ma gospodarstwo chociaż nienakładowe lecz dosyć zamożne, do czego przyczynia się bardzo brak wszelkich długów nie wyłączając Towarzystwa kredytowego, którego pożyczka po amortyzacyi w r. 1880 już daléj odnawianą nie była.

Przy ziemi słabéj z natury, bez użycia nawozów mineralnych, osiągają się jednak zadawalniające rezultaty dochodowe, skutkiem obfitości siana i wielkiéj dbałości o pomnożenie nawozu, przez użycie na kompost z gnojem torfu znajdującego się na miejscu w wielkiéj obfitości i w dobrym bardzo gatunku. Najbardziéj zaś do tych rezultatów przyczynia się oszczędna i sumienna administracya, oraz niezaniedbywanie żadnéj gałęzi z gospodarstwa domowego, nie wyłączając trzody i drobiu, z których pierwsza po części w utuczonym już stanie bywa sprzedawaną. Z tych wszystkich powodów, dochód czysty z tych dóbr jest stosunkowo znacznym pomimo niewielkiéj produkcyi brutto na morgę uprawnéj ziemi przypadającéj.

Oprócz lasu urządzonego na przestrzeni 684 morg, dobra te składają się z trzech folwarków: zawierających ornego gruntu morg 827, w których morg 115 żytn.—1 klasy, morg 574 żytn.—klasy 2-éj i morg 138 lichego piasczystego. Łąk średnich jest mórg 363 wydających siana 6000 cetn. Do tego pastwisk oddzielnych wyłącznie dworskich mórg 222, przeważnie na gruncie torfowym położonych. Nie zaliczamy tu jeszcze oddzielnego małego folwarku, obejmującego 45 morgów lichego gruntu śród wydm piasczystych nad Wartą, którego łąki w ilości 104 m. mieszczą się już w powyżéj przytoczonéj ogólnéj ilości; grunt zaś z dodaniem 3 mórg sianożęci oddany w dzierżawę włościaninowi bezrolnemu za rs. 75.

W folwarku Jedlno jest 489 mórg ziemi w dwóch rotacyach płodozmiennych, prowadzonych po części w systemacie dowolnym, w folwarku Nowiny vel Karolinów 200 m. w gospodarstwie zwyczajném 4-polowém; w folwarku zaś Zagóra 7 szlaków lichéj żytniéj piasczystéj ziemi, z których dwa corocznie obsiane łubinem na zielony nawóz, idą następnie pod żyto. Inwentarza żywego po redukcyi na sztuki grube jest głów 248 czyli po 0,3 sztuki na morgę, które dostarczają przeszło na 100 mórg nawozu. Koniczyna tylko na lepszym gruncie daje plon zadawalniający, w rotacyi na słabszym grun-

cie, cierpiąc od posuchy, nie tyle do sprzętu ile raczéj na pastwisko się nadaje.

Zatém uprawa rozmaitych plonów rozdziela się w następny sposób: oziminy 233 mórg, jarzyny 172 m., okopowych 56 mórg, koniczyny 23 m., pastwiska obsiewn. 66 m.; ugorów czystych i łubinowych 154 m. ugorów odłogowych (Zagóra) 57 m.

Rezultat produkcyi z ostatniego roku rachunkowego okazał się następny:

Żyta . . .	z 200	mórg	1135 kor.	czyli	po $5\frac{1}{2}$	kor.	przeszło z morgi
Pszenicy .	z 33	„	218 „	„	około 7	„	„ „
Jęczmienia.	z 46	„	351 „	„	„ $7\frac{1}{2}$	„	z morgi
Owsa . .	z 116	„	571 „	„	„ 5	„	„
Grochu . .	z 10	„	39 „	„	około 4	„	„
Kartofli . .	z 56	„	3334 „	„	„ 59	„	„

Siana z koniczyny fur 50.

Obrachunek téj produkcyi na pieniądze wypada jak następuje:

Za	1135	korcy żyta . .	a rs. 5 k.	—	5675 rs.
„	218	„ pszenicy .	„ 8 „	—	1744 „
„	351	„ jęczmien.	„ 4 „	—	1404 „
„	571	„ owsa . .	„ 3 „	—	1713 „
„	39	„ grochu .	„ 5 „	—	195 „
„	3334	„ kartofli .	„ 1 „ 50		5001 „
„	50 fur siana z koniczyny	. . . .			750 „
		Razem . .			16482 rs.

czyli 19 rubli 92 kop. z morgi.

Z dwóch gospodarstw cząstkowych wziętych do porównania w téj grupie otrzymujemy następne dane.

a) Gospodarstwo w kolonii Jedlno własność Grzegorza Dudy, zawiera mórg przeszło 22, w tém ornego gruntu mórg 16, łąki przeszło 6 mórg, wydającéj około 100 cetn. siana. Inwentarza żywego posiada sztuk 8 czyli po $\frac{1}{2}$ sztuki na morgę. Nawóz wozi pod przenicę i kartofle, po trzech lub czterech latach wracając z nim na to samo miejsce. Rodzaj gospodarstwa bezugurowy podobny jak w drugiéj grupie. Ziemia téj saméj natury jak we dworze, częścią żytnia 1-éj klasy ku końcowi działów piaskowa słaba.

Włościanie kolonii Jedlno służebności pastwiskowéj nie mają, korzystają zaś jedynie ze 102 mórg wspólnego wyłącznie gromadzkiego pastwiska, z którego przy ogólném uposażeniu wsi całéj 624 morgami, na naszego gospodarza w stosunku do jego posiadłości przypada $3\frac{1}{2}$ morgi.

Produkcya ostatniego roku dała następny wypadek:

Żyta . . .	z 7 mórg	28 korcy	czyli po	4 korcy	z morgi
Pszenicy . .	z 1 „	6 „	„ „	6 „	„
Jęczmienia .	z 1 „	8 „	„ „	8 „	„
Owsa . . .	z 5 „	25 „	„ „	5 „	„
Kartofli . .	z 2 „	90 „	„ „	45 „	„

Wartość téj produkcyi wynosi:

Za 28 korcy żyta	a rs.	5 k.	—	140 rs.
„ 6 „ pszenicy. . .	„	8 „	—	48 „
„ 8 „ jęczmienia . .	„	4 „	—	32 „
„ 25 „ owsa	„	3 „	—	75 „
„ 90 „ kartofli . . .	„	1 „ 50		135 „
		Razem .	.	430 rs.

czyli 26 rubli 87 kop. z morgi.

b) Gospodarstwo 13-morgowe z tejże kolonii, własność Jana Tokarskiego, zawiera oprócz 4 mórg łąki dającéj około 40 cetnarów siana, 9 m. ornego gruntu w tymże gatunku jak i u poprzedzającego. Inwentarza trzyma sztuk 5 dorodnego czyli przeszło po pół sztuki na morgę, z ogólnego pastwiska przypada na niego 2 morgi.

Jan Tokarski, jako były karbowy dworski, dąży do zmiany systemu gospodarskiego w swojéj osadzie, a mianowicie chce uniknąć zasiewu żyta po kartoflach na gnoju. Przechodzi więc do innego porządku zasiewów, ażeby po kartoflach w gnoju wypadały jarzyny, po których pójdzie żyto i następnie owies. Nawozi ziemię co 3 a w części co 4 lata.

Przy ostatnim zbiorze otrzymał:

Żyta . .	z 3 mórg	16 kor.	czyli	5 1/3 kor.	z morgi
Pszenicy .	z 1/4 „	1 „	„	4 „	„
Jęczmien.	z 1 1/4 „	6 „	„	5 „	„
Owsa . .	z 2 1/2 „	10 „	„	4 „	„
Kartofli .	z 2 „	60 „	„	30 „	„

Co po obrachunku na pieniądze wynosi:

Za 16 korcy żyta . . .	a rs.	5 k.	—	80
„ 1 „ pszenicy . .	„	8 „	—	8
„ 6 „ jęczmienia .	„	4 „	—	24
„ 10 „ owsa . . .	„	3 „	—	30
„ 60 „ kartofli . .	„	1 „ 50		90
		Razem .	.	332 rs.

czyli po 25 rubli 77 kop. na morgę.

Zestawienie rezultatów gospodarstw 3-éj grupy przedstawia następująca tabelka:

	Gospodarstwo wielkie	Gospodarstwa małe		Przeciętna małych gospodarstw
		a	*b*	
Dochód z morgi	19 rs. 92 k.	26 rs. 87 k.	25 rs. 77 k.	26 rs. 32 k.
Stosunek upraw. płodów:				
Oziminy	29%	50%	36%	43%
Jarzyny	21%	37½%	42%	39¾
Okopowych	7%	12½%	22%	17¼
Traw	7%	0%	0%	0%
Ugorów czystych łubinowych i pastwiskowych .	37%	0%	0%	0%
	100%	100%	100%	100%

W téj grupie równie jak i w poprzedzającéj jednakie przyczyny wywołują też same skutki, większy zasiew w gospodarstwach małych, skutkiem braku ugorów, daje większą produkcyą nawet przy niższéj urodzajności, która z kolei jest następstwem niemożliwości ugorowéj uprawy.

Czwartą nareszcie grupę porównawczą przedstawiają nam dobra Wola Jedlińska, własność p. K., dwie osady we wsi Radziechowice w bliskości tychże dóbr w jednéj gminie i w jednakich warunkach gleby z niemi położone.

W majętności Wola Jedlińska od lat kilku, po przejściu jéj w ręce obecnego właściciela, prowadzi się gospodarstwo chociaż nie nakładowe lecz umiejętne i bardzo staranne. Oprócz 12 włók lasu i zagajników oraz łąk mórg 240 dających przeszło 10000 cetn. siana; w dwóch folwarkach jest ziemi ornéj mórg 756; inwentarza żywego w grubych sztukach 230, czyli 0,3 sztuki na jedną morgę uprawnego gruntu, do tego pastwisk oddzielnych mórg 191.

Folwark Wola ma dwa rodzaje gruntu oddzielnie urządzone: 120 mórg żytniego klasy 1-éj, podzielone na 6 pól po 20 mórg z jednym ugorem i bez koniczyny, któréj przy obfitości siana i pastwiska właściciel nie uważa za korzystne zasiewać, przez co ma o jedno pole zbożowe więcéj. Reszta gruntów folwarku w ilości 340 mórg żytnich 2 i 3 klasy podzielone na 4 pola. W tém część na mocniejszym gruncie, o ile starczy nawozu, obsiewa się po ugorze kolejno żytem, kartoflami i owsem a w części tatarką, na pozostałéj zaś części sieje się tylko żyto po łubinie.

W folwarku Ludwikowie na 296 mórg przy 12-polowéj rotacyi, 2 pola się gnoi pod żyto, 2 pola są w pastwisku obsiane białą koniczyną i 1 ugoru przed żytem zasiany łubinem. W ogóle w całéj majętności pod oziminę zajęto 221 mórg, pod jarzynę 210 morg, pod kartofle 54 m., pod pastwiska obsiewne 48 mor., pod ugory czyste i łubinowe 223 morgi. Z tego się pognaja około mórg 120 czyli przeszło 16%.

Plony z ostatnich rachunków były następujące:

Żyta . . . z	201	morg.	1015	kor.	czyli	po	5	kor.	z morgi
Pszenicy . z	20	„	160	„	„	„	8	„	„
Jęczmienia . z	34	„	178	„	„	„	5½	„	„
Owsa. . . z	94	„	775	„	„	„	8¼	„	„
Grochu . . z	10	„	45	„	„	„	4½	„	„
Tatarki . . z	36	„	90	„	„	„	2½	„	„
Mięszanin . z	36	„	180	„	„	„	5	„	„
Kartofli . . z	54	„	2560	„	„	„	47½	„	„

Co obliczone na pieniądze wynosi:

Za	1015	korcy	żyta . .	a rs.	5 k.	—	5075 rs.
„	160	„	pszenicy .	„	8 „	—	1280 „
„	178	„	jęczmien.	„	4 „	—	712 „
„	775	„	owsa . .	„	3 „	—	2315 „
„	45	„	grochu .	„	5 „	—	225 „
„	90	„	tatarki .	„	4 „	—	360 „
„	180	„	mięszanki	„	4 „	—	720 „
„	2560	„	kartofli .	„	1 „	50	3840 „
				Razem .		.	14527 rs.

czyli po 19 rubli 21 kop. z morgi.

Małe gospodarstwa téj grupy przedstawiają się w sposób poniższy.

a) Gospodarstwo we wsi Radziechowice, własność Lamberta Soski, zawiera mórg przeszło 16, w tém ornego gruntu 9¾ morgi i łąki mórg 7, wydającéj około 180 cetn. siana. Inwentarz żywy zredukowany na sztuki większe wynosi sztuk przeszło 9, czyli po 1-éj sztuce na morgę orn. gruntu.

Wieś Radziechowice na 1638 mor. pola ornego i łąk posiada 1096 mor. pastwiska; stosunek na pozór bardzo wysoki, znacznie się jednak redukuje tém, że pastwisko jest w wysokiém położeniu, a więc bardzo suche i jałowe; w stosunku do posiadanéj ziemi przypada go na naszego gospodarza mórg około 12. Przy dostatku sia-

na i znacznéj stosunkowo ilości bydła nawozi rocznie do 3 mórg: pod żyto, pod kartofle, a także pod proso i len. Po życie na gnoju sieje znów żyto a potém owies: po kartoflach zaś jęczmień, żyto i na ostatku owies,—gatunek ziemi średni, żytni, iłowaty (mułkowy). Przy wielkiéj przestrzeni chudego pastwiska, włościanie téj wsi przybierają z niego kawałki pod zasiew żyta, które następnie znowu idą w odłóg. Nasz gospodarz zasiewa na pastwisku około 2 mórg żytem, ztąd produkcya jego rozkłada się na 11¾ mórg uprawnéj ziemi.

Produkcya tego gospodarstwa wyniosła:

Żyta. . .	z 6	mórg	30	kor.	czyli po	5	kor.	z mor.
Jęczmienia	z 1¼	„	15	„	„ „	10	„	„
Owsa . .	z 2½	„	20	„	„ „	8	„	„
Prosa . .	z ¼	„	4	„	„ „	16	„	„
Kartofli .	z 1½	„	90	„	„ „	60	„	„

Wartość tejże na pieniądze:

Za 30	kor.	żyta . .	a rs. 5 k.	—	150 rs.
„ 15	„	jęczmienia	„ 4 „	—	60 „
„ 20	„	owsa . .	„ 3 „	—	60 „
„ 4	„	prosa . .	„ 5 „	—	20 „
„ 90	„	kartofli. .	„ 1 „	50	135 „
			Razem .		. 425 rs.

czyli na morgę 36 rub. 17 kop.

b) Gospodarstwo w tejże wsi położone, własność Andrzeja Kulisia, zawiera przeszło 10½ morgów, w czém ornego gruntu jest przeszło 6½ mor. i łąki mórg 4, która wydaje siana około 100 cetnarów. Pastwiska przypada na niego przeszło 6½ morgi, bydła dorosłego sztuk 6, czyli prawie po 1-éj sztuce na morgę. Gospodarstwo pod względem kolei zasiewów podobne do poprzedzającego. Gnoju wywozi bez mała na 2 morgi. Z pastwiska przybiera pod zasiew około 1 morgi.

W ostatnim roku wyprodukował:

Żyta. . .	z 3	mórg	korcy	16	czyli	około 5⅓	z mor.
Jęczmienia	z 1	„	„	6½	„	„ 6	„
Owsa . .	z 1½	„	„	9	„	„ 6	„
Prosa . .	z 3 garncy		„	2	„	„ —	„
Kartofli .	z 1½	mórg	„	70	„	„ 46	„

Co wyniesie na pieniądze:

Za 16	korcy	żyta . . .	a rs. 5 k.	—	80 rs.
„ 6½	„	jęczmienia .	„ 4 „	—	26 „
			do przeniesienia		106 rs.

			z przeniesienia	106 rs.
Za 9 korcy	owsa . . .	a rs.	3 k. —	27 rs.
„ 2 „	prosa . . .	„	5 „ —	10 „
„ 70 „	kartofli . .	„	1,50 —	105 „
			Razem . .	248 rs.

czyli 33 rubli 6 kop. z morgi.

Po zestawieniu gospodarstw czwartéj grupy wypada:

	Gospodarstwo wielkie	Gospodarstwo małe		Przeciętna małych gospodarstw
		a	*b*	
Dochód z morgi	19 rs. 21 k.	36 rs. 17 k.	33 rs. 6 k.	34 rs. 61½ k.
Stosunek uprawianych płodów:				
Oziminy	29%	41%	38½%	39¾%
Jarzyny	27,8%	44%	38½%	41¼%
Kartofli	7,2%	15%	23%	19%
Ugorów czystych, lubinowych i pastewnych:	36%	0%	0%	0%
	100%	100%	100%	100%

Stosunek mniéj więcéj tegoż charakteru co i w grupach poprzednich; oprócz tego widoczném jest że w miarę zmniejszania się obszaru gospodarskiego, nawet pomiędzy małą własnością, uprawa kartofli jest prawie w odwrotnym stosunku do szerokości warstatu.

Na tém kończymy nasze zestawienie, bo tyle tylko mamy obecnie pod ręką porównawczego materyału. Oprócz tego jednak musimy zanotować wypadki 2 gospodarstw wielkiego i małego, które jako dwie zupełnie przeciwległe skrajności nie mogą być z sobą porównywane, pomimo to wszakże dadzą materyał do kilku interesujących uwag.

Większe gospodarstwo, o którém chcemy mówić, tém więcéj będzie ważnym dla nas materyałem, iż leży w innéj zupełnie części kraju aniżeli ta, z któréj dotąd braliśmy wzory, i do tego w okolicy z natury nader urodzajnéj, a mianowicie w Gostyńskiém; bardzo-by było rzeczą pożądaną mieć niemniéj dokładną wiadomość i o rezultatach gospodarstwa włościańskiego w urodzajnéj tamtejszéj glebie; wiemy bowiem, że i takie, przy lepszéj ziemi z natury, lepiéj stoją

i zapewniają właścicielom znaczniejsze rezultaty. Wiemy np. że włościanie, na małych bardzo stosunkowo działkach urodzajnéj sandomierskiéj ziemi, plantują buraki dla fabryki cukrowéj w Częstocicach i znaczne ztąd osiągają korzyści; w braku wszakże odpowiedniego ściśle wiadomego przykładu musimy pozostawić rzecz tę bez porównania.

Majętność Wały w Kutnowskiém, własność p. Cz., przy 90 mor. doskonałéj łąki dającéj 5400 cetn. siana, zawiera gruntów ornych morgów 390 ziemi marglowéj szczerkowéj o grubéj warstwie. Gospodarstwo 3-polowe poprawne, czyli właściwie dowolne, prawie bez ugorów, lub z bardzo małą częścią nieobsianych, bardzo intensywne. Inwentarza grubego przypada na morgę po pół sztuki, lecz stosunek ten jest bardzo wielki skoro bydło cały rok stoi na oborze. Właściciel nie używa wprawdzie nawozów mineralnych, lecz za to dokupuje siana za 1000 rubli; kuchów zaś, wytłoków buraczanych i otrąb za 2000 rubli, a więc razem paszy za 3000 rubli. Paszę tę opłaca inwentarz, z którego 30 krów daje na rok przeciętnie 15000 garncy mléka i prócz tego opasa się rocznie 500 sztuk kupionych owiec. Buraki były przedtem plantowane, obecnie chwilowo może wstrzymane dla pozyskania większéj ilości nawozu.

Nie mając szczegółowego rozkładu pola pod rozmaite rodzaje uprawy, możemy tylko podać rezultat zbioru ostatniego lata, który dla łatwiejszego zestawienia z podanemi wyżéj przykładami obliczamy po tych samych cenach. Rachunek taki wyniesie:

Za	1050	kor.	pszenicy. .	a rs. 8 k. —	8400 rs.
„	540	„	żyta . . .	„ 5 „ —	2700 „
„	300	„	grochu . .	„ 5 „ —	1500 „
„	900	„	owsa . . .	„ 3 „ —	2700 „
„	12	„	koniczyny .	„ 50 „ —	600 „
„	2100	„	kartofli . .	„ 1,50 —	2700 „
				Razem. .	19050 rs.

czyli na morgę 48 rs. 84 kop. a więc przeszło o rubli 8 więcéj niż gospodarstwa większe w 1 grupie.

Jakby dla pewnego rodzaju kontrastu możemy zacytować teraz gospodarstwo włościańskie w najlichszéj glebie położone. Przy opisie dóbr Jedlno zanotowaliśmy tam egzystencyą folwarku o lichéj piasczystéj ziemi, którego administracya nie uważa za możliwe uprawiać i przeto oddaje takowy włościaninowi w dzierżawę mniéj niż po 2 ruble za morgę. W tych samych warunkach znajduje się wieś Jankowice, zawierająca 14 kolonij włościańskich od 14 do 50

morgów, któréj grunta i osady w bliskości rzeki Warty, pomiędzy piasczystemi wydmami i smugami dość lichéj łąki są położone.

Właściciel jednéj z tych kolonij Wawrzyniec Słączyński, posiada gruntu mórg 48 przeszło, w czém 7 morg. nieużytków, 17 mor. nieszczególnych łąk, dających około 150 cetn. siana i 24 morgi przeszło ornego gruntu, który przedstawia trzy gatunki bardzo lichéj gleby, a mianowicie: piasek słaby, żytni, potrzebujący odłogowania; piasek żwirowy, żelazisty, żółto-czerwonego koloru i po nad smugami łąkowemi kawałki zimnéj siwicy. Żyto na piaskach przy gnojeniu, jakkolwiek rzadkie, dosyć jest wszakże plenne, skoro z kopy do 3 korcy się namłaca, na siwicy zaś takaż kopa zaledwo 1 do 1½ korca wydaje. Inwentarza grubego ma sztuk około 20 czyli 0,8 na morgę. Nawóz wozi częścią pod kartofle częścią pod żyto. W obu wypadkach zebrawszy z nawozu 3 plony, rok jeden zostawia w ugorze i jeszcze raz sieje żyto; na górnych kawałkach zasiewa nieco łubinu. W ostatnim roku sprzątnął:

Z	14	mórg żyta . .	kor.	45,	czyli 3¼	blisko	z mor.
„	½	„ jęczmienia	„	3,	„ 6	„	„
„	2	„ owsa . .	„	9,	„ 4½	„	„
„	2	„ tatarki . .	„	5,	„ 2½	„	„
„	½	„ grochu. .	„	5,	„ 10	„	„
„	2	„ kartofli. .	„	60,	„ 30	„	„

Reszta około 4 morgów w ugorze.

Wartość téj produkcyi wynosi:

Za 45 korcy żyta	a rs.	5 k.	—	225 rs.
„ 3 „ jęczmienia . .	„	4 „	—	12 „
„ 9 „ owsa. . . .	„	3 „	—	27 „
„ 5 „ tatarki . . .	„	4 „	—	20 „
„ 5 „ grochu . . .	„	5 „	—	25 „
„ 60 „ kartofli . . .	„	1,50	—	90 „
		Razem .	.	399 rs.

czyli po 16 rubli 62 kop. na morgę.

Przykład wsi Jankowice wskazuje, że w warunkach, w których gospodarstwo folwarczne stanowczo już nie mogłoby egzystować, gospodarstwo cząstkowe może jeszcze znośny byt właścicielowi zapewnić.

Musimy tu dodać, że Wawrzyniec Słączyński nie jest wcale wyjątkiem w Jankowicach; są tam od niego znacznie zamożniejsi, a wogóle wszyscy są w bardzo dobrym bycie. Mieszkaniec téj wsi

Jan Dursza, ma swoję osadę zabudowaną na podobieństwo małego folwarku, obsadził ją całą drzewami; co większa wydmy piasczyste na swoim gruncie ustala plantowaniem brzeziny, w czém nawet dworską administracyą uprzedza.

Jakkolwiek przy rozpatrzeniu grup po szczególe zanotowaliśmy już niektóre cechy charakterystyczne, właściwe tylko wielkim lub małym gospodarstwom, jednakże jeszcze bardziéj pouczającém może być zestawienie wszystkich warunków uprawy obu rodzajów własności, które w następujących tablicach podajemy.

TABLICA I.

Wydajności w stosunku do morgi najważniejszych płodów rolniczych w obu rodzajach własności.

	Z 1 morgi zbiera się korcy:					
	Żyta	Pszenicy	Jęczmienia	Owsa	Grochu	Kartofli
Z wielkich gospodarstw:						
Grupa 1	10	12½	11½	14	—	70
„ 2	6	7	5½	10	6	37
„ 3	5¼	7	7½	5	4	59
„ 4	5	8	5¼	8¼	4½	47½
Przeciętna .	6,6	8,6	7,5	9,3	4,8	53
Z małych gospodarstw:						
Grupa 1 — *a*. . .	11	15	14	10	—	48
„ 2 — *a*. . .	5	8	12	8	—	24
„ „ — *b*. . .	4	9	10	7½	10	30
„ „ — *c*. . .	4	6	6	6	—	40
„ 3 — *a*. . .	4	6	8	5	—	45
„ „ — *b*. . .	5,3	4	5	4	—	30
„ 4 — *a* . .	5	—	10	8	—	60
„ „ — *b*. . .	5⅓	—	6½	6	—	46
Przeciętna. .	5½	8	8,6	6¾	10	40

TABLICA II.

Ważniejszych gospodarskich stosunków w obu rodzajach własności.

	Na 100 morg. gruntu ornego			Przeciet. ilość bydła na mor.	Stosunek % uprawianych płodów					Dochód brutto z morgi	
	Łąk morg.	Pastw. nat. m.	Gnoisię m.		Ozimin	Jarzyny	Okopow.	Traw	Ugoru	rs.	kop.
Wielkie gospodarstwa:											
Grupa 1.	60	14	24	2/3	30	30	10	15	15	40	—
„ 2.	41	15	24	2/3	31 1/4	31 1/4	12 1/2	12 1/2	12 1/2	30	39
„ 3.	44	26	16	0,3	29	21	7	7	37	19	92
„ 4.	31	25	16	0,3	29	27,8	7,2	—	36	19	21
Przeciętna. .	44	20	20	0,35	29,8	27,4	9	8,6	25	27	38
Małe gospodarstwa:											
Grupa 1 — *a*. . .	20	26	40	2/3	30	40	30	—	—	61	60
„ 2 — *a*. . .	25	25	28	0,7	53	31	16	—	—	35	18
„ „ — *b*. . .	20	25	27	0,5	41 1/2	44 1/2	14	—	—	31	3
„ „ — *c*. . .	14	25	28	0,5	46 1/2	33 1/2	20	—	—	29	60
„ 3 — *a*. . .	37	21	20	0,5	50	37 1/2	12 1/2	—	—	26	87
„ „ — *b*. . .	44	22	28	0,5	36	42	22	—	—	25	77
„ 4 — *a*. . .	71	120	30	1	41	44	15	—	—	36	17
„ „ — *b*. . .	61	100	27	1	38 1/2	38 1/2	23	—	—	33	7
Przeciętna. .	36	45	28	0,62	42	39	19	—	—	34	91

Rozpatrując się w przytoczonych stosunkach widzimy.

1-o Stosunek łąk do gruntów uprawnych wyższy jest u większych własności niżli u małych o 8%.

2° Stosunek pastwisk przedstawia się odwrotnie; tak że dla małych przeważa o 25%; różnica jednak byłaby mniéj znaczną gdyby nie weszła w rachunek niezwykła, a przynajmniéj wyjątkowo dziś trafiająca się, przestrzeń pastwiska w 2 osadach 4 grupy włościan wsi Radziechowic.

3-io. W stosunku zagnojonych przestrzeni mała własność przeważa wielką o 8 procentów.

4-e. Bydła mała własność utrzymuje w stosunku do przestrzeni więcéj o 0,27 sztuk na morgę, co jest rzeczą zupełnie naturalną, ponieważ inwentarz żywy jest główną podstawą bytu drobnego właściciela. Ławiéj mu téż przychodzi małą ilość, chociaż w zwiększonym do przestrzeni stosunku, przechować skoro ma czas i możność przychodzić w pomoc letniemu pastwisku zadawaniem bydlęciu: trawy z miedz i ogrodów, wypielonych na polu chwastów, oraz zbiera-

nych łącin kartoflanych. Zimą też przychodzą w pomoc oskrobiny i różne inne domowe odpadki.

5-e Co do stosunku zasiewów do przestrzeni, to takowe są znacznie większe w małych gospodarstwach, przewyższając co do ozimin i jarzyn o 12% co zaś do kartofli o 10% takież zasiewy w gospodarstwach folwarcznych, przy zupełnym braku ugorów i specyalnych roślin pastewnych.

6-e Stosunek wydajności z morgi główniejszych produktów gospodarskich, podany w tablicy 1-éj w cyfrach przeciętnych, wykazuje przewagę urodzajności większych gospodarstw: w życie, pszenicy i owsie, w jęczmieniu zaś jest przewaga po stronie małéj własności. Co do kartofli—urodzajność wykazana o 13 korcy na morgu większa w gospodarstwach folwarcznych, jest w obecnym razie czysto przypadkową. Do zestawienia rezultatów gospodarskich mogliśmy wziąść dla gospodarstw folwarcznych li tylko urodzaj z r. 1881 jako mający już rachunki gospodarskie skończone.

Dla gospodarstw zaś włościańskich rok ostatni 1882-i, nie prowadzący bowiem żadnych rachunków piśmiennych włościanie jedynie ostatnie rezultaty mogą dokładnie pamiętać. Jednostajność prawie tych obu lat, co do urodzaju zasiewów zbożowych, dała możność ich zestawienia bez żadnéj większéj omyłki, bezporównania zaś gorszy urodzaj kartofli w r. 1882 wypadł na niekorzyść gospodarstw włościańskich, co nas ochroni od zarzutów stronności dla tych ostatnich, w oczach rzekomych obrońców większéj własności, która mówiąc nawiasem obrony nie potrzebuje.

7-e Pomimo wszakże niższych rezultatów gospodarstw małych, pojedyńczo na każdéj mordze osiąganych, ogólny wypadek produkcyi surowéj, przeciętnie na morgę uprawną obliczonéj, większy jest w małéj własności o ¼ w miarę produkcyi gospodarstw folwarcznych czyli o 7½ rubli srebrem na mordze.

Przyczyną téj nadprodukcyi jest, jakeśmy to przy pojedyńczych grupach widzieli, większy stosunkowo zasiew przy zupełnym braku ugorów, które dla małych gospodarstw są bezwarunkowo nie możliwe. Są one też biorąc finansowo i dla wielkich gospodarstw niekorzystne, tam gdzie ziemia dobra i przez to trzyma się w cenie wysokiéj, tém bardziéj że w gospodarstwach nakładowych użycie nawozów mineralnych, nietylko równoważy korzyści z ugorowéj uprawy dla pojedyńczych plonów wynikające, ale je nawet znacznie przewyższa, jakeśmy to na przykładzie pierwszéj grupy łatwo mogli dostrzedz.

Przeciwnicy małych gospodarstw zarzucają im najbardziéj, obszerną uprawę kartofli i nawożenie ziemi pod ten produkt. Zarzuty

te mogły by mieć jakąkolwiek podstawę, jeśliby małorolni właściciele mieli możność na podobieństwo francuzkich oddawać się uprawie winnic, hodowli jedwabników i plantacyi tytoniu. W braku tych surrogatów muszą wyszukiwać co jest najkorzystniejszego, a więc uprawiać przeważnie kartofle, które i finansowo zapewniają najwyższy dochód z morgi pośledniejszego gruntu, i dostarczają zarazem stosunkowo najwięcéj pożywnéj suchéj substancyi (1).

Gnój wożą pod ten produkt drobni rolnicy przeważnie na grunta piaskowe, lub zimne małourodzajne, na gruntach mocnych sadzą kartofle po pszenicy. Na słabych gruntach kartofle po życie bardzo niepewny plon obiecują, wywożenie zresztą pod nie gnoju choć w części jest konieczne, włościanin bowiem nie mając ugorów nie miałby gdzie umieścić zimowego gnoju. Letni zaś gnój wozi zawsze pod oziminy, najczęściéj na zredlone i zawleczone ściernisko które następnie razem z gnojem podoruje.

V.

Przy rozwiązywaniu wszelkich kwestyj ekonomicznych panuje powszechny zwyczaj uciekania się do liczb statystycznych i do odbywania nad niemi rozmaitych gimnastycznych ćwiczeń. Metoda to zupełnie odpowiednia celowi, jeśli podstawa jest dobrą, co się wszakże w ogóle biorąc zdarza dosyć rzadko, skutkiem często spotykanych w statystycznych danych sprzeczności. Najsłabszą jednak częścią statystyki urzędowéj u nas jest statystyka produkcyi i konsumpcyi rolniczéj, która to wyłącznie służy do wyświetlenia kwestyi wielkiéj i małéj uprawy.

Zaznaczyliśmy na innym miejscu dosyć wyraźnie (2) wadliwość danych statystycznych co do zajmującéj nas kwestyi, obecnie jednak

---

(1) Rachując z morgi gnojnéj gruntu piaskowego plon kartofli na korcy 50 i rachując takowe tylko po rs. 1 dochód z morgi wyniesie rs. 50. Z takiejże morgi licząc żyta 5 korcy po rs. 5 i 12 cet. słomy cenionéj na rs. 6 dochód będzie stanowić rs. 31 a więc o 19 rs. mniejszy od dochodu z kartofli, jeśli zaś przyjąć cenę obecnie już zwyczajną na kartofle po 1 rs. 50 kop. korzec, przewyżka wyniesie rs. 44.

Z 50 korcy kartofli wagi brutto 14,000 funtów, licząc 27% suchej pożywnéj substancyi takowa wyniesie . . . . 3,780 f.
Z 5 korcy żyta f. 1,135 po 95% wypada . . 1,078 f.
z 1,500 f. słomy po 1/6 . . . . 250 — 1,328 f.
Przewaga na korzyść kartofli 2,452 f.
która wynagradza ilością mniejszą zawartość części azotowych.

(2) Stosunki gminne w Królestwie Polskiem, Warszawa 1881 roku odbitka z „Ateneum“.

mamy podstawę do udowodnienia ostatecznego braku wszelkiéj w nich zasady, a przeto zupełnéj niemożliwości posługiwania się niemi w jakim bądź celu, i następnie wyprowadzić przez rachunek prawdopodobieństwa, chociaż opartego na szczupłych podstawach, wnioski o rzeczywistéj rolnéj produkcyi naszego kraju.

Badając sposoby tworzenia się téj statystyki u źródeł, przekonaliśmy się: że początkowo po nowéj organizacyi z r. 1866 pierwsze wykazy statystyczne przez urzędy gminne podane, oparte były co do dworów na zebranych mniéj więcéj wykazach na miejscu, co do gospodarstw włościańskich zupełnie przypuszczalnie, w ogóle zaś cały obrachunek zrobiony w korcach, najczęściéj wstawiony był w rubryki czetwierti, bez należytéj redukcyi, przy zupełnym braku pojęcia o stosunku tych miar różnorodnych. Bezwątpienia były gminy gdzie téj redukcyi dokonano, nie mamy jednak najmniejszéj podstawy do wnioskowania w jakiéj mianowicie liczbie miejscowości redukcyą tą się zajęto. Przy odnawianiu corocznych w dalszym ciągu wiadomości, takowe już nigdy i nigdzie nie bywają zbierane, redukuje się zaś zwykle wiadomość przeszłoroczna mniéj więcéj na zasadzie przypuszczalnéj większéj lub mniejszéj urodzajności danego roku. Co gorsza, nawet owe przypuszczenia często są zupełnie mylne, jak tego dowodzi rok 1873 zupełnie nie urodzajny na żyto co do ziarna, w którym jednak urzędowa statystyka podaje tego produktu więcéj o 228.604 czetwierti od urodzaju pomyślnego 1872 roku, pomimo że jak to pamiętamy dobrze, królestwo na wiosnę r. 1873 nawet na prowincyi posiłkowało się żytem sprowadzanem z Litwy.

Szczegóły jeszcze bardziéj stanowczo stwierdzają nasze założenie. Mając wykazy statystyczne danéj gminy oraz dokładny wykaz ziemi uprawnéj, jako notowany do pobierania składki gminnéj, możemy łatwo na zasadzie powyżéj przytoczonych wzorów wielkich i małych gospodarstw, obliczyć ilość możliwych zasiewów i plonów w gminie i następnie porównać takowe z wykazami statystyki urzędowéj tejże gminy. Do tego obrachunku posłuży nasza następująca tabelka o stosunkowéj przestrzeni zajętéj pod rozmaite plony w wielkich i małych gospodarstwach, gdzie wzięliśmy pod uwagę tylko ważniejsze produkta, jak żyto, pszenica, jęczmień, owies i kartofle pomijając inne drobniejsze jak groch, tatarka, proso i tym podobne: które wszędzie tylko mały ułamek zasiewów stanowią.

TABLICA III.

	Stosunek procentowy przestrzeni zajętéj pod rozmaite plony.				
	Żyto	Pszenica	Jęczmień	Owies	Kartofle
Wielka własność:					
Dubidze	27	1½	4	25	10
Ciążkowice	15	15	6	12½	10
Jedlno	24	6	9	28	7
Wola Jedlińska.	27	2½	4½	12½	7½
Przeciętna .	23	6	6	19½	8½
Mała własność:					
Grupa 1 — *a*. . .	20	10	10	30	30
„ 2 — *a*. . .	37	15	8	15	15
„ 2 — *b*. . .	33	7	7	27	14
„ 2 — *c*. . .	40	6½	6½	26½	20
„ 3 — *a*. . .	43	6	6	31	12
„ 3 — *b*. . .	33	2½	13	28	22
„ 4 — *a*. . .	41	—	15	26	15
„ 4 — *b*. . .	39	—	15	23	23
Przeciętna .	35	6	10	26	19

Podług powyższego stosunku i urodzajności przyjętéj podług Tablicy I przy posiadaniu w gminie ziemi ornéj 2.243 m. przez większych właścicieli i 3.693 m. przez drobnych—porównawcza statystyka przedstawi się jak następuje:

	Liczba morgów zasianych	Zasiew przypuszczalny	Produkcya przypuszczalna	Zasiew podł. statystyki urzędow.	Produkcya przypuszczalna	Mniéj od przypuszczalnego
		K	o	r	c	e
Własność większa:						
Żyta	515	500	3399	410	2214	1185
Pszenicy	134	134	1152	296	1066	86
Razem ozimin .	649	634	4551	706	3280	1271
Jęczmień.	134	134	1005	164	984	21
Owies.	437	655	3933	328	2050	1883
Razem jarzyny. .	571	789	4938	492	3034	1904
Kartofli	190	1520	10070	1656	6314	3756
Własność mniejsza:						
Żyto	1292	1616	7752	492	2296	5456
Pszenicy	221	221	1768	164	984	784
Razem ozimin .	1513	1837	9520	656	3280	6240
Jęczmień	369	369	3173	164	984	2189
Owies	960	1440	6480	328	2050	4430
Razem jarzyn .	1329	1809	9653	492	3034	6619
Kartofli	701	5608	28040	1705	5805	22235
Razem z obu własności:						
Ozimin	2162	2471	14071	1362	6560	7511
Jarzyn	1900	2598	14591	983	6068	8523
Razem zboża .	4062	5069	28662	2345	12628	16034
Kartofli	891	7128	38110	3361	12119	25991

Z zestawienia cyfr przytoczonych widzimy: że produkcya przypuszczalna wielkich gospodarstw co do pszenicy i jęczmienia prawie się nie różni od cyfr statystyki urzędowéj, co do żyta zaś, owsa i kartofli dość znacznie takową przewyższa. Najbardziéj jednak uderzające różnice okazują się na mniejszéj własności, dla któréj cyfry urzędowe pod względem ozimin i jarzyn są trzy razy mniejsze od obrachowanych przypuszczalnie, co do kartofli zaś są pięć razy mniejsze od tych ostatnich. Że statystyka mniejszéj własności robiona była zupełnie dowolnie same cyfry widocznie to wskazują, gdy wysiew jarzyn w cyfrze 492 korce i sprzętu takowych w cyfrze 3.034 są zupełnie identyczne dla obu rodzajów gospodarstw. Toż samo okazuje cyfra 3.280 jako produkcya ozimin jedna dla obu kategoryj. Kartofli wielka własność ma produkować o 500 korcy więcéj od małéj, co wszystko jest zupełnie nieprawdopodobne, wobec faktu że wielka własność w téj gminie posiada gruntów ornych zaledwie $^2/_3$ przestrzeni takichże gruntów u włościan i że z téj ilości, co najmniéj $^1/_4$ zostawia w ugorach a około $^1/_{10}$ zajmuje obsiewem roślin pastewnych.

Z tego cząstkowego przykładu należy wnosić że produkcya małych gospodarstw w statystyce urzędowéj jest niepomiernie obniżoną.

Jeżelibyśmy na podstawie wszystkich powyżéj przyjętych zasad, zechcieli zrobić próbę obliczenia prawdopodobnego możliwéj produkcyi całego kraju, byłoby to przedsięwzięcie zapewne dosyć ryzykowne, pomimo to wszakże obliczenie podobne daje rezultat bardziéj do możliwości zbliżony aniżeli wszystkie posiadane przez nas statystyczne wykazy.

Dla przypuszczalnego obliczenia produkcyi potrzeba najprzód ustanowić chociaż przypuszczalne cyfry ziemi ornéj zajętéj pod uprawę, na całéj przestrzeni kraju. Podług zrobionego przez nas uprzednio obliczenia (1) gruntów prywatnych, instytutowych, nadanych i rządowych, po strąceniu z nich małych własności nie włościańskich było . . . . 10,101,641 mórg

Potrącając z tego przybytek gruntów włościańskich do r. 1881 powstałych z wynagrodzenia za służebności . . . 350,483 mórg

i nabyte drogą porcelacyi . . 557,285 „

Razem 907,768 mórg (2)

(1) Patrz wielka i mała własność w Kr. Pol. Ateneum Tom I z r. 1877.

(2) Ateneum kronika miesięczna, zeszyt lutowy 1883 r.

Pozostanie w rzeczywistém posiadaniu większéj własności	9,193,873	morg

Ażeby dojść do ilości gruntów zostających pod pługiem z powyższéj ilości należy potrącić.

Na nieużytki i pod zabudowaniem 5% . .	459,693	morgi
Łąk podług Wolskiego około 10%	919,387	„
Na pastwiska „ „ 5%	459,693	„
lasów za wyłączeniem rządowych . . .	3,872,458	„
Razem	5,711,231	morgi

Z powyższéj za tém ilości	9,193,873	
strącając „ „	5,711,231	
pozostanie gruntu ornego . . . . w posiadaniu większéj własności.	3,482,642	

Gruntów włościańskich było w roku 1881		8.698.134	m.
Z tego do potrącenia:			
Gruntów gromadzkich podług tabel likwidacyjnych	713,835 m.		
przybyłych za służebności. .	350,483 „	1,264,318	m.
pozostaje		7,433,816	m.
Dodając własności małych nie włościańskich		436,219	„
otrzymamy		7,870,035	m.
Strąciwszy z tego jeszcze:			
na nieużytki 5%	393,501 m.		
i łąk 10%	787,003 „	1,180,504	m.
Pozozostanie gruntów ornych w posiadaniu małéj własności		6,689,531	m.

czyli wypada że gruntów ornych mała własność posiada dwa razy tyle co wielka, a pomimo to w statystyce urzędowéj produkcya jéj nie dorównywa jeszcze połowy ogólnych zbiorów, co już jest chyba zupełnie niemożliwe.

Jakkolwiek stosunek przestrzeni zajmowanéj przez rozmaite płody rolnicze w obu rodzajach własności, wyprowadzony jest z danych jednéj tylko miejscowości kraju, jednakże skoro ten stosunek dosyć odpowiada ogólnym rysom charakteru większych i mniejszych gospodarstw, musimy więc go użyć, w braku zupełnym lepszego, do wyprowadzenia cyfr możliwie przypuszczalnych ogólnych zbiorów rolniczych.

Rozpatrując się w cyfrach zbiorów w szeregu lat po sobie następujących, jakie nam statystyka podaje, widzimy w nich z roku na rok tak małe różnice, że zupełnie staje się obojętném które z podanych lat weźmiemy do porównania. Bierzemy więc rok 1871 a to z tego powodu, że w tym jedynie roku statystyka Załęskiego podaje oddzielnie wykaz zbiorów wielkiéj i małéj własności. Ponieważ jednak od roku 1872 produkcya ogólna kartofli w kraju podskoczyła z 14 na 20 milionów czetwierti, utrzymując się i daléj na tejże wysokości, przeto i odpowiednie liczby sprzętu kartofli w r. 1871 podnosimy w tymże stosunku czyli o 43%.

Na tak przyjętych podstawach możemy sformować wykaz zbiorów przypuszczalnych, zestawiony z urzędowym, dla całego kraju, w tym samym kształcie jakeśmy to powyżéj dla jednéj gminy zrobili.

TABLICA IV.

	Liczba morgów zasianych	Produkcya przypuszczalna	Produkcya urzędowa	Więcéj od przypuszczalnéj	Mniej od przypuszczalnéj
		K o r c e			
Własność większa:					
Żyto 23% . . .	801015	5286699	5.563.125	276.426	—
Pszenica 6% . .	208960	1797056	2.488.463	691.407	—
Razem oziminy .	1009975	7083755	8.051.588	967.833	—
Jęczmień 6% . .	208960	1567200	1.924.879	357.679	—
Owies 19½% . .	679122	6315834	5.110.325	—	1.205.509
Razem jarzyny .	888082	7883034	7.035.204	—	847.830
Kartofli 8½% . .	296027	15689431	15.280.678	—	408.753
Własność mniejsza:					
Żyto 35% . . .	2341335	12.789.342	6 451.600	—	6.337.742
Pszenica 6% . .	401371	3.210.968	1.108.266	—	2.102.702
Razem oziminy .	2742706	16.000.310	7.559.866	—	8.440.444
Jęczmień 10% . .	668953	5.752.995	2.009.375	—	3.743.620
Owies 26% . . .	1739278	11.740.326	5.087.727	—	6.652.599
Razem jarzyny .	2408231	17.493.321	7.097.102	—	10.396.219
Kartofli 19% . . .	1271010	50.840.400	18.629.349	—	32.211.051
Razem z obu własn.					
Ozimin.	3752681	23.084.065	15.611.454	—	7.472.611
Jarzyn	3296313	25.376.355	14.132.236	—	11.244.049
W ogóle zboża .	7048994	48.460.420	29.743.690	—	18.716.660
Kartofli	1567037	66.529.831	33.910.027	—	32.619 804

Z porównania powyższych cyfr widzimy: że nasz przypuszczalny rachunek obniżył produkcyą ozimin i jęczmienia dla większych gospodarstw, co jest rzeczą naturalną, skoro wzieliśmy za podstawę dane z okolicy mało urodzajnéj i szczególniéj nie obfitującéj w pszenicę. Zgadzamy się więc chętnie na to, że produkcya ozimin i jęczmienia może być większą niżeśmy obrachowali, co nawet przemawia w téj kategoryi na korzyść skrupulatności statystyki urzędowéj; lub, co może prawdopodobniéj świadczy, według zrobionego powyżéj przypuszczenia, o wstawieniu w rubryki czetwierti, wiadomości zebranych na korce; w owsie jednak przypuszczalnie zyskaliśmy 1,200,000 korcy, kartofle zaś wykazały niewielką różnicę. Najbardziéj wszakże uderzające różnice okazują się pod względem małéj własności, któréj produkcya przypuszczalna dla ozimin jest przeszło dwa razy, dla jarzyn przeszło $2\frac{1}{2}$ razy, dla kartofli zaś blisko trzy razy większą od urzędowéj.

Ogólna zaś produkcya całego kraju w statystyce urzędowéj wykazana stanowi dla zboża w ogóle $^3/_5$ i dla kartofli połowę przypuszczalnéj.

Jakkolwiek przyznaliśmy z góry że podstawy naszego obrachowania są dosyć luźne, pomimo to ogólny jego wypadek bliższym się zdaje być prawdy niźli wykazy statystyczne, jak to widać z następującego obliczenia:

Podług podania w Statystyce Poznańskiego ogólna potrzeba kraju: na wyżywienie ludności, wszelkiego inwentarza żywego, oraz wszelkie przeróbki na rozmaite fabrykacye a więc piwo, wódkę, i td. wyraża się 2-a funtami zboża dziennie na każdego mieszkańca. Jakkolwiek ta ilość podług naszego rozumienia za mała, szczególniéj wobec wielkiéj masy ludności napływowéj i wobec konsumpcyi saméj klasy rolniczéj, nie mówiąc o większém użyciu klas zamożniejszych, jednak żeby nie puszczać się w dalsze hipotezy przyjmujemy ją za rzeczywistą i w takim razie, przy obecnéj ludności królestwa, ogólna suma potrzebnego na wyżywienie całego królestwa zboża

wyniosłaby rocznie korcy	27,060,000
Handel zagraniczny w roku 76 wyprowadził różnego zboża	5,658,000 korcy
Na obsiew powyżéj obliczonych przestrzeni potrzeba rozmaitego ziarna	8,843,532
A więc ogółem potrzeba	41,561,532
Że zaś jak wyżéj podług urzędowéj statystyki zbiera się takowego około	29,743,690
Za tém byłby brak na konsumpcyą i potrzeby krajowe	11,817,842 korcy

czyli że kraj rolniczy nie wystarczałby na własne potrzeby, skoro za granicę prowadzi zaledwo połowę tego co mu brakowało; wobec takiego obrachunku potrzeb krajowych, który się nam zdaje niezmiernie nizkim, według bowiem przypuszczeń konsumpcyjnych Poznańskiego mieszkańcy rolniczego kraju bardzoby się słabo odżywiali, śmiało przewidywać można, że deficyt byłby znacznie większym jeśliby rzeczywista potrzeba dała się dokładniéj obliczyć.

Cyfra zatém nasza przypuszczalna a wynosząca korcy 48 mil. zdaje się być bardziéj do prawdy podobną, pozwala bowiem, przy 7 mil. przewyżki, przypuszczać większą konsumpcyą i pewien nawet zapas, bez którego żaden kraj pod groźbą niebezpieczeństwa obejść się nie może.

Statystyka, ta mistrzyni rządzących, będzie zawsze tylko czczém mamidłem dopóki nie przestanie być igraszką władz administracyjnych. Wszystkie biura i urzędy pośredniczące pomiędzy ministerium i krajem są tylko pośrednikami korespondencyi, treść zaś główna przedmiotu spada wyłącznie na wójta i pisarza, którzy, nie tylko pojęcia należytego o rzeczy nie mają, lecz nawet przy najlepszych chęciach, w obec nawału najróżnorodniejszych funkcyj policyjnych, administracyjnych i sądowych, nie są w stanie takiemu zadaniu podołać, i są zmuszeni jedynie formalności zadość uczynić.

Dopóki się nie utworzą oddzielne biura statystyczne z przybraniem odpowiednich i chętnych korespondentów prowincyonalnych statystyka do prawdy zbliżona nigdy się nie urodzi.

VI.

Wszystkie powyższe badania doprowadziły nas ostatecznie do jednego z najgłówniejszych wniosków, że mała własność u nas w ogólnych zbiorach kraju bardzo poważne zajmuje stanowisko; jeżeli bowiem blizko połowa produkcyi brutto własności większéj pokrywa handel zagraniczny, z drugiéj zaś połowy gospodarstwa większe wraz z ich czeladzią znaczną część tejże muszą zużyć, przeważżna więc część konsumpcyi krajowéj opiera się na produkcyi gospodarstw mniejszych.

Ztąd wypada, że bynajmniéj nie należy lekceważyć tego rodzaju kultury, ani téj klasy, która ją prowadzi, jak to czynią niektórzy rzekomi obrońcy własności folwarcznéj. Klasa rolnicza, a więc przeważnie włościańska, jest fundamentem społeczności jak w ekonomicznym tak i w narodowym względzie, bo ona jedna jak np. w Czechach, na Szlązku i w innych krajach, które byt polityczny utraciły, skarb narodowego obyczaju i języka przechowała. Na niéj

też polega siła zasadnicza i wojenna każdego rolniczego kraju. Ta klasa, wedle naszego osobistego przekonania, jest również bogatym kopalnym pokładem moralnéj siły i zdrowego niezamąconego żadną doktryną rozsądku, z któréj to kopalni odmładzają się zwykle zużyte siły inteligencyi.

Narzekanie na tak zwaną ciemnotę i rutynę gospodarską wieśniaka jest niepotrzebne, skoro przyjrzymy się usposobieniu tego stanu w najucywilizowańszych krajach, gdzie wprawdzie elementarz może bardziéj rozpowszechniony, *ostatnie jednak wyniki nauki* między chłopami zbyt rozszerzone nie są.

Rutyna gospodarska chłopa mniéj razić będzie, jeżeli wspomnimy o bardzo jeszcze rozszerzonym zacofaniu i słabéj lub nie właściwie stosowanéj kulturze w znacznéj części gospodarstw folwarcznych, które właśnie przez to na szwank są narażone. Mają wieśniacy oprócz rutyny wiele trafnych z praktyki i obserwacyi zaczerpniętych wskazówek, które im pozwalają, nietylko utrzymać się ale nawet prosperować na takich lichych gruntach na jakich dworskie gospodarstwo bezwarunkowo staje się niemożebném, jak to widzimy z opisu gospodarstwa kolonii Jankowice, o najlichszéj ziemi, stojącéj jednak świetnie dzięki swobodzie oddechu przy obszerniejszym cokolwiek terytoryalnym obszarze.

Nie przeczymy że inteligencya wiejska ma bardzo wielkie znaczenie, a przedewszystkiém ważne zadanie w kraju. Wartość jéj tylko od wypełnienia tych zadań zależy. Nienależałoby więc może poprzestawać na okadzaniu jéj i narażać na duszenie w dymie z własnéj kadzielnicy. Wzajemna admiracya prowadzi do ukołysania z jednéj, i do arogancyi i zarozumiałości z drugiéj strony, na brak czego i tak nie możemy się uskarżać. Nietrafna i przesadnie zapalczywa obrona inteligencyi wiejskiéj, mogłaby ją wystawić na posądzenia o to że się uważa za doskonałość, co przecież tak nie jest, skoro z pomiędzy jéj prawdziwych przedstawicieli podnoszą się głosy wskazujące jéj błędy, a zarazem piękne posłannictwo i zadania (1).

Nie należy się obawiać bynajmniéj o upadek tego posłannictwa skutkiem tych sporadycznych objawów parcelacyi, które się u nas dotąd ujawniły. Dalecy jeszcze jesteśmy do tego terrytoryalnego podziału między wielką i małą własnością jaki egzystuje w ościennych prowincyach jak np. w Galicyi, gdzie mała własność posiada 58% obszaru, kiedy u nas po uwłaszczeniu włościan łącznie ze szlachtą zaściankową mała własność posiadała tylko 46%—a więc jak

(1) Patrz Ludwik Górski. Nasze błędy w gospodarstwie folwarczném. Zadanie i obowiązki większéj własności.

obliczyliśmy to na innem miejscu (1) żebyśmy doszli do podobnego stosunku wielcy właściciele musieliby wyzbyć się z piątéj części posiadanéj ziemi, czyli przeszło 2 mil. morgów. Że zaś dotąd w drodze wynagrodzenia za służebności i przez parcelacyą zmniejszyła się o niecały milion przeto i tak jeszcze powinniśmy być bogatsi od Galicyi co do sił inteligencyi wiejskiéj.

W Poznańskiém gdzie wielka własność posiada 55% ziemi, a z téj w ręku Niemców jest 53 na sto; a za tém wobec posiadanych u nas przez wielkich właścicieli przeszło 50% ogólnego obszaru, polska inteligencya posiada tylko 25%, a pomimo to jednak potrafiła choćby utrzymać wybór posłów polskiéj narodowości, oraz utworzyć kółka rolnicze włościańskie, co dowodzi że nie ilość lecz jakość stanowi.

Jakkolwiek stan kmiecy potrzebował by się i u nas rozruszać, żeby wyjść z zasklepienia i odosobnienia nietylko w społecznym lecz i w gospodarskim względzie, to wszakże pierwsza tylko część tego zadania dla inteligencyi jest otwarta przez wpływ w gminie dotąd niewyzyskiwany, co do drugiéj, to nawet nie mamy chęci wypowiadać pobożnych życzeń, których spełnienie w dotychczasowych stosunkach byłoby niedościgłą utopiją.

Nakoniec jak przeciwnicy tak i stronnicy parcelacyi nie potrzebują, jedni niepokoić się a drudzy cieszyć, przypuszczalném zniknięciem własności większéj, bo to jest rzecz przy dzisiejszych stosunkach nie możliwa; własność większa, nie mówiąc już o kwitnącéj lecz choćby tylko taka, która zostaje w zadawalniającym stanie, wobec nawet przypuszczalnych nie wielkich finansowych rezultatów, ma w sobie tyle powabu nietylko dla zrodzonych na niéj lecz i dla wszelkiego rodzaju dorobkowiczów, że zawsze bez żadnéj wątpliwości znajdzie nabywców w tym stanie w jakim się znajduje. Co do posiadłości zachwianych i obdłużonych, a skutkiem tego w gospodarskiém znaczeniu zrujnowanych, które chętnych nie znajdują nabywców to takie, ze stanowiska ekonomicznego uważając, podzielone na części większy zysk dla kraju by przyniosły, a pomimo to nie zawsze znajdują nabywców, chociażby do parcelacyi były przeznaczone. Jedne z dóbr powiatu Radomskowskiego potrafiły zaledwo jeden folwark rozparcelować. Drugie po odprzedaniu części gruntu dalszego wegetują tylko. Grunta tam po większéj części wydzierżawiają się kawałkami okolicznym włościanom. Ogromna niegdyś owczarnia murowana, rozebrana w połowie i sprzedana na materyał, a stodoła z bar-

---

(1) Patrz „Ateneum" r. 1877 Tom I.

dzo chyba ograniczoną krestencyą uległa świeżo daflagracyi,—a jednak pożądana parcelacya jakoś nie przychodzi do skutku.

Zdaje się nie ulegać wątpliwości, że parcelacye poszły śpiesznie i z łatwością głównie w okolicach zaludnionych przez drobną zaściankową szlachtę, która będąc w odwieczném posiadaniu ziemi bez żadnych szczególnych powinności i ciężarów, potrafiła nagromadzić znaczne zapasy pieniężne, a silnie rozrodzona, potrzebując się rozszerzyć, użyła tych zapasów na zakup sprzedawanéj ziemi (1), klasa włościańska tak stosunkowo niedawno uwłaszczona, wielkich zapasów grosza nie posiada, ztąd w okolicach mniéj żyznych, w których ona jedynie przedstawia drobnych właścicieli, sprzedaż ziemi cząstkowa nie łatwo postępuje.

Ziemia ograniczona w swojéj przestrzeni, pomimo nawet mniéj pomyślnych warunków rolnictwa, z rozmnożeniem się ludności zawsze jest poszukiwaną, i trzyma się wysokiéj ceny w stosunku do procentów, które jest w stanie zapewnić. Podzielić się zaś musi stopniowo pomiędzy rozmaite warstwy społeczne, w stosunku do siły zasobowéj jaką każda z nich rozporządza, kapitałów w kraju opartych na własności ziemskiéj (w listach zastawnych) jeszcze nie braknie, posiadacze ich są naturalnymi spadkobiercami obdłużonych lecz nie upadłych właścicieli, upadłych i największy kredyt niepodtrzyma, gdyż zbytecznie obdłużony właściciel jest chyba dzierżawcą bez kontraktu na bardzo uciążliwych warunkach.

Fakta ekonomiczne, przy braku nad ich kierunkiem w danéj społeczności jakiegokolwiek prawodawczego lub opiekuńczego wpływu, muszą się układać w drodze naturalnéj siły ciężkości, nic tu nie pomogą deklamacye za tym lub owym kierunkiem podziału bogactw naturalnych. Nic więc nam niepozostaje jak tylko badać przedmiotowo te objawy, ażeby z nich wyciągać naukę i wskazówki do unikania błędów, które się popełniało w przeszłości.

Julian Łapicki.

---

(1) Już po napisaniu niniejszéj rzeczy, spotkaliśmy w gazetach wiadomość, że w pow. Szczuczyńskim gub. Łomżyńskiéj rozparcelowano 5 większych majątków, które rozkupiła wyłącznie szlachta zaściankowa, właścicielami którzy przedsięwzięli tę operacyą, byli wyłącznie żydzi.

WSPÓŁCZESNA POWIEŚĆ WE FRANCYI.

BRACIA GONCOURT.

III.

Psychologia.

a) *Kobiety.*

„W literaturze — mówią bracia Goncourt w swych *Myślach i Wrażeniach* — można robić dobrze to tylko co się widziało lub przecierpiało,“ a ponieważ widzą tylko chorobę nerwów i sami cierpią na „przejmującą, niemal bolesną percepcyą rzeczy i ludzi,“ nic dziwnego zatém, że dusza ich osobistości jest jednym wielkim objawem patologicznym choroby wieku, nadczułości nerwów. Wszystko co zdrowe, spokojne, dobrze się mające, jest dla nich śmieszném, wstrętném, *nieczłowieczém*. Nie lubią świata gdzie „miłość jest zdrową, prawie hygieniczną jak za dawnych czasów,“ gdzie „śmiech dzisiejszy, jeden z objawów epilepsyi, w którego chorobliwości czuć *Taniec Św. Wita*,“ jest tylko „jak niegdyś *Roger*'*em Bontemps* Béranger'a.“ A przytém nie poświęcili najmniejszéj nawet uwagi całemu jednemu światu; światu, który stanowi większość, dziewięć dziesiątych ludzkości, który również jak bracia Goncourt cierpi, ale cierpi inaczéj.

I tu właśnie na przedmiotowości obserwacyj odbija się cała podmiotowość artysty, który znajduje albo szuka, widzi albo też stara się dopatrzyć w świecie zewnętrznym faktów odpowiadających jego indywidualnéj duszy.

Zola, który do czterdziestego roku życia porał się z nędzą, w swoim „protokule z życia“ przedstawił ludzi, którzy mrą z głodu i zimna, którzy z głodu i zimna piją, kradną, oddają się nierządowi, porzucają dzieci, dopuszczają się zbrodni.

Bracia Goncourt, którzy nigdy nie potrzebowali pisać dla kawałka chleba, którzy nigdy nie zaznali nędzy, którzy „nie widzieli

i nie przecierpieli“ sami cierpień moralnych na tle cierpień materyalnych, zajmują się tylko światem, jak oni, cierpiącym na upokorzenia moralne, na gorączkę ambicyj zawiedzionych, na niemożność zrealizowania ideałów życia, na wrażliwość zbyt czułą, na pragnienie uczuć wyrafinowanych i uduchowionych, na „obojętność tłumu.“

Nawet Germinija Lacerteux, ta prosta służąca, urodzona i wychowana w służbie, nie zna co to głód i zimno, co to życie bez jutra,—chyba głód miłości, chłód uwodziciela, jutro bez kochanka. Jéj pani kochała ją jak córkę: Germinija stanowiła dla niéj jedyne towarzystwo, jedyny łącznik ze światem zewnętrznym. Lecz ponieważ „ani cnota, ani honor, ani czystość, nie mogą przeszkodzić kobiecie być kobietą, mieć kaprysy i pokusy swojéj płci“ (Myśli i Wrażenia), Germinija więc, pomimo całego przywiązania do panny Varandeuil, zdradza ją na korzyść kochanka, dwudziestoletniego Jupillon. Jest-to miłość tragiczna, miłość, która prędzéj czy późniéj musiała Germiniją popchnąć w błoto nierządu. Jupillon, nikczemny typ bulwarów paryskich, wyzyskuje ją bez miłosierdzia. Kiedy 2000 franków podniesionych z kasy oszczędności, poszło na założenie sklepu z rękawiczkami, Germinija spostrzegła się, że Jupillon nie tylko żenić się z nią nie myśli, ale nawet za kochankę, za prostą nałożnicę jéj nie chce.

Tymczasem młody rękawicznik wyciąga los do wojska. „Matka Jupillon, zrozpaczona i łzy lejąc, mówiła: — A jednak zaszyłam ci w palto pająka czarnego, *aksamitniuchnego*, razem z pajęczyną!... Ach! trzeba było zrobić raczéj jak mi radzono: zaszyć czepeczek, który miałeś przy chrzcie... Ach! Bóg nie jest sprawiedliwy! Ale czekaj! jeszcze nie odszedłeś... Sprzedam mleczarnię.... pójdę w służbę, zgodzę się za kucharkę, będę robić wszystko... a dla ciebie wyciągnę pieniądze z kamienia!

„Dosyć gadaniny — odpowiedział Jupillon. — Wszysto to tylko słowa... wykupię się sam, tak że cię to jednego solda kosztować nie będzie.

— Jezusie! — wykrzyknęła pani Jupillon.

I po chwili milczenia Jupillon dodał:

— Nie chciałem ci się sprzeciwiać, kiedyś Germiniją wyrzuciła za drzwi. Nie taki był mój plan.... Ale stało się: sądziłaś że tak będzie lepiéj. A zresztą może i dobrze zrobiłaś: zamiast ostudzić, rozgrzałaś ją tylko dla mnie... ale to rozgrzałaś!... spotkałem ją raz czy dwa razy... jakże się zmieniła!... Schnie, po prostu!

— Ależ wiesz przecie, że Germinija nie ma solda...

— Ona, nie przeczę.... Ale co to znaczy? Znajdzie... Nie bój się... Warta ona jeszcze 2300 franków!

— A jeżeli ty się skompromitujesz?

— Oh! nie ukradnie ich przecie...

— To pytanie!

— Eh! to tylko swojéj pani... A zresztą po cóż miałaby kraść?... Niech się urządzi, niech szuka, niech się pokręci; to już jéj rzecz.

I w istocie, w kilka czy w kilkanaście dni potém Germinija „wyrzuciła na stół banknoty zatłuszczone, posklejane z pod spodu, lub pospinane szpilkami, stare luidory zzieleniałe, srebrne talary całkiém zczerniałe, czerdziesto-soldówki, sztuki dziesięcio-soldowe, pieniądze biedy, pieniądze pracy, pieniądze ze skarbonki, pieniądze zbrukane rękami brudnemi, zniszczone w portmonetce skórzanéj, zużyte w kantorach—pieniądze, które czuć było potém.“

„Ale jakże musiała „latać“ — jak mówiła — zanim zebrała podobną sumę, zanim urzeczywistniła rzecz niemożliwą: zanim znalazła dwa tysiące trzysta franków, na które pierwszych nawet pięciu franków nie miała! Trzeba było je wyprosić, wyżebrać, wyrwać sztukę po sztuce, sold po soldzie. Zebrała je, wyskrobała tu i owdzie, na jednych lub na drugich, jako pożyczki dwustu franków, stu franków, pięćdziesięciu franków, dwudziestu franków, ile kto chciał dać. Pożyczyła od swojego portyera, od episyera, od owocarki, od handlarki drobiem, od praczki; pożyczyła od dostawców z sąsiedztwa i od dostawców z dzielnicy, w jakiéj przedtém mieszkała ze swoją panią. Kwestowała wszędzie, wyłudzała z pokorą, prosiła, błagała, zmyślała historye, znosząc hańbę, że kłamie i że jéj nie wierzono. Współubolewania ludzi, któremi pogardzała, odmowy jałmużny, przez wszystko-to przeszła, wszystko zniosła, czegoby znieść nie chciała dla znalezienia kawałka chleba, i to nie jeden raz z jedną osobą, ale z trzydziestoma, z czterdziestoma, z wszystkiemi, które jéj dały lub od których miała nadzieję coś dostać.“

A przytém „wiedziała że odtąd należyć już będzie do swojego długu; wiedziała że całe jéj zasługi pójdą tam, że trzysta franków, które zarabiała u panny Varandeuil, zaledwie wystarczą na opłacenie procentów od dwu tysięcy trzystu franków pożyczki. Wiedziała że będzie dłużną, że będzie dłużną zawsze, że będzie skazaną na brak najpierwszych potrzeb, na niedostatek, na ubóztwo odzieży. Co do Jupillion'ów, to nie łudziła się więcéj niż swoją przyszłością. Pieniądze jéj z niemi były stracone: przeczuwała to zawczasu. Nie liczyła nawet, aby ta jéj ofiara mogła rozczulić młodego człowieka. Działała w myśl pierwszego popędu. Gdyby jéj powiedziano, żeby umarła, byle on nie poszedł, byłaby umarła. Myśl, że go będzie widzieć żołnierzem, ta myśl o placu boju, armatach i rannych, na

którą ze strachu kobiety zamykają oczy, zdecydowała ją do zrobienia czegoś więcéj niż zabicie się: do sprzedania swojego życia dla tego człowieka, do podpisania się dla niego na wieczną nędzę.“

Germinija od téj pory popada z szaleństwa w szaleństwo. „Zrzekła się walki z tym człowiekiem uzbrojonym w chłód, umiejącym ironią lodowatą łobuza tak dobrze obrażać jéj namiętność, jéj brak zdrowego rozsądku, jéj napady czułości. I z niepokojem postanowiła czekać. Na co? Nie wiedziała: może na to, żeby jéj już nie chciał!“

Pomimo to czychała na niego, szpiegowała go i pilnowała tak długo, aż pewnego dnia przydybała go z kuzynką pod rękę. „Mała była poważną i szła leniwo. Jupillon mówił jéj w szyję. Na chwilę zatrzymali się: Jupillon wymachiwał rękami; młoda dziewczyna patrzyła w kamienie. Germinija myślała że się rozejdą; lecz zaczęli daléj iść razem, przechodząc wciąż przed pasażem, do którego po czterech czy pięciu obrotach weszli nareszcie. Germinija, wypadłszy z kryjówki, rzuciła się za niemi. Z bramy pasażu dostrzegła kawałek sukni znikającéj we drzwiach małego hotelu, obok sklepu z wódką. Pobiegła do drzwi, zajrzała na schody, lecz nic już nie widziała... I wtedy krew rzuciła się jéj do głowy z myślą, jaką jéj usta idyotyczne powtarzały: Witryol!.. witryol!.. witryol!.. I ponieważ myśl jéj stała się na chwile akcyą myśli, a szał uniósł ją nagle do zbrodni, więc szła po schodach z butelką dobrze ukrytą pod szalem; stukała do drzwi bardzo mocno, ciągle... Nareszcie on uchylił drzwi... Germinija nie powiedziała mu ani imienia, ani nic... Przeszła koło niego nie zajmując się nim. Miała dość siły do zabicia go! więc szła do łóżka, do niéj! Wzięła ją za ramię i mówiła:—Tak, to ja... masz na całe życie! I wtedy-to na jéj twarzy, na piersiach, na skórze, na wszystkiem co w niéj było młodego, dumnego, pięknego dla miłości, Germinija widziała jak witryol znaczył, palił, dziurawił, wrzał, robił coś okropnego, co ją zalewało radością! Butelka była pustą, a ona śmiała się!.. I w tém marzeniu strasznćm, w którém ciało nawet marzyło, nogi jéj zaczęły iść, prowadzić ją do sklepiku. Od dziesięciu minut stała tam, jak wrośnięta, przed kantorem, z oczami, które nie widziały, z oczami pustemi i zatraconemi człowieka mającego zabijać. — Czego chcesz?— zawołała sklepikarka zniecierpliwiona, prawie przestraszona tą kobietą, która się nie poruszała z miejsca.—Czego chcę?... odpowiedziała Germinija. — Czego chcę?... Przetarła sobie ręką czoło. — Ach! sama już nie wiem. — I wyszła ze sklepu chwiejąc się na nogach.“

„W męczarni tego życia, w którém cierpiała śmierć i namiętność, chcąc przygłuszyć potworność myśli, wróciła napowrót do

kieliszka. który wzięła kiedyś z rąk Adeli, a który dał jéj cały dzień zapomnienia... Lecz to czego sobie życzyła, nie było wcale gorączką głowy, zamętém szczęśliwym, szałem żyjącym, marzeniem obudzoném i miotającém się w upojeniu; jéj było potrzeba czarnego szczęścia snu, snu bez pamięci i bez marzeń, snu ołowianego, któryby spadł na nią jak obuch na głowę wołu: a znajdowała to w tych likierach mięszanych razem, które ją porażały jak piorunem.

Ale „Germinija nie była wcale jedną z tych natur szczęśliwych, które robią źle, i wspomnienie tego zła zostawiają z tyłu, po za sobą. U niéj zmysłowość chorobliwa, rodzaj eretyzmu mózgowego, skłonność głowy do ciągłéj pracy, do poruszania się w goryczy, niepokoju i niezadowoleniu z siebie saméj, zmysł moralny jak gdyby prostujący się w niéj po każdym upadku, i wszystkie dary delikatności, wyboru i nieszczęścia jednoczyły się, ażeby ją dręczyć, ażeby jéj przywracać z większém jeszcze okrucieństwem rozpaczy te męki, któreby nie wywołały tak długich bólów u wielu jéj podobnych. W przyjemności nawet nie umiała zapomniéć się całkowicie i zagubić. Postać panny Varandeuil, z obliczem surowém i macierzyńskiém, podnosiła się przed nią zawsze w chwili jéj zapomnień się.

To téż kiedy panna, nie myśląc o niéj jako służącéj, zwracała się do niéj z temi przyjacielskiemi ofuknięciami w głosie i ruchach, które ją całkiem zbliżały do jéj serca, Germinija zmięszana, opanowana przez nieśmiałość, zaczerwieniona, stawała się milczącą i jakby osłupiałą wskutek okrutnéj boleści widzenia całéj swojéj nikczemności. I w takich razach uciekała, wyrywała się od tego uczucia tak haniebnie oszukiwanego, a pod którego rozrzewniającym wpływem wszystkie jéj wyrzuty sumienia poruszały się i drżały. I Germinija „przez kłamstwo pozorów, które nie było jednak hipokryzyą,“ umiała ukryć przed panną swoję ciążę, połóg, śmierć dziecka, stratę swoich oszczędności wrzuconych do sklepu rękawicznika, wysokość długów zaciągniętych na wykupienie kochanka i nareszcie kochanka samego, pod stopami którego „zgięła swój charakter, swoje instynkta, dumę, próżność i więcéj niż to bo zazdrość i wściekłość! Byle go tylko utrzymać, zeszła do tego, że się dzieliła nim, pozwalała mu miéć kochanki, przyjmowała go z rąk innych, szukała na jego policzkach miejsc, w któreby go tamta nie pocałowała.“

„Potrzeba mu dwudziestu franków...“ Germinija powtarzała ciągle. Nie mogąc jednak dostać ich znikąd, ukradła pannie z komody. Odtąd „poniżenie i upadek zaczęły pokazywać się w całéj jéj istocie. Dowcip bony paryskiéj znikł po mału z jéj rozmów, z jéj odpowiedzi, z jéj śmiechu. Kiedyś miała kokieteryą i przepych ko-

biet biednych: zamiłowanie do bielizny. Teraz jéj czepki, zgniecione i pomięte wydawały się jak gdyby w nich sypiała. Wszędzie widziała prześladujący ją brak szczęścia. Pieniądze pożyczone komuś, a których jéj nie zwracano, fałszywa moneta jaką jéj zdano w sklepie, zlecenie źle spełnione, zakup, na którym ją oszukano, wszystko to nie stawało się z jéj winy ani téż z przypadku. Było-to następstwo reszty. Życie sprzysięgło się przeciw niéj i prześladowało ją wszędzie i we wszystkiém, od wielkiego do małego, od córeczki, która umarła do sklepiku, który był zły. Przychodziły na nią dnie, w których tłukła wszystko czego tylko się dotknęła: i wtedy wyobrażała sobie, że jest przeklętą aż do końca swoich palców. Przeklętą! prawie potępioną, zwłaszcza kiedy sondowała swoje zmysły. W płomieniu bowiem swojéj krwi, apetycie organów, słabości gorejącéj, czyż nie czuła Fatalizmu Miłości, tajemnicy i opętania od choroby silniejszéj niż jéj wstydliwość i rozsądek, choroby, która ją oddała na hańbę namiętności i która—jak przeczuwała to—miała ją zaprowadzić jeszcze daléj.“

Tu rozpoczyna się owa tragedya, o któréj bracia Goncourt mówili w przedmowie. Fatalność miłości spycha Germiniją na dno występku. Wyrzucona za drzwi przez nową kochankę Jupillona, Germinija słucha już tylko popędów płci. Żyje dłuższy czas z pijakiem Gautruche, który jéj każe całemi godzinami czekać na ulicy. „Do rozpusty wnosi coś szalonego, upajającego, zrozpaczonego, rodzaj wściekłości najwyższéj. Jéj zmysły rozjątrzone zwracały się przeciwko sobie, i, wychodząc z apetytów swojéj natury, popychały się do cierpienia. Nasycenie się zużywało je, nie zaspakajając ich jednak, — gdyż przechodząc miarę wysilały się na coś rozdzierającego. W paroksyzmie podrażnienia, w jakiém było to stworzenie nieszczęśliwe, jéj głowa, nerwy, wyobraźnia ciała rozjuszonego, nie szukały przyjemności w przyjemności, ale czegoś aż po za cierpkością, czegoś bardziéj dotkliwego, bardziéj dolegającego: boleści w rozkoszy. I co chwila słowo „umrzéć“ wyrywało się z jéj ust zaciśniętych, jak gdyby tu na ziemi wzywała śmierci i starała się zdusić ją w konaniach miłości!“

Nie ma już dla niéj ratunku! fatalizm nerwów musi ją zanieść na krańce Tragedyi. Kiedy choremu „Gautruche'owi, który poczuł w brzuchu, jak gdyby połknął kilka korkociągów,“ przyszło na myśl ożenić się z Germiniją, ta wykrzyknęła ze śmiechem konwulsyjnym: „Ah! ah! ah! Takeś myślał!. I ty mi to mówisz tak sobie oto!... Myślałeś że ja opuszczę ją! Pannę! Naprawdę tak myślałeś!... Jesteś głupi, wiesz o tém? Żebyś ty miał tysiące i sta, żebyś ty był cały uszyty ze złota, rozumiesz? cały uszyty... Ależ to żarty!.. Pannę?

Toć ty nie wiesz chyba? nie mówiłam ci... Ah! chciałabym żebym umarła i żeby tych oto rąk nie było dla zamknięcia jéj oczu! Zobaczylibyśmy!... I ty myślałeś że ja porzucę pannę odrazu? Patrzcie państwo! Przecież panna mnie tylko ma... A zresztą, nie zrozumiałabyś nawet... Panna jest dla mnie wszystkiem! Ależ od czasu mojéj matki ją tylko miałam, ona tylko była dla mnie dobrą. Oprócz niéj, kiedy byłam smutna, kto mnie zapytał: czyś ty smutna? A kiedy byłam chora: czyś ty chora?... Nikt! Ona tylko mnie pielęgnowała, ona tylko mną się zajmowała... Ona jedna tylko mnie kochała! Tak, kochała! I umieram z tego, wiesz? umieram z tego żem się stała tak nędzną jak jestem, żem została... Germinija powiedziała wyraz. — A ja oszukiwałam ją, kradłam jéj przywiązanie, pozwalałam się kochać jak córkę, ja! ja! Ach! jeżeliby ona miała się czego dowiedziéć... bądź spokojny! Jest taka, któraby zrobiła śliczny skok z szóstego piętra; a to prawda jak Bóg, który jest moim panem! A wiesz ty, że miałam człowieka, dla którego byłabym się dała posiekać, nie pisnąwszy słowa!.. Co chcesz? człowieka mojego nieszczęścia!.. I tego dla niéj byłabym porzuciła!“

Lecz po tém zerwaniu Germinija upadła, gdzie powinna była upaść: poniżéj hańby, poniżéj natury saméj. „Zbierała miłość, która się zużywa w jedną noc, to co przechodziło, co się napotkało, co przypadek bruku pozwolił znaleźć kobiecie włóczącéj się po ulicy.“ Dopiero spotkanie się z Jupillonem wyrwało ją z błota. „Wstrzymała odrazu włóczęgostwo swoich zmysłów. Zaczęła na niego czatować, uważać godziny w jakich wychodził, ulice któremi przechodził, miejsca do których się udawał. Szła za nim z tyłu, szczęśliwa że może postawić nogę tam gdzie on postawił swoję, postępować tą samą drogą, widziéć go trochę, chwytać jego ruchy, porywać mu spojrzenia. Lecz to było wszystko: nie śmiała doń przemówić; trzymała się w oddaleniu, z tyłu, jak pies uszczęśliwiony, że go nie odpędzają nogą.“ Pewnéj nocy, w listopadzie, stojąc pod oknem Jupillon'a przez noc całą i wsłuchując się w śmiechy rozpustujących z nim kobiet, dostała zapalenia płuc, które przyśpieszyło postęp dawno już zdeklarowanych suchot. Po kilku miesiącach cierpień umarła w szpitalu. Portyer, któremu panna Varandeuil dała pieniądze na pogrzeb, pochował ją w *jeneralnym dole*, chcąc złożonéj chorobą pannie zaoszczędzić resztę na spłacenie długów.

Lecz panna Varandeuil, na którą wiadomość o życiu i moralności Germinii spadła jak grom, „zapytała się sama siebie, czy ta biedna dziewczyna była istotnie tak winną jak inne? czy złe wybrała sama? czy życie, okoliczności, nieszczęście ciała i przeznaczenia nie zrobiły z niéj istoty jaką była, istoty miłości i boleści...?“ I tu panna

Varandeuil zatrzymała się nagle: miała przebaczyć!" Ażeby jednak panna Varandeuil mogła przebaczyć służącéj, potrzeba jéj było mieć serce pełne téj religii, którą wiek przeszły nazywał szerokim i obszernym wyrazem *Ludzkość.* Miała ją, i przyszedłszy nieco do zdrowia, pojechała na cmentarz, gdzie w „*jeneralnym dole*" spoczywa Śmierć Ludu i Nicość Biednych."

Jak widzimy więc, *Germinija Lacerteux* jest istotną „kliniką miłości," powieścią w której „nieszczęścia małych i biednych przemawiają do interesu, do wzruszeń, do litości, tak wysoko jak nieszczęścia wielkich i bogatych." Nie ma tu nędzy materyalnéj, ponieważ Germinii do końca życia, pomimo że „podpisała się dla tego człowieka na wieczną nędzę," na niczem nie zbrakło u panny Varandeuil. Umiera w szpitalu, ponieważ panna Varandeuil z powodu podeszłego wieku nie była w stanie otoczyć konającéj już należytą pieczołowitością. Jeżeli jednak bracia Goncourt nie wzięli swego okazu z tego świata, który absolutnie cierpi nędzę materyalną i *nowoczesną*, to za to zeszli aż na same dno duszy tych istot „małych i biednych," w których nikt nie przypuszczał wrażliwości nerwów i delikatności uczuć, i pokazali że *newroza* nie jest przywilejem samych tylko wysoko urodzonych i salonowo wychowanych ludzi, że nie oszczędza cierpień tak dobrze u góry jak i u dołu społeczeństwa. *Germinija Lacerteux* jest przyznaniem duszy ludowi. Nie o występek ani jego mechanizm chodzi tu bowiem, ale o wrażenia i uczucia szlachetne całego tego świata, który w mniemaniu ogółu nie wiele ma praw do odbierania wrażeń silnych i wyrażania uczuć szlachetnych, a mniéj jeszcze do skargi na swe cierpienia moralne. I bracia Goncourt sondując rany świata nieokrzesanego, wydostali z jego piersi taki krzyk, jakiego może niejedne usta koralowe, umiejące się skarżyć, nie byłyby w stanie wydać. Germinija w rozpaczy po kochanku, który ją opuścił, stara się „zająć i zapomnieć o sobie, stara się zaprzepaścić w ciężkiéj pracy lub zatonąć we śnie. A kiedy muzykanci przychodzili na podwórze, zamykała okno, nie chcąc ich słyszéć: zmysłowa rozkosz muzyki zanadto zwilżała jéj duszę."

Jakkolwiek nie jest bydlęciem moralném z *l'Assomoiru* lub *Nany*, nie ma jednak duszy sentymentalnéj subretek z opery komicznéj: jéj uczucia są prawdziwe, chociaż napozór grube; jéj słowa głębokie, chociaż na pozór pospolite; jéj postępowanie bohaterskie, chociaż zbryzgane kałem życia. Wszakże przez przywiązanie to do swéj pani aż do śmierci dokazywała wysiłków nadludzkich, byle chorobę namiętności niepodobnéj do zwalczenia zataić przed „tą, która się pytała: czy jesteś chora? kiedy była chorą; czy jesteś

smutna? kiedy była smutną.“ „Z jéj natury namiętnéj i rozpustnéj, która wylewała się tak naturalnie, nigdy nie wyrwał się frazes lub słowo mogące rzucić jakieś światło. Gorycz, wzgarda, smutek, poświęcenie, śmierć dziecka, zdrada kochanka, agonia jéj miłości wszystko pozostało w niéj milczącém, uduszoném, jak gdyby je przycisnęła obydwoma rękami na sercu. Choroba nawet pomimo swych osłabień i zdenerwowań nic z niéj nie wycisnęła,—nie mogła napocząć téj bohaterskiéj woli milczenia aż do końca. Będąc młodą dziewczyną śniła na głos; teraz zmusiła sny do tego, żeby nie mówiły, zamknęła usta snom. I ponieważ panna mogłaby się spostrzedz po jéj oddechu że piła, więc jadła czosnek i szczypiór, ażeby w ich smrodzie ukryć wyziewy pijaństwa. Swoje pijaństwo nawet swoję odrętwiałość pijaczki wyuczyła budzić się na odgłos kroków pani i pozostawać przed nią w czujności.“

Siostra Filomena jest antytezą *Germinii Lacerteux*, kwiatem egzotycznym uczuć delikatnych w przeciwstawieniu do grzyba wyrastającego z łona przegniłéj mierzwy zmysłowości. Czy pomimo to jednak mniéj jest chorą na wrażliwość, mniéj dotkniętą *newroryzmem* wieku, mniéj cierpiąca sama i mniéj przykrych uczuć wywołującą w drugich? Czy może bracia Goncourt, zmęczeni „Kliniką Miłości,“ chcieli dla wypoczynku przerzucić się w świat uczuć tchnących rozkoszą i weselem? Gdzie-tam! Nigdy dzieło jednego autora nie było tak harmonijne w całości i w szczegółach, jak sześć tomów braci Goncourt, które są tylko sześcioma postaciami jednéj i téj saméj duszy.

Germinia zaczęła goreć miłością i namiętnością koło czterdziestego roku życia: Siostra Filomena kochała już w latach dziecinnych. Odsunąwszy różnicę temperamentu, otoczenia i wychowania na bok, obydwie pod różnemi przejawami były z jednakowym szczęściem ofiarami potrzeby kochania, potrzeby poświęcenia się dla drugich. Fatalizm miłości kazał dziecku sierocie, o usposobieniu melancholiczném i łagodném, porzucić klasztor i ponieść serce panu, u którego jéj opiekunka służyła. „Pewnego wieczoru, kiedy szła spać, p. Henryk, który nie przychodził nigdy przed ranem, powrócił. Był trochę podchmielony. „Stara—zaczął mówić do jéj ciotki wyciągając się w fotelu—powinnaś była mieć raczéj siostrzeńców... zamiast siostrzenice! Ostatecznie młode dziewczyny... młode dziewczyny, to nie zawsze zabawne w domu... kiedy się jest kawalerem. Dziś wieczór, na przykład... dziś wieczór byłbym przyszedł... nie sam... na prawdę... ale historye jakiebym miał... z powodu małéj... Jestem... ja jestem jeden z tych, który chce, ażeby szanowano... młode dziewczyny... ale to mnie nudzi... tak, to mnie dosyć nudzi. Niech

idzie zresztą za grooma z pierwszego... Mężatka... mężatka może wszystko słyszéć, może wszystko widziéć, mężatka... a twoja przeklęta siostrzenica tymczasem...“ U drzwi rozległ się hałas, stuk ciała spadającego płasko jak paczka... Filomena upadła na podłogę zemdlona.“

Po kilku tygodniach, Filomena, odzywając się do niego pierwsza, choć on do niéj nie przemówił, rzekła: „Panie Henryku... przepraszam pana... Bardzo panu dziękuję, że pan był tak dobry dla mnie... pańska matka także... czego nie zapomnę.“ I kiedy Henryk patrzył na nią ze zdziwieniem, nadstawiła mu czoło mówiąc: „Niech pan będzie łaskaw pocałować mnie, panie Henryku!... To będzie na pożegnanie.“

I nie dając mu czasu na odpowiedź, kończyła z wysiłkiem i pośpiechem: „Tak odchodzę... pójdę w Poniedziałek... pójdę na nowicyat w domu sióstr św. Augustyna; ale zawsze będę się modlić za pana, panie Henryku... za pańskie szczęście.“ Jako szarytka w szpitalu, Filomena w lat kilka potém zakochała się w młodym doktorze. Lecz i druga jéj miłość była równie czystą jak pierwsza. I jeżeli doktór Barnier napadł na nią brutalnie w kuchni, było to winą raczéj alkoholu szumiącego mu w głowie niż jéj słów. Policzek wymierzony pełną ręką przyprowadził go do porządku, a wpisanie dawnéj kochanki do szpitala odwróciło jego uczucia w stronę kobiéty cierpiącéj na raka w piersiach. Kiedy Barnier drżącą ręką krajał ciało téj, która go porzuciła, kiedy sala szpitalna trzęsła się od przekleństw i pomstowania umierającéj pod nożem lekarza, siostra Filomena „kazała chorobie, gorączce, cierpieniom, powtarzać za sobą: *Niestety panie, jak mam okazać wdzięczność za tyle dobroci. Zbliżcie się do mnie, duchy błogosławione, aby wielbić Boga miłosierdzia, który nie przestaje wyświadczać tyle dobrego najnędzniejszemu, najniewdzięczniejszemu ze swoich stworzeń...*“

Doktór Barnier, który nie mógł sobie przebaczyć śmierci kochanki, rozpił się na dobre i pod wpływem rozpaczy zaciął się w rękę lancetem zatrutym w ciele trupa, polecając przyjacielowi, doktorowi Malivoire, uciąć mu po śmierci kosmyk włosów i przesłać go matce na pamiątkę. „Niedaleko od stołu sosnowego w wielkim fotelu czuwał Malivoire, drzemiąc, na wpół śpiąc a nie śpiąc jednak.

W ciszy pokoju słychać było tylko szczęk zegarka po umarłym.

Zdawało się że za drzwiami coś się posuwa lekko i zbliża; klucz przekręcił się we drzwiach: siostra Filomena stanęła przy łóżku. Nie patrząc na Malivoire'a, nie widząc go, uklękła i modliła się, jak

się modlą w kościele posągi na klęczkach w marmurze; jéj suknia nie poruszała się więcéj od prześcieradła na umarłym.

Po kwadransie wstała, odeszła nie obejrzawszy się, zniknęła...

Nazajutrz Malivoire obudziwszy się na głuchy odgłos trumny, która się tłukła o schody za ciasne, przypomniał sobie niewyraźnie zjawisko nocne i nie wiedząc czy nie śnił, poszedł machinalnie do stolika po kosmyk włosów, które uciął dla matki Barnier'a: kosmyka włosów już nie było.“ Tak się powieść kończy, tak się kończy życie kobiéty, która od dziecka potrzebowała kochać, tylko kochać a do śmierci nie znalazła serca, któreby ją słuchać bodaj przez chwilę chciało. Jest-to jeszcze jedna z tych nieszczęśliwych istot które choć nic im nie brak do życia materyalnego, schną, znikają, zamierają w gorączce potrzeb duchowych, według ich mniemania. a fizycznych—według sądu fizyologa.

Nigdzie jednak „choroby wrażliwości“ bracia Goncourt nieposunęli tak daleko jak w *Pani Gervaisais* gdzie „uczucia zaostrzone wyrafinowane uduchowione (inaczéj niż w Germinii Lacerteux), przechodzą istotnie miarę i granicę naturalną, sięgając aż po za same siebie i dodając rozkoszom i cierpieniom istoty coś w rodzaju *nieskończoności.*“

Pani Gervaisais jest kobiétą dystyngowaną w całém znaczeniu tego wyrazu. Zamiłowanie do sztuki pociągnęło ją do Rzymu, gdzie, po rozłączeniu się z mężem, osiedliła się na stałe dla swojéj i swego dziecka, Piotra-Karola, przyjemności. Kilkoletni Piotr-Karol jest kaleką kretynem, który zaledwie swoje nazwisko umie wymówić głosem słabo artykułowanym i po za namiętnością do muzyki nie zna innych uczuć nad zwierzęce przywiązanie do matki.

„Pani Gervaisais była okazem i typem tego gatunku kobiét który prawie dziś już znikł. Jéj umysł z urodzenia poważny życie kierowało ku studyom poważnym. Straciwszy matkę, będąc jeszcze dzieckiem, wychowana przez starca, z całego swojego dzieciństwa przypominała sobie tylko ciemną czytelnię w *pasażu opery*, dokąd jéj ojciec chodził czytać dzienniki i na jéj błagania prowadził ją z sobą. Muzyka i malarstwo, kiedy była już panną, przyłączyły się do czytania książek, aby wypełniać czas samotny jéj istnienia nie znającego świata i już całkiem wewnętrznego. Wychowana w duchu surowym ojca, wzrosła w powietrzu stoickiém, w pośród idei samczych i zasad swobodnych, we wrzawie systematów XVIII-go, wieku,—a umysł jéj, przy kształceniu się przeszedł od przyjemności płochych i próżnego przepędzania czasu na czytaniu książek łatwych, do dzieł, które wymagają wysiłku i usposabiają do medytacyi, do dzieł stawiających rozumowi najwyższe pytania jakie się na-

suwają wobec zagadki świata, do dzieł historycznych, przyrodniczych, filozoficznych..

Całkiem zwrócona na wewnątz, najczęściéj w ciszy, kiedy uszy nie słyszą, czasem w ciemności kiedy oczy nie widzą, w samotności, kiedy zajmowała się pogłębianiem *niedojrzałego* i *nieznanego* swéj istoty moralnéj, badaniem ruchów swéj wrażliwości i zjawisk codziennych swego *ja*, doszła do znakomitéj potęgi obserwowania wewnętrznego; pomału, udało się jéj czuć to, czego inni nie czują; i przez rodzaj „jasnowidzenia", które jéj przychodziło do tego świata niewyraźnego, zamkniętego dla ślepoty ogółu żyjących i tak ciemnego jeszcze dla nauki saméj, dostrzegała chwilami na horyzoncie, po przez przerwy jakiejś zasłony szerokiéj, błyskawice, które będą musiały kiedyś rzucić światło na wszystkie wielkie tajemnice myśli ludzkiéj."

Z początku, po przybyciu do Rzymu, patrzyła obojętném okiem na ostentacyą św. Miasta. Więcéj zajmowały ją muzea, cywilizacya zamarła i zakuta w kamieniu, niż teatr katolicyzmu odgrywany po kościołach i pod gołem niebem, jak na Wielka-Noc. Pomału jednak „Religia w Rzymie, ta święta zaraza, ta Pobożność fermentująca tam jak Natura pod Zwrotnikiem" zaczęła wywierać na nią wpływ rozkładowy. Wspomnienie życia z człowiekiem niższym umysłowo, zakątek serca niezadowolonego w swych pragnieniach, oddziałały na jéj mózg. „Przez jakiś czas życie przeżyte prześladowało ją, przyczepiło się do niéj, odrywało ją od chwili obecnéj. Książki, które zaczęła czytać, wymykały się z pod jéj uwagi. Kiedy jednak ogarnęła ją Nuda z braku zajęcia i z powodu bezczynności moralnéj, otrząsnęła się pewnego dnia z téj niezdrowéj bezwładności marzeń i ażeby uciec przed nią, zaczęła obiegać Rzym z rozmachem siły nerwowéj..." „Zwiedzała muzea, galerye, skarbce, bazyliki, wille pozamiejskie, pamiątki przepełniające miasto i przedmieścia; szukała szczątków życia prywatnego i rodzinnego Rzymian, szczegółów mieszkania, umeblowania, domu; powiernictwa grobów wskazujących często rzemiosło i sklep umarłego..." „Lecz nigdy nie kończyła swych wycieczek do Watykanu i Kapitolu inaczéj, jak zatrzymując się dla zebrania ducha na ławce, przed blokiem uszkodzonym a wzniosłym, przy którym przechadza się szwajcar z halabardą, warta wieku, który go odnalazł: przed Torsem!—torsem Apolloniusza, odłamkiem, niejako oderwanym od nieba Grecyi za jéj najpiękniejszych dni, a który, z obtłuczonemi członkami, znajduje się tam, jako arcydzieło spadłe z innego świata!" Lecz „pani Gervaisais czuła, że ta namiętność do Piękna pogańskiego, ta ostatnia ucieczka jéj duszy niespokojnéj i udręczonéj, ta namiętność szczera do Rzymu starożytne-

go, który umiał skryć przed nią Rzym katolicki, pomału się zmniejsza, ściera i przez rozwój myśli nagle zwraca się przeciwko jéj zapałom wczorajszym! Sztuka ta ukazywała się już przed nią jako tylko przedstawienie siły, zdrowia, piękna fizycznego: odnajdywała w niéj zimno zmysłowe; widziała jedynie ciało. Pod wykonaniem, pod cudem dłuta nie mogła dopatrzéć się innego ideału nad ideał materyi"... „Przy tém zaczęła przypominać sobie okrucieństwo obywatela rzymskiego, okrucieństwo kobiéty rzymskiéj, zamiłowanie powszechne do krwi, cyrk nienasycony, społeczeństwo założone na niewolniku, ten świat, w którym człowiek rodził się i żył bez litości dla człowieka, bez poszanowania dla jego życia i dla jego śmierci, bez współczucia dla jego cierpień, bez rozrzewnienia dla jego nieszczęść, świat z żelaza, który Litość nazywał słabością i podłością.

I w tych-to salach, ostatecznie, myśl jéj wzniosła się bezwłasnowolnie do Chrystyanizmu stwarzającego napowrót człowieka bratem człowieka, przynoszącego ludzkość wszechświatowi bez serca..." „Pewnego dnia, bez żadnego powodu bez żadnéj przyczyny postać Chrystusa zjawiła się w próżni jej myśli, w osamotnieniu jéj głowy."

Na domiar nieszczęścia Piotr-Karol zachorował niebezpiecznie. Było-to winą matki, która za jaką bądź cenę chciała nauczyć alfabetu dziecko bezmózgie, kalekę umysłowego z urodzenia. Kiedy wszelka nadzieja uratowania go znikła, kiedy doktór usunął się od łóżka, na którém dziecko rzucało się w konwulsyach, do pokoju wsunęły się dwie kobiéty. „Czego chcecie odemnie, wy tam jakieś?" „Oh! pani,—odparły kobiéty nieśmiało,—odchodziemy... Przepraszamy... Pójdziemy za niego do Sant-Agostino..."—„Sant-Agostino? co! Sant-Agostino? co to ma znaczyć to wasze Sant-Agostino?"—„Oh! pani wie dobrze to sama... *Madonna del Parto*, patronka dzieci i matek...

Pani Gervaisais, zajęta jedynie położeniem, w jakiém się znajdowała, myślała dotąd tylko o doktorze, o lekarzu, o szarlatanie. Wyraz *Madonna* wywołał na jéj usta uśmiech pogardliwy, prawie gorzki. Lecz następnie, od razu, gwałtownie, bezwłasnowolnie i bezświadomie zwróciła się do służącéj: Honorino, cóż ty sobie myślisz? Czemu nie podajesz mi szala i kapelusza? Widzisz przecie, że te panie czekają"... Dziecko wyzdrowiało, lecz odtąd rozpoczyna się rozkład mózgu pani Gervaisais, która pomału schodzi na ostatni stopień umysłowości. Do rozwinięcia się choroby moralnéj przyczyniła się choroba fizyczna: dewocya obok niezadowolenia w sercu kobiéty, za bodziec mu współrzędny miała suchoty. „Tajemnie, wewnątrz pani Gervaisais dokonywała się metamorfoza. Duma jéj inteligencyi, jéj

umysł analityczny, badawczy i krytyczny, indywidualność jéj sądu, energia niezwykła jéj płci, jej ideje osobiste, wszystko-to zdawało się gasnąć pod naciskiem przewrotu w jéj temperamencie moralnym, pod rodzajem zwrotu w jéj naturze. Osłabienie, pod wpływem pierwszego zetknięcia się z wiarą, pozwoliło jéj dać się uwieść uczuciom duchowym, których działanie jest tak stanowcze na organizm kobiéty w wieku schodzenia z życia."

Całą drugą połowę książki bracia Goncourt poświęcili najszczegółowszemu rozbiorowi drogi po któréj „jej umysł musiał fatalnie przejść od deizmu mglistego do katolicyzmu racyonalnego." Jest-to walka pomiędzy ojcem Giansanti jezuitą, a swobodnym umysłem kobiéty, która nie zdążyła lub nie umiała przyprowadzić swych myśli do równowagi stałéj. Ponieważ „chciała być naprawdę i głęboko przekonaną, rzuciła się więc do studyów, któreby były zużyły potęgę pracy nawet mężczyzny. Lecz „nadużycie we wszystkiém jest cnotą kobiéty"... „a *nadto* wystarcza jej czasami" (*Myśli i wrażenia*). Po za tłómaczami więc Starego i Nowego testamentu, po za apologistami i objaśniaczami punktów spornych, przebiegła księgi teologii bez liku aż do najbardziéj suchych, najbardziéj żarliwych, najbardziéj oderwanych, zapełniając wyciągami tomy kajetów, miotana niepewnością przeznaczenia wiecznego, która popychała wciąż jéj trwogę do pracy nad nowemi i mozolniejszemi jeszcze poszukiwaniami, byle się zbliżyć do téj pewności, jakiéj wzywała, o jaką błagała, którą, jakby rodziła z żaru swego pragnienia i tajemnéj usłużności swoich wysiłków. Pomału, zarzuty i odraza logiki ludzkiéj zatarły się w niéj; niepodobieństwo pewnych rzeczy przestało wydawać się jéj tak niepodobném i w danéj chwili, zdanie Platona, że „potrzeba aby mistrz przyszedł z nieba uczyć ludzkość," przygotowało ją do przyjęcia objawienia bozkiego. Konfesyonał ojca Giansanti dokonał reszty. Pani Gervaisais zerwała ze wszystkiemi znajomościami *źle myślącemi*, odprawiła służbę i cała oddała się pod rozkazy jezuity, który żądał od niéj przedewszystkiém odsunięcia się od świata. „Spowiadała się cztery razy na tydzień i prowadziła ciągle za sobą Piotra-Karola, którego chciała zmusić raz do spowiedzi, nie mając litości dla jego siedmiu lat i słabego umysłu... Dziecko gapiąc się i włócząc od kaplicy do kaplicy, posuwając się aż pod same drzwi, i patrząc niekiedy na ulicę, to dziecko któremu czarny człowiek zabrał matkę, dziecko samo na świecie, jak żadne niem nie było, okiem bojaźliwém i chciwém szukało żebraka w swoim wieku na stopniach kościoła *Gesú*." Tym czasem matka zaczęła spadać co raz niżéj i co raz szybciéj w ruchu nabytym. „Spowiednik *di manica larga*, o rozgrzeszeniu łagodném i łatwém, przestał jéj wystarczać.

Potrzeba jéj było księdza, któryby wymagał za wiele. Ze swoją naturą, ze swoim utajonym żarem miłości tak mało wyszafowanym w życiu, ta kobiéta o uczuciach krańcowych wyobrażała sobie w religii poświęcenie się twarde, męczeństwo i wielką sposobność do okazania bohaterstwa przeciwko sobie saméj.“ Po kilku więc miesiącach sprzykrzyła sobie dyrekcyą ojca Giansati'ego i zwróciła się ku ojcu Sybilli, trynitarzowi, który traktował ją „z grubiaństwem podobném do grubiaństwa chirurgów chłopskiego pochodzenia ludzko łagodnych z chorymi w szpitalu, ale twardych dla ludzi światowych, dla tych, którzy wprowadzają ich w kłopot wykształceniem i wyższością wychowania.“

Bracia Goncourt zeszli tu aż na dno duszy kobiéty. Drobne, nic napozór nieznaczące szczegóły, tak przygotowały czytelnika, że poddanie się téj kobiéty pod rozkazy gbura, już nie naturalném i możliwém, ale wydaje mu się koniecznem. Nerwy, zmęczone uczuciem łechtania, zapragnęły uczuć sprawiających ból. Ojciec Sybilla—„kat dla samego siebie, który musiał walczyć z namiętnościami, z krwią swojego kraju, który przez tortury prawdziwe zabił w sobie pożądania gwałtowne,—stał się naturalnie katem moralnym dla innych, dla téj kobiéty.“ Widząc się traktowaną po grubijańsku, słuchając tego głosu, który nigdy nie mówił jej nic słodkiego ani pocieszającego, zostając pod tém okiem, w którém było coś orła i wilka, zbliżając się do tego ucha żółtego od żółci, wytrzymując w tym konfesyonale kłótnie, sceny, pogardę, uniesienia się, pani Gervaisais doświadczała jak gdyby zdwojenia posłuszeństwa biernego i poddania się.“ Lecz nie tak łatwo jednak, jakby się to zdawać mogło, biedna grzesznica pozbyła się grzechu, grzechu strasznego wobec kościoła, który nie cierpi dumy człowieka w tém, co on ma najszlachetniejszego: *grzechu myślenia*. I dlatego-to ojciec Sybilla „poddał ją regule ogłupiającéj biednych umysłem, zabronił jej wszelkiéj podniosłości wiary, ogłuszając ją tekstami świętemi, które powiadają że „nauka nadyma,“ i że „jedyną wiadomością Chrześcijanina powinien być Jezus-Chrystus ukrzyżowany,“ cytując św. Pawła, który potępia uczucia do rzeczy wzniosłych, szczególnych i strasznych, jako sidła, nakazując wraz z *Naśladowaniem* wstręt chrześcijański do nauk, karząc nareszcie z nienawiścią upartą i gorliwością żółciową w téj kobiecie wyższéj umysłem to, co kościół nazywa „ambicyą i ciekawością duszy,“ przyduszając światło i rozumowanie, nie zostawiając temu mózgowi nic ponad ciemną łatwowierność i dziecinne przesądy.“

Pani Gervaisais pod wpływem praktyk religijnych doszła do tego, że „upadłszy na kolana całowała z pokorą kraj sukni, jak gdyby dla oddania czci królowi w pokoju pustym, w którym nie było

nikogo, i wołała po kilka kroć z twarzą promieniejącą: „*Rabboni*, Mistrzu mój! dobry Mistrzu mój!“ Nie dosyć na tém. Schorowana i wycieńczona wizyami zaczęła się udręczać fizycznie. Przeniosła się do najbrudniejszéj dzielnicy Rzymu, zabroniła gotować w domu i żywiła się potrawami przynoszonemi z najnędzniejszych restauracyj dla robotników; przestała obcinać paznogcie nożyczkami i zaczęła posługiwać się cegłą; w koszule na piersiach wszywała gałązki róży, które darły jéj skórę.

W miarę rozwijania się suchot dewocya zyskiwała na natężeniu. „Choroba, w któréj życie pani Gervaisais gasło powoli, powiększała jeszcze mistycyzm, ekstazę, aspiracyą ciała ku nadnaturalizmowi duchowości.“ Lecz nadeszła chwila, w któréj zdawało się że „Bóg odmówił jéj tego rozkosznego pożywienia z siebie samego“ i oddał ją na pastwę kochania bez skutku. Straciła „Łaskę.“ Po hiperestezyi nerwów nastąpiła anestezya, którą bracia Goncourt świetnie umieli wyzyskać. Ponieważ dusza pani Gervaisais nie mogła drogą nerwów zużytych zdobyć nowych uczuć, potrzeba było zatem wyprzéć z niéj dawne. Tak samo myślał i kościół. „Nędzna grzesznico! woła spowiednik. Skarżysz się, że Bóg odpycha twoje objęcia?... Bóg oddaje się tym tylko, którzy zrzekają się dlań wszystkiego, którzy całkowicie i bez zwrotu poświęcają mu wszelkie przywiązania ziemskie... Twoje dziecko! To co nosisz w sobie dla twego dziecka, mówię ci, to nie miłość matki chrześcijańskiéj!..

Lecz, mój Boże, jakże chcesz, ażebym je kochała?

Zetrzyj na proch serce!... Dziecko?... Dziecko naznaczone na czole znakiem gniewu Boga, dziecko ukarane, przeklęte za twoję niewierność ówczesną...

Matka chciała podnieść jeszcze głos. Lecz spowiednik przygniótł ją słowami:

„Jeżeli kto idzie do mnie a nie ma w nienawiści ojca swojego, i matki, i żony, i dzieci“... i dzieci rozumiesz?... „nie może być uczniem moim.“ Takie są słowa Naszego Pana, Jezusa Chrystusa, w rozdziale XIV-stym, wierszu 26-ym Ewangelii ś-go Łukasza.“

Pani Gervaisais napróżno jednak „odepchnęła wyciągnięte do niéj ręce dziecka.“ *Łaska* nie powróciła od razu. Po długich dopiero miesiącach błagania, kiedy „nędzna kobiéta jęcząc i łzawiąc się, czołgała się po ziemi pod krucyfiksem, jak matka syna skazanego u stóp sędziego niewzruszonego i milczącego“ miłość macierzyńska znikła z jéj serca: „uczuła, że nie kocha już dziecka, uczuła, że nie kocha już nikogo.“

Lecz dewocya nie byłaby zupełną „bez naśladowania doskonałego śmierci za życia, *śmierci duchowéj*, którą ojcowie kościoła przy-

równywają tak słusznie do śmierci naturalnéj, przypisując jej skutki i następstwa téj ostatniéj," „Łaknąc i pragnąc śmierci, pani Gervaisais zaczęła chodzić do katakumb, dokąd ciągała bezlitośnie syna za sobą," i po wielu wycieczkach „upojona powoli i ponuro, stała się *oblubienicą śmierci*." Pewnego razu, wychodząc ztamtąd „nasycona, z okiem obżartem, była gotowa zawołać razem z Jobem do zgnilizny: *Ty jesteś matką moją*! a do robaków: *Wyście bracia moi i siostry moje!*"

Potém życie jéj zaczęło znikać coraz szybciéj. „Czekała końca z chciwą niecierpliwością, pozostawiając Bogu wybór ostatniéj godziny, gotowa umrzéć jeżeliby chciał, zdecydowana żyć, gdyby tego wymagał." W chwili kiedy Papież miał jej udzielić swego błogosławieństwa „dziecko trzymające ją wpół spostrzegło strugę krwi na jéj ustach i uchem opartem o jej pierś usłyszało, jak życie wylało się z głuchym bulgotem wody z butelki"...

Pani Gervaisais nie zostawiła grosza majątku. Lecz czy potrzeba dodawać ze wszystkie pieniądze „oddała na księży... na biednych"...? Inaczéj przecie być nie mogło. Bracia Goncourt zresztą o tém, gdzieś pod koniec książki, wspomnieli, ale tylko wspomnieli, aby „rozwojowi i dramatowi psychologicznemu wzruszeń i katastrof moralnych," przez wstręt do efekciarstwa, nie dać nawet pozoru melodramatu, który stoi na „tragedyi wypadków, na zcieraniu się faktów, na trwodze i wzruszeniu materyalném intrygi." I ponieważ temperament artystyczny nie pozwolił im długo zatrzymywać się nad pewnemi wypadkami materyalnemi intrygi, „niezmierna więc liczba ludzi, nawet ludzi wykształconych, w rozwoju moralnym stworzonych przez nich osób widziała luki, skutki bez przyczyn, lub co najmniéj rzeczy niedostatecznie przygotowane."

Lecz niezmiernéj liczbie ludzi, nawet ludzi wykształconych brakuje zmysłu artystycznego tak dalece, że jeżeli dla „idei formy" lub dla „formy idei," *coś* nie jest powiedziane rozwlekle, to to *coś* nie jest powiedziane już wcale.

b) *Mężczyźni.*

Gdyby bracia Goucourt byli artystami jeszcze sumienniejszymi, albo raczéj jeszcze śmielszymi w przeprowadzeniu walki z wszelkiemi tradycyami i konwenansami sztuki, niż są, zamiast sześciu powieści mielibyśmy jedną, może w sześciu tomach, ale jedną. Gdyż nie łudźmy się płodnością artystów wyrażoną w materyalnéj ilości obrazów, rzeźb, symfonij, pałaców i tomów. Artysta

nie tylko doskonale wyrazić się może w jedném dziele, ale tylko wyraża się w jedném: inne są dalszym ciągiem, przedłużeniem, przerobieniem téj saméj myśli, tych samych uczuć, tych samych wrażeń, tego samego *ja* artystycznego, które już było w owém *jedném*, niedoskonałém, niepełném i niezadowalniającém artystę wyłącznie dla tego, że jego *ja* nie zostało pokazane ze wszystkich stron, pod wszelkiemi oświetleniami, we wszystkich warunkach życia rzeczywistego. Tak więc, gdyby bracia Goncourt zamiast Coriolisów, Karolów, Anatolów, Nachete'ów i Denoisel'ów byli zrobili siebie, swój temperament, swój charakter, swój umysł, swoje nerwy i swój humor w jednéj osobistości, powieść ich, inaczéj artystyczna niż powieści Flaubert'a, mogłaby razem z niemi stać na tym samym piedestale psychologji wymotywowanéj w najtajniejszych jéj objawach. Wprawdzie bracia Goncourt, dalecy od wszelkiéj obojętności i przedmiotowości niewzruszonéj, obdzielają swoją własną duszą każdą ze swoich osobistości pojedyńczo; są to jednak tylko odłamki ich duszy, okrawki nerwów cierpiących na zbytnią wrażliwość.

Nadczułość bowiem nerwów nie jest chorobą samych tylko kobiet. „Od czasów Ewy kobieta jest częścią; od czasów ery chrześcijańskiéj władzą. Od czasów Rewolucyi, kobieta, przemieniając się i idealizując, jeszcze się powiększyła: w XIX-tym wieku stała się ofiarą, stała się niezrozumianą, stała się męczenniczką". W znacznéj części przyczyniła się do tego powieść. „Powieść współczesna, mówiąc właściwie, jest *Męką* kobiety w małżeństwie. Powieść użyła wszelkich sił, zużyła niemal całe swoje serce na ten temat zwyczajny, fatalny i ulubiony. Spożytkowała wszystko do tego dzieła. Dziś jeszcze wplata w niego co najlepsze sposoby. Zużyła odę, jamby, łzy gorące, lód protokułów, obronę, konstatowanie faktów, zużyła wszystkie tony i wszystkie wymowy, lirę, skalpel, język nowy, techniczny, lekarski, sympatyczno-fizyjologiczny; zeszła na dno dyagnozy, aż do najbardziéj pogłębionéj, najbardziéj nagiéj patalogji związków prawych. I każdy człowiek tego wieku, umiejący czytać i żyć, został należycie zbudowany i rozczulony chorobą organiczną kobiety nowoczesnéj, chorobą nieznaną pierwéj zanim nie wtłoczono obłoków do kałamarza i nie wynaleziono pewnych wyrazów,—został rozczulony tém jedném długiém ukrzyżowaniem duszy małżonki delikatnéj, wzniosłéj, czułéj i drżącéj, małżonki sprzężonéj z mężem, który je jabłka w łupinach, śpiewa przy deserze na obiadach weselnych, kocha jak trawi, z mężem nareszcie owym *„człowiekiem grubym"* z powieści".

I tu bracia Goncourt robią słuszną uwagę, że „mąż u drugiego końca łańcucha nie ma żadnéj obrony ustnéj. Dla niego nie istnieją

ani odpowiedzi, ani arcydzieła. Nic. Kobieta ma wszystko; ma za sobą mężczyznę nawet. Tymczasem ten mąż, jakkolwiek jest mężczyzną, może również być duszą. I kto wie czy małżeństwo nie rani go tyle co i kobietę, i, jak ją, w miejsce jestestwa jego szlachetne, wzniosłe, czułe i bolesne. Jeżeli nie płacze jak kobieta, to ma swoje odkrycia, cierpienia, łzy, rany wywołane zdradzeniem iluzyj, nadziei, przyszłości życia, wiary w towarzyszkę podobną do niego.“

Lecz bracia Goncourt zazwyczaj tak sumienni w nagromadzaniu faktów i obserwacyj, ile razy chodzi o kobietę, w analizie duszy mężczyzny zadawalniają się nakreśleniem linij ogólnych, rzuceniem kilku drobnych świateł tu i owdzie na stan moralny kochanka lub męża, zaznaczeniem tego lub owego wypadku z pominięciem całego szeregu przyczyn determinujących. Wszystkie ich dusze męzkie cierpią w próżni. Ani Coriolis w *Manecie Salomon*, ani Karol Demailly w powieści pod tymże tytułem nie są postaciami psychologicznie jasnemi. Pomiędzy ich aktami znajduje się wiele miejsc zostawionych domyślności czytelnika, który, jeżeli sam nie przeszedł przez piekło cierpień podobnych, nigdyby nie był w stanie uwierzyć w prawdziwość dramatu ich życia.

„Jestem nieszczęśliwy — pisze Karol Demailly do swego przyjaciela — bardzo nieszczęśliwy, więcéj może jeszcze nieszczęśliwy niż ktokolwiek inny, gdyż u mnie nie ma ani gniewu, ani złości, ani rozdrażnienia. Nie jestem mężem, jestem publicznością: sądzę, analizuję moję żonę na zimno, tak na zimno jakby to była żona innego. Widzę ją i patrzę na nią, jak gdybym miał przed oczami podobiznę tylko moralną jéj jestestwa. Żona moja nie ma serca, ani trochę... Bardzo dobrze, mój Boże! w życiu, serca nie napotyka się znowu codzień. Można zresztą żyć z ludźmi bez serca; znam takich, a jednak zażyłość z nimi jest mi bardzo przyjemną. Lecz myślałem, że to jest jednym ze zmysłów kobiety: i śladu nawet tego nie ma w mojéj. Mniejsza by o to... ale, mój drogi, żona moja jest głupia. Jeszcze żeby to była otwarta głupota kobiety niższéj, bez pretensyj, ta głupota poczciwa, naturalna, z którą tylu ludzi rozumnych sprzęgło swoje życie... Niestety! nie: jest to głupota zadowolona z siebie, głupota zalotnicza, manijerowana, wypracowana z wdziękiem, i jakby ci to powiedziéć? głupota wyświąteczniona. Jéj umysł jest zlewem banalności, myśli pospolitych i publicznych, przesądów mieszczańskich, uprzedzeń epidemicznych: jestto nareszcie owa głupota najbardziéj niecierpliwiąca ze wszystkich, głupota edukowana i tresowana, ciemnota nabyta... Ma ona przymiotniki, które stosuje do wszystkiego, epitety gotowe, jak sos biały i sos szary z restaura-

cyj, któremi się posługuje aż do przesytu. A przytém mina czelna, jak gdyby się rozumiała na wszystkim; i jeżeli natrzesz na nią cokolwiek, od razu draźliwość, kobieta uzbrojona i przygotowana do odporu, która boi się aluzyi, lub nauki w twoich słowach; i choćbyś kładł wszystkie rękawiczki możliwe, choćbyś, mówiąc jéj, że się myli, przepraszał ją po tysiąc razy, odzywał się językiem dworaka, który rachuje się z jéj próżnością i schlebia jéj... nic to nie pomoże: zawsze ta sama scena, ton uszczypliwy, głosik suchy: — To dobrze; nie mam pańskiéj inteligencyi".

Jak widzimy, Karol zna żonę swoję do gruntu: sądzi ją słusznie, ponieważ patrzy na nią, jak publiczność, na zimno. Kiedy więc Marta mówi mu otwarcie, że kocha innego, kiedy szydzi z jego łez, sycząc: — „Płacz! płacz trochę! to ci dobrze zrobi... Patrzcie! nigdy nie widziałam cię płaczącym... Och! co za mina zabawna!" Kiedy, widząc, że Karol nie rozbił sobie głowy o mur, woła: „— Masz tobie! chybiłeś..." jéj psychologija w niczém nie zadziwia.

Lecz Karol? Karol nie kocha nic po za literaturą, nie kochał nigdy namiętnie Marty, nie jest zmysłowym, nie ma ambicyi męża, któryby gotów był niesławę małżeńską wbić ostrzem szpady w serce kochanka swojéj żony, ponieważ jest wyższym nad opiniją publiczną. A jednak cudzołóztwo żony przyprowadza go do szaleństwa. Słyszy „*głosy*... „*głos cudzołóztwa*", który ostatecznie pozbawia go nie tylko umysłu krytycznego, ale zmysłów w ogóle. „Kiedy poczuł, że król organów jego istnienia odchodzi pomału, chciał stawić opór. Zbierając siły i całą energiją, pewnego dnia wypowiedział walkę na swoim gruncie po raz ostatni. Przyskoczył do stolika i zaczął pracować zawzięcie, pisząc, pokrywając strony całe literami i rzucając głośno w powietrze słowa bez związku. Oto stronnica jaką napisał: „Znalazłem się w pralni olbrzymiéj. To, co ją oświecało, było podobne do jaspisu przezroczystego jak kryształ. Z wody w kadzi podnosił się zapach tak słodki jak ten, który Maryja-Magdalena, oddając ducha, zostawiła za sobą. Naokoło aniołki blade i białe, łagodnie promieniejące, podobne do słońca w zimie, odziane w suknie jasno błękitne, albo w białe, albo w różowe. Aniołki te, ze skrzydły złotemi, klęcząc jak praczki nad rzeką, prały dusze, a kijanki w ich rękach bozkich dźwięczały ze słodyczą głosu harf i śpiewały rodzaj zwrotki pracy: *Amen! Alleluja!* Inne, nawpół zgięte, rozpakowywały kosze pełne dusz mniéj lub więcéj zbrukanych, już-to niewinnych i prawie białych, już téż całkiem brudnych i zczernionych przez życie jak Nieznajomy zczerniony przez pochodnię płonącą świętego Grzegorza. A inne przy drzwiach, z liliją, krzyżem, lub gałązką zieleni w ręku, z uśmiechem nieskończonego miłosierdzia w oczach,

przyjmowały paczki dusz, trzymając zamiast ksiąg pralni księgę życia Ś-go Jana. Drabiny białe wznosiły się aż pod sklepienie, gdzie aniołki młodsze w wieńcach z astrów, podrzucały się nogą, krzyżowały się z sobą, idąc w górę suszyć pod niebem dusze przejęte ługiem, rozwieszone parami jak pończochy..." Tu porzucił myśl i zapisał wielkiemi literami aż do dołu stronnicy: KAROL DEMAILLY, KAROL DEMAILLY, KAROL DEMAILLY, — jak gdyby obawiając się, ażeby mu własne imię nie uciekło z pamięci".

Lecz czy ten koniec tak tragiczny, tak zgodny z temperamentem, z charakterem, z nerwami Karola, jest istotnie następstwem „stracenia iluzyj, wiary w towarzyszkę?" Karol nie miał żadnych iluzyj, żadnéj wiary w Martę; a jednak Marta przyprowadziła go do waryacyi, i to właśnie zadziwia w powieści.

To samo z innemi postaciami mężczyzn, to samo z Coriolisem w *Manecie Salomon*, który w zetknięciu się z „warstwą niższą", bez wyraźnych przyczyn nikczemnieje do tego stopnia, że porzuca sztukę, wypiera sie swego ideału, maluje obrazy w guście publiczności, w guście swojéj żony, dawniejszéj modelki.

I tu, jak w *Karolu Demailly*, bracia Goncourt popełnili błąd prawie nieodłączny od ich talentu. Troszcząc się więcéj o charakterystykę pewnych stanów duszy aniżeli o demonstracyą przyczyn poprzedzających je lub wywołujących, więcéj o wyraz uczuć aniżeli o ich mechanizm, złożyli za wiele władzy kierowania zjawiskami życia indywidualnego na elastyczne barki *fatalności* i *nerwów*, tych dwu wybornych środków usprawiedliwiania nieprawdopodobieństw i usuwania sprzeczności psychologicznych.

Dla tego téż, jakkolwiek bracia Goncourt najwięcéj samych siebie, swojego temperamentu, charakteru, nerwów i zapału artystycznego, przedstawili w duszach Karola Demailly i Coriolis'a de Naz, ze wszystkich jednak postaci mezkich najpełniéj przedstawia się Anatol, typ malarza-cygana z *Manety Salomon*. Jest-to postać wzięta wprost z bruku paryzkiego i przedstawiona z całym spokojem bezlitośnéj przedmiotowości.

„Anatol był żywym przykładem kontrastu szczególnego, jaki nierzadko spotkać można w świecie artystów. Zdarzyło się bowiem, że ten figlarz, ten paradoksista, ten szyderca zapamiętały filistrów w życiu, miał myśli najbardziéj filisterskie w rzeczach sztuki, która, właściwie mówiąc, pociągała go mniéj aniżeli samo życie artystyczne. Marzył o pracowni. Wzdychał do niéj z wyobraźnią studenta i apetytem swojéj natury. To co tam widział, to były horyzonty *Bohemii*, które olśniewają zdaleka: romans Nędzy, pozbycie się kłopotu węzłów i reguły, wolność, niekarność, nieporządek życia, przypadek,

przygody, niespodzianki codzienne, wyrwanie się z domu uorganizowanego i uprzątniętego, ucieczkę od ogniska rodzinnego i nudy jego niedziel, drwiny z mieszczaństwa, ciekawość rozkoszy z modelką, pracę, która nie męczy, możność przebierania się przez cały rok, rodzaj karnawału wiecznego". Na studyach nad naturą zasypiał. Nazywało się to „spać z natury." Jego nędza materyalna bawi i zasmuca, jego nędza moralna przygnębia i otrzeźwia, jego humor rani i śmieszy. „Panowie — woła ze szczytu wzgórza Ogrodu Botanicznego — nie płaci się z góry; każdy według możności!... *Spoken here! Time is money! Rule Britannia! All right!* A mówię to dla tego, że błogo jest spotkać się ze swoim językiem w ustach cudzoziemca... Paryż! panowie Anglicy, to to... tak, to wszystko... tęgie miasto!... pochodzę z niego i szczycę się tém! Miasto które robi hałas, błoto, gałgany, dym, sławę, marmur z tektury, ziarnka kawy z gliny garncarskiéj, wianki na groby ze starych afiszów teatralnych, nieśmiertelność w piernikach, ideje na prowincyę i kobiety na wywóz! Stolica *szyku*! Pokłońcie się!.. A teraz proszę się nie ruszać. To? milady, to cedr prawdziwy z Libanu przyniesiony przez pana Jussieu w kapeluszu!.. Père-Lachaise! istotne przedmieście Saint-Germain umarłych: pełno tam pałaców... Patrzcie na lewo i na prawo... kolumna Lipcowa wystawiona przez więźniów Bastylii na niespodziankę dla jéj dyrektora... Umieszczano tam najpierw portret Ludwika-Filipa, tego Henryka IV-go z parasolem; lecz potém zastąpiono go przez *Wolność*, która wzlatuje w powietrze. Patrz dobrze, mylady! obok *Wolności stoi żołnierz: u nas tak zawsze we Francyi*... Tu, to Panteon... Panteon, milady, wybudowany przez pana Soufflot, cukiernika... Według zdania wszystkich, którzy go oglądają, jest-to największy tort sabaudzki w świecie," i t. d.

Pewnego razu wygrał na loteryi wieprzaka i przyprowadził go z sobą do pracowni. „Cóż to za kochany wieprzak, wieprzak ze wstążeczką, jak pudełko cukierków na chrzciny... To prawdziwe szczęście z takiém stworzeniem... bo to łagodne, miłe, kocha człowieka... i ratuje od pokus: patrzcie na Ś-go Antoniego."

Kiedy Garnotelle, malarz portretów, dekorowany i dumny sławą, skarży się na farsy Anatola; Anatol, biorąc go na bok, mówi: „Doprawdy przykro mi patrzeć na ciebie... ludzie wielkiego światła zgubili cię... wyrzekłeś się widocznie zasad 1789 roku... Równości wobec Blagi."

Garnotelle tymczasem w opinii publicznéj stał się bohaterem chwili. „Brak życia w jego portretach uchodził za styl; ich płaskość witano jako idealizacyą. Literaci w ich minie odnajdywali coś pokornego, skromnego, religijnego. Umówiono się chyba, aże-

by nie widzieć całéj nedzy rysunku lichego, wahającego się pomiędzy naturą a wzorkiem, nieśmiałego, usiłującego głupio upiększać osobistości. Prawie cała krytyka chwaliła go w słowach, które oddają sprawiedliwość charakterowi. W sposobie malowania doszukiwano się piękności jego duszy. Blejwas i asfalt, któremi się posługiwał, były blejwasem i asfaltem serca szlachetnego. O jego malarstwie mówiono że było „lojalne i prawdomówne,“ że miało „pogodę dążności i faktury.“ Szarość stawała się wstrzemięźliwością; nędza kolorytu „surową czystością koloru,“ mogącą przemawiać „do umysłów i do inteligencyi wybranych.“ Wskutek tego wejście Garnotelle'a do instytutu miało wszelkie szanse powodzenia. „Czemu?“ — „Przedewszystkiém — odpowiedział mu Anatol — nie jesteś uczonym. Wyśmienicie... Instytutowi tylko o to idzie... Żadnych obaw... Ani jednego artykułu w *Revue des Deux Mondes*, ani jednéj broszury za pięćdziesiąt centymów o fabrykacyj farb. Jako mówca nie rzucasz ogni sztucznych... jesteś umiarkowany jak metafory... gawędzisz nawet licho. To także dobre! Bo gdybyś błyszczał w salonach, gdybyś robił wrażenie, dowcipkował, hałasował, puszczał słowa w obronie Instytutu... To bardzo źle! Uwłaczałbyś powadze jego sprawy, kompromitowałbyś uroczystość ciała. Powaga, milczenie, oto wszystko czego potrzeba... a to masz od urodzenia. A przytém nie odznaczasz się elegancyą przesadzoną... nawet, dzięki Bogu dla ciebie, czystość twoja nie jest przerażającą... Ach! jeżeli tego wszystkiego nie nazywasz szansą! Jakto? nie masz nic coby pozwoliło cię zauważyć, nic w całéj swojéj osobie, coby było widoczném... od stóp do głowy jesteś pododny do wszystkich ludzi... udało ci się, wielki łotrze, nie mieć wcale osobowości... i chcesz wmówić w nas że Instytut cię nie weźmie! Ależ jesteś ideałem Instytutu: śnisz się akademikom.“

I tego humoru Anatol nie traci nigdy, nawet wtenczas, kiedy mu „łza spada po policzku nad trupem ukochanéj małpy. — Co ja miałbym płakać?—zawołał ze wstydem, szybko ocierając łzę z oka. — Ach! do dyabła! zapomniałem się jéj spytać czy nie byłaby sobie życzyła księdza?“

Z tém wszystkiem „Anatol przedstawiał ciekawe zjawisko psychologiczne człowieka, który nie posiada indywidualności, człowieka, który nie czuje potrzeby życia osobnego, życia dla siebie samego; człowieka, który z upodobania i z instynktu przez rodzaj pasożytności naturalnéj wiąże swoje istnienie z istnieniem innych.“

Przy analizie duszy Anatola bracia Goncourt ani na chwilę nie opuścili gruntu obserwacyi przedmiotowéj; „byli względem niego publicznością: sądzili,“ duszę cudzą nie przypuszczając w niéj swo-

jéj, i dlatego dali postać skończoną. Widocznie zbytek czułości i pobłażliwości ojcowskiéj dla psychologii ludzi podobnych do nas nie jest zaletą psychologów.

IV.

Język.

Był czas, że sztuki plastyczne a zwłaszcza malarstwo, zapożyczały się u literatury. „Wszakże romantyzm, ta rewolucya w malarstwie, ograniczając się zaraz prawie od początku na oswobodzeniu palety, dał się porwać i rozgorączkować przez zażyłość z literaturą, przez towarzystwo książkowe, przez rodzaj nasycenia literackiego, przez upojenie atmosferą liryzmu. Ztąd, z tego ocierania się o ideje, o estetyków, wyszli malarze mózgowi, malarze-poeci. Jedni nie pojmowali obrazów bez jakiegoś symbolizmu dantejskiego; inni, o instynkcie germańskim, uwiedzeni *liedami* z tamtéj strony Renu, gubili się w mgłach marzycielstwa, topili słońce mitologii w melancholii, fantastyczności, szukali Muz w Walpurgii.“

„Zgubny wpływ literatury na malarstwo odnajdywał się również na drugim końcu świata artystycznego, w innym człowieku, w malarzu prozy, w zręcznym urządzaczu sceny, w niezmiernie wprawnym reżyserze piątych aktów kroniki, uczniu Walter-Scott'a i Kazimierza Delavigne, umiejącym pozwolić zaskrzepnąć przeszłości w barwie miejscowéj, łudzącéj oko, któréj jednak brakowało życia, ruchu, *rezurekcyi* wzruszenia.“

Czytelnik domyśla się odrazu, że w tym urywku z estetyki (*Maneta Salomon*) chodzi o symbolicznie dantejskiego Delacroix, o *liedowo* germańskiego Ary-Scheffer'a i o teatralnie dramatycznego Pawła Delaroche'a, którym bracia Goncourt, w swym obrażonym zmyśle malowniczości i plastyki, nie mogą przebaczyć *idei* poczerpniętéj skądinąd niż z *natury naturalnéj*, a zrozumiałéj tylko przez uważne wczytywanie się w wyjątki z poezyi lub kronik, wypisane na ramach obrazów.

Dziś przeciwnie, literatura zapożycza się u malarstwa i pod ideje podkłada farby. Bracia Goncourt, jako z powołania malarze, i to malarze impresyoniści, za jakąkolwiek bądź cenę chcieliby swoje wrażenia barwnéj natury przelać na papier. „Założyli się — jak mówi Julijusz Lemaitre—że tonom, odcieniom, linijom, jakie pędzel tylko byłby w stanie odtworzyć, nadadzą we frazesach pisanych plastyczność namacalną; ztąd praca, wysiłek rozpaczny słów ku przyswojeniu sobie barwy i kształtów, walka słownika z paletą, fra-

zesy mające pozór werniksu, epitety, które są jakby ostre dotknięcia pędzla, przysłówki rzucane niby szpachlą, transpozycya sztuki na zabój..." Słuszna uwaga; lecz tym tylko sposobem bracia Goncourt opisom nadali życie, jakiego próbki zaledwie w dziełach Teofila Gautier doszukać by się było można, i tym tylko sposobem, pomimo przeładowania szczegółami, jak u Zoli, uniknęli monotonii w obrazach. Zresztą nie są-to komornicy, którzy, zszedłszy na grunt w obecności dwu świadków, robią inwentarz sumienny ruchomości i nieruchomości, lecz artyści, do których nawet przedmioty martwe „przemawiają jak osoby."

O ich opisach można powiedzieć to samo co oni powiedzieli o obrazach mistrza hiszpańskiego. „Velasqez kombinował przedewszystkiem wartości cienia i światła, koloru czarnego i białego.... kombinował je na głowie, na kaftanie, na wstędze, na szarawarach, na koniu. I potém niezależnie od koloru jakim malował szczegóły różne, niezależnie od koloru pomarańczowego, żółtego, różowego albo szarego, tak się urządzał, że z pewnością wartości cienia i światła, koloru czarnego i białego, zostawały." I u nich także cały wysiłek artystyczny zmierza do tego, co w malarstwie nazywa się *tonem*, tonem ogólnym po-za rozmaitością kolorów miejscowych.

Kiedy wyliczają i opisują przedmioty znajdujące się np. w pracowni Cariolis'a przy blasku zachodzącego słońca, z obrazu ich w pamięci czytelnika zostaje się wrażenie nie przedmiotów ale zachodu słońca. „Dzień schylał się nieznacznie. Wieczór błękitnawy zaczynał się mięszać z dymem papierosów. Mglistość nieokreślona, w któréj przedmioty łagodnie gubiły się i tonęły, rozlewała się pomału. Wesołość światła umierającego, gasnąc, oddalała się. Ciemność spadała razem z milczeniem, i możnaby było powiedzieć, że w *rzeczach* następowało *skupianie się ducha*.... Metamorfoza melancholiczna przejawiała się wszędzie: na płótnach lazur poranny krajobrazów przemieniał się w bladości szmaragdowe wieczoru; na ramach noc zapadła widocznie... Tylko maleńkie kolumny przyczepione do muru, konsolé i podstawy do statuetek zachowywały na sobie jeszcze trochę światła dziennego, które jednak zwężało się na skrajach. Powyżéj kopii Ś-go Marka czarność weszła do paszczy otwartéj lwa, który ziewał na powitanie nocy... Posadzka traciła refleks tafli, które dopiero-co pyszniły się swym blaskiem. Szarość nocy, podobna do pyłu, padała bezustannie.... Potém nadeszła owa chwila pomiędzy dniem a nocą, kiedy widać tylko to, co jest ze złota: ciemność pochłonęła cały spód pracowni. Przedmioty stawały się tak niepewnemi, że można je było odnaleźć tylko macając pamięcią oczu. Obrazy pokryły się plamami czarnemi; cień ze wszyst-

kich stron przyczepił się do murów. Nitka złota wzdłuż boku ramy podniosła się, zmalała i znikła w rogu u góry. I w pracowni został się tylko pobłysk jakiejś białości nieokreślonéj na jajku strusiem zawieszonym u sufitu, tak jednak, że nie było widać ani sznurka, ani węzła z czerwonego jedwabiu....“

Kiedy opisują bal kostiumowy, wyrazy zdają się tańcować na papierze. „...Po chwili Anatol przebrany za *Pierrot'a* rozpoczął nowy taniec, taniec podobny do poważnéj i okrutnéj pantominy blagi — taniec który blagował!... Ruchy, fizyonomią, nogi, ręce, głowę, całą swoję istotę tancerz wprowadzał w grę jakiegoś szału niewypowiedzianie cynicznego. Zdawało się, że coś sardonicznego przebiegało mu wzdłuż kości pacierzowéj. Z całéj jego osoby wytryskiwały okrutne krytyki ułomności: wywoływał tyki nerwowe, które mu wykrzywialy twarz; naśladował kuternogę i człowieka o kuli; udawał podrygi starca dotkniętgo apopleksyą na trotuarze. Miał gesty, które mówiły, które szeptały: *o mój aniele!* które strząsały niejako z siebie brud, gwarę bulwarową i obrzydzenie! Wpadał w stan szczęśliwości ogłupiałéj, uniesienia idyotycznego, oszołomienia rozbestwionego, przerywanego nagłemi swędzeniami zwierzęcia, które zmuszały go do bicia się w piersi z miną dzikiego z ziemi Ognistéj. Podnosił oczy do góry, jak gdyby pluł w niebo. Rzucał spojrzenia, które zdawało się, że spadały z raju do knajpy.... Parodyował kobietę, parodyował miłość. Pozy, bujanie się par miłosnych, uwiecznione w arcydziełach posągów i obrazów, linije nieśmiertelne i boskie pieszczot idących od płci do płci, które oddają cześć kobiecie, zatoczenie rąk około kibici, prośbę, klęczenie, pocałunek, pocałunek! — wszystko-to karykaturował z przesadą artystyczną w postawach szyderczych błagania, wstydu i uszanowania, przedrwiwując, z palcem Kupidyna na ustach, cały sentymentalizm człowieka... Był-to kankan piekielny Paryża, nie kankan z 1830 roku, naiwny, brutalny, zmysłowy, ale kankan gorszący, kankan szyderczy i ironiczny, kankan epileptyczny, który pluje niejako bluźnierstwem rozkoszy i tańca wśród wszystkich bluźnierstw czasu!“

Kiedy opisują jakie wrażenie zrobił na nich Baden, zdaje się że wyrazy trzeszczą jak gałka kościana w pudełku rulety. „...Miasto zadziwiające, miasto ogłuszające, miasto oszołomiające, miasto z ulicami, oberżami i ludźmi, miasto, które ma pozór miasta, a które nim nie jest, miasto zaczarowane przez przypadek; miasto niemożliwe; miasto przetrząsane jak worek loteryjki; miasto dźwięczne jak targ Fortuny; miasto, w którém się chodzi po apopleksyach pieniędzy i stłuczonych garnkach od mleka; miasto, które jest podobne do życia w pełnym galopie: po kwadransie czasu milion ma długi a lokaj

służących; miasto, jak piekło Dantego, złagodzone nadzieją. nadzieją pijaną! miasto będące jednym stołem do gry, na którym się tańczy w nocy, jak po kolacyi na suknie bilardu; miasto, w którém nie ma mężczyzn, nie ma kobiet, nie ma ludzkości—nic! tylko ręce, które rzucają lub zgarniają.... miasto waryatów, w którém najrozsądniejsi układają liczby na złapanie szansy, w którym pieniądz nie jest pieniądzem, ani wartością, ani wagą, ani potem, ani rozumem, ani zdrowym zmysłem, ale szczęściem, marzeniem, kaprysem, zabawką, wiatrem, deszczem—oto Baden.“

Nie zapominajmy jednak że bracia Goncourt pracowali razem, w jednym pokoju, przy jednym stole, że omawiając każdą scenę, każdą myśl, każde słowo, wzajemnie się pobudzali głosem, wrażeniem fizycznem, jakie dźwięk mowy ludzkiéj sprawia na nerwach. I tu przedewszystkiém, w téj ustawicznéj ekscytacyi, w tém podrażnieniu fizyologiczném, jak przy słuchaniu muzyki, należy szukać tajemnicy ich języka barwnego, wyrazistego, nerwowego, w którym retoryka została podeptana nogami z potrzeby, nie zaś, jak ich o to pomawia krytyka, przez zamiłowanie do sztuczności wyszukanéj. Zresztą jeżeli „płaskość stylu pochodzi z duszy,“ to i nerwowość nie skądinąd. Bracia Goncourt potrzebowali przedewszystkiém wyrazić swoją duszę nerwową, swoje wrażenia, uczucia i myśli osobiste, czysto swoje z pierwszéj ręki, silne, często chorobliwe, lecz zawsze artystyczne,—potrzebowali wyrazić się w formie czysto osobistéj, i dlatego musieli stworzyć sobie język własny.

„Język toczy się i powiększa: jest-to przypływ słów. I jeżeli prawda, że język ma swoje upadki, lepiéj jeszcze być Lukanem—aniżeli ostatnim z naśladowców Wirgiliusza bez nazwiska.“

„Po zatém jednak—odpowiada Franchemont Karolowi Demailly—trzeba być sprawiedliwym i nie dziwić się wcale namiętnościom logicznym ani złéj wierze poinimowolnéj i bezwiednéj. Ten wstręt bowiem do innowacyj literackich, to uprzedzenie do ludzi, którzy nie piszą jak wszyscy i tworzą język—mówiąc tylko o formie i zewnętrznéj stronie myśli oryginalnéj — jest całkiém naturalne. Stanowi on część religij nabytych przez kształcenie; jest następstwem, pozostałością naszych uwielbień, w jakich, przy uczeniu się jeszcze katechizmu byliśmy wychowani. Ztąd ta nietolerancya literacka, ta wiara w gust wkorzeniony, głęboki, fanatyczny, który według niektórych ludzi może zmusić do milczenia wszelkie inne przekonania.“ Karol Demailly przyznaje słuszność Franchemont'owi, ale tak jak bracia Goncourt — w teoryi. Chcąc odtworzyć całą sztuczność, całą chorobliwość, całą anormalność uczuć, postąpili sobie jak malarze dzisiejsi: zerwali z wszelką konwencyą i rzucili

na papier indywidualizm formy, pod jaką natura sama im się przedstawiła. Chcąc odtworzyć *newrozę*, która dogryza to, co pesymizm naruszył, naruszyli składni i kodeksu retoryki akademickiéj. Zrzucili tyle *genitivów* jeden koło drugiego, tyle zaimków: *który*, *którego*, *któremu*, tyle spójników *że* jeden po drugim, iż krytyka zatrwożyła się o czystość języka. A co neoligizmów, co synonimów, co trybów bezokolicznych i przymiotników użytych rzeczownikowo, co epitetów postawionych przed rzeczownikami, co zdwojeń słów, psujących eufoniję, bez których-by obejść się było można!

Wszystko-to wada ze względu na gramatykę i retorykę, prawda, ale wada, o któréj się zapomina ze względu na życie, jakie z ich książek wieje. Takiego bowiem języka żywego i obrazowego, któryby oddał kolor nieba, woń kwiatu, dźwięk głosu, oddech człowieka, malowniczość natury, szarość i nudę życia, po-za nimi, ani obok nich niema, gdyż oni tylko jedni, ze wszystkich powieściopisarzy, słuchając swojego temperamentu, zdołali wrażenia rzeczy odczutych po swojemu wyrazić językiem swoim, językiem, który streszcza w sobie całą wytworność artystyczną naszéj epoki, i, przez to samo już, zapewnia im miejsce całkiem odrębne w historyi literatury.

Z tém wszystkiem jednak bracia Goncourt nie cieszą się ani powodzeniem, ani uznaniem, po-za jakiémś szczupłem kółkiem artystów umiejących czuć i myśleć samodzielnie. I nie ma w tém nic dziwnego. Wszakże—jak słusznie zauważyli to w swoich *Myślach i Wrażeniach*—„dla ocenienia dzieł sztuki potrzeba czegoś więcéj niż gustu, potrzeba charakteru, gdyż dla niezależności nawet uwielbienia nieodzowną jest niezależność myśli.“

Antoni Sygietyński.

SPÓŁCZESNA BULGARYA

(*Dokończenie*),

Niesprawiedliwém byłoby w zapatrywaniach na usposobienie ub charakter narodu kierować się odosobnionemi przejawami jego życia bez szukania głębszych przyczyn i powodów w całym szeregu faktów dziejowych, niezawisłych od woli i pragnień narodu; lub téż chcieć z oddzielnych faktów sądzić o całości nie uwzględniając wyjątków tak w dodatnich jak w ujemnych objawach uczuć, opinii i czynów narodu. Wśród ludów mających pewną przeszłość za sobą i dorabiających się przyszłości walką, cierpieniami i pracą—prawie niema takich, u których by ujemne strony przeważały nad dodatniemi i których by przeto godziło się potępić. Jeśli więc kto, to Bulgarowie nie stanowią w téj mierze wyjątku. Wśród upośledzenia politycznego i społecznego, spowodowanego władztwem obcych najezdników, upośledzenia, niekorzystnie wpływającego na rozwój dodatnich stron charakteru narodowego, wyrabiają się przecież cnoty te same, które spostrzegamy u ludzi pojedynczych, pędzących żywot w nędzy i upośledzeniu: skromność, poczciwość, pracowitość hart duszy i może niekiedy pod powłoką egoizmu ta szlachetna troska o los spółbraci, która się staje udziałem cierpiących. Jednocześnie u ludzi przybitych i przygnębionych wyradza się pokora, obojętność i zwątpienie o własnych siłach, graniczące z brakiem odwagi, a nareszcie egoizm.

Mówiąc o wzajemnych sporach między Serbami i Bulgarami, uderzyłem na obojętność jednych i drugich o los własnego kraju, oskarżyłem ich o brak patryotyzmu w chwilach najkrytyczniejszych dla niego, o brak współdziałania ich przodków z tymi, którzy podawali im rękę pomocną, wreszcie o brak wdzięcznéj pamięci ich samych dla ich przyjaciół. Sprawiedliwość nakazywałaby odsłonić

i drugą stronę medalu, mimo że znacznie ona zatartą została zarówno niepamięcią wieków, jak obojętnością tych ludów dla własnéj przeszłości. Jeśli car Brankowicz nie poszedł z królem Władysławem pod Warnę, to godzi się pamiętać, że poszedł tam słynny bojownik Krzyża Św. ów serb Michał Konstantynowicz z Ostrawicy, który szukał późniéj przytułku w Polsce i obdarzył naszą literaturę „*Pamiętnikami Janczara*.“ Jeśli dzieje pisane prawie nie wspominają o wspólnictwie i przyjaźni z Polakami, to dla tego, że tych dziejów po zatracie niepodległości nie stało: miejsce ich zajęła tradycya ustna, pieśń ludowa, ta najwspanialsza i najpiękniejsza epopeja dziejowa, a w niéj zaprawdę poczestne i serdeczne zostawiono miejsce *Ledzianom* (Lechitom, Polakom) (1), tym walecznym bojownikom z nad Wisły i Dniepru, którzy tak skutecznie kilkowiekowe staczali boje z zaborcami krain naddunajskich. Jaką miłością, jak drogiém wspomnieniem ludowa pieśń naddunajska otoczyła Polaków, dość wspomniéć, że króla ich Warneńczyka przeniosła do epopei narodowéj i razem z własnymi bohaterami posłała go na Kosowe pole: „Kad se kralju Vladislave na Kosowo otpravljasze!“

Tyle co do Serbów. Z Bulgarami, gdybyśmy mogli ich sądzić tą samą miarą, analogicznie rzeczby się mieć powinna. Jeden z historyków naszych, pisząc o pierwszéj wyprawie Warneńczyka do Bulgarii, powiada: „Bulgarowie, będąc jednego języka z nami, dobrowolnie się wszędzie Polakom poddawali i nie mogli się z nimi nagadać (2).

* * *

W ostatnich wojnach wzięci we dwa ognie Bulgarzy, przy kapryśnych losach fortuny wojennéj, z saméj konieczności musieli być bardziéj jeszcze skrytymi i oględnymi niż zwykle. Jeśli do jakiéj wioski wszedł oddział wojska rosyjskiego, a mieszkańcy jéj choćby nie z tytułu dobrowolnéj sympatyi lecz z musu okazali mu gościnność, to musieli za to odpokutować nazajutrz kiedy przyszedł oddział wojska tureckiego i vice-versa. Naoczny świadek z armii rosyjskiéj tak opowiada dosłownie (3).

„Podczas marszu z Tyrnowy do Górnego—Studenia wypadł nam przystanek obok jakiejś niewielkiéj wioski bulgarskiéj. Skoro

---

(1) P. Al. Jabłonowskiego artykuł w *Ateneum* 1880 r. p. t. „*Polska i Polacy w poezyi ludowéj Słowian Zadunajskich*“ gdzie za prof. Nowakowiczem wykazano, jako pod wyrazem *Ledzianin*, używanym często w pieśni serbskiéj, rozumiéć należy Polaków.

(2) P. Juliana Bartoszewicza, mówiącego za Bielskim w „Poglądzie na stosunki Polski z Turcyą i Tatarami“ w Al-Koranie wyd. A. Nowakowskiego.

(3) Bołgaria wo wremia wojny—Utina—Wiest. Ewr. 1878—czerwiec.

żołnierze złożyli broń w kozły, wnet każdy z nas starał się posłać do wioski bądź kozaka, bądź ordynansa po barana, kurę, jaja—słowem po jakąkolwiek bądź prowizyą. Głód wszystkim dokuczał. Odległość wioski wynosiła ze dwie wiorsty, niektórzy więc sami tam pośpieszyli w celu poszukiwań. Poszedłem też i ja razem z jednym oficerem. Po drodze spotkaliśmy już powracających z wioski żołnierzy, z których każdy prawie niósł cośkolwiek z prowizyi. Oficer wyprzedził mnie i wszedł do jednéj z chat, zkąd też niebawem słychać było donośny głos jego,—krzyczał on i łajał.

— O co się kłócicie?—pytam go, wszedłszy na podwórze, gdzie obok niego zobaczyłem dwie kobiety.

— Niegodziwy to lud!—łagodnością nic z nim wskórać nie podobna!

— Ależ pan, widocznie, nie bardzo grzeszy zbytkiem łagodności względem nich!

— Bo też każdego z cierpliwości wyprowadzą! O cokolwiek bądź się poprosi, opowiadają że niema.

— Za pozwoleniem, alboż obowiązani oni są dawać wszystko co się wam żywnie podoba? a zresztą—jak pan chcesz żeby panu dogadzano, skoro pan tylko krzyczysz?

Czego nie można było dopiąć groźbą, dopięło się łagodnością. Bulgarki przyniosły niebawem chleba, mleka, i w ten sposób uspokoili gorączkowego towarzysza mego. Przychodzimy do innéj wioski. I ludzie, i konie—wszystko głodne; ale pierwsza troska o konie. Siana nigdzie nie ma, owsa również, konie karmią jęczmieniem.

— Dajcie jęczmienia dla koni,—zażądano od Bulgarów.

— Nie ma jęczmienia. Wyszedł!—odpowiadają oni.

— A chybaż koni mamy zagłodzić, czy co?

Bulgar milczy.

— No, mów że, cóż milczysz?

Żadnéj odpowiedzi.

My się irytujemy, podnosząc skalę głosu, następuje łajanie.

— A to co, czyż nie jęczmień!—ktoś się odezwał, wskazując na całą stertę, stojącą naprzeciwko chaty. Bulgar wyjaśnia, że do téj sterty nie ma on prawa dotknąć się.

— Jak to nie masz prawa, dla czego.

Pokazuje się, że turcy, opuszczając wioskę zagrozili im, aby się nie ważył pozbywać zboża i jęczmienia, w przeciwnym razie, za powrotem—spalą całą wieś i mieszkańców wytną w pień. Niepowodzenie wojsk naszych przypominało im niestety, dotykalnie tę groźbę, więc też zostawiali w polu sterty na zgnicie.

— Tchórze! lud godzien pogardy! dają się słyszeć głosy i rozkaz spożytkowania tego jęczmienia.

Jeszcze próbka. Wchodzimy w kilku do jednéj z chat wiejskich. Wołamy gospodarzy—nikt się nie odzywa. Otwieramy drzwi, i widzimy w izbie parę dzieciaków. Starsi pochowali się. Usiłujemy wydobyć języka od dziatwy, i dowiadujemy się tyle tylko, że matka gdzieś wyszła. Pytamy—czy jest chléb, mleko, słowem cośkolwiekbądź do zjedzenia i odpowiedź zwykła—*nema*! Wszyscy oczywiście doskonale rozumiemy, że matka, ojciec umyślnie wyszli z domu, aby nie być w konieczności dawania nam, po raz nie wiedzieć który—chleba, kurcząt, jaj itp. Cóż począć? Wychodzimy z pustéj chaty, a ponieważ głód nie usposabia do spokojnego rozmyślania nad przyczynami takiego w obec nas zachowania się bulgarów, więc opuszczamy wioskę, przeklinając jeszcze raz krajowców za ich czarną, oburzającą względem nas niewdzięczność" (1).

Niekiedy téż prosta nieznajomość języka krajowców dostateczną była do wywołania fatalnych nieporozumień i niesłusznych zarzutów.

Do kramu w małém miasteczku wpada wachmistrz od dragonów i pyta z pośpiechem:

„Masz bułki?"

— Imam—odpowiada bakał—bulgar, właściciel kramu.

— Wiele?

— Imam jedna—ta.

— Jednę tylko? To dawaj ją, ale prędzéj.

Bakał wypatrzył szeroko oczy na wachmistrza

— Cóż patrzysz, nicponiu, jakbyś mnie zjeść chciał? Dawaj bułkę."

— Imam dla siebie, nie dla was.

— To ja ci zapłacę, ile tam się należy.

— Nic się nie należy, mam ją dla siebie nie dla obcych.

— Eh! ktoby tam z wami bawił się długo w korowody!

To rzekłszy, obejrzał się po kramie, a nie znalazłszy nigdzie żądanego przedmiotu, postąpił naprzód w celu odszukania go w drugiéj izbie, która prowadziła do prywatnego pomieszkania bakała. Bulgar poskoczył do drzwi i zatarasował sobą wejście. Wachmistrz rozdrażniony oporem, zakląwszy od stu tysięcy, popchnął Bulgara i postąpił naprzód. Wszczęła się bójka, wśród któréj broniący ogniska domowego bulgar nie poskąpił pięści, na co wachmistrz odpowiedział cięciem go w głowę pałaszem. Na krzyk i hałas zbiegli się

(1) Tamże

bulgarzy i przyszedł patrol rosyjski. Przy bliższém przesłuchaniu okazało, że wachmistrz domagał się *bułki*, ale *bułka* oznacza w bulgarskim języku kobietę—żonę, któréj bulgar nie miał żadnéj ochoty pozbyć się choćby za największą kwotę piastrów lub rubli.

• •
•

Z pieśnią w Bulgarii nie to co w Serbii, która na równi z Ukrainą stała się klasyczną ziemią pieśniarzy, odtwarzających całe rapsody, ba, nawet skończone epopeje przeszłości dziejowéj. Trudności z powodu zbioru pieśni rodopskich Werkowicza, doznawane tak przez niego samego, jako téż tych, którzy go chcieli kontrolować (1), przekonywają jak mało przechowuje się w ustach ludu bulgarskiego téj żywéj historyi narodu, jak ją trzeba wydobywać z pleśni zapomnienia, jak ją niechętnie udzielają tam swoim i obcym. Głębsze jeszcze warstwy téj pleśni zapomnienia uległy się na tych pieśniach, które są świeższéj daty od t. z. orfeuszowych Werkowicza—na pieśniach już nie mitycznych, lecz historycznych. Udało się jednak wydobyć niektóre z nich, a pomiędzy niemi dotychczas trzy, odnoszące się wprost do dziejów naszych, a sławiące te dwa ich epizody, które głośnym oddźwiękiem odezwały się na szerokim świecie, w całéj Słowiańszczyznie i przedewszystkiém w południowéj: potrzebę warneńską i wiedeńską (2). W jednéj z nich wojewoda Janko wykłada znaczenie snu pewnéj dziewczyny, która jakby uosabiając w sobie uśpioną w niewoli Bulgaryą, woła z tęsknotą:

„Ach, gdzie ty, gdzie jesteś, sławny królu Władysławie,
Mój ty Budimski królu!“

kończy smutną beznadziejną apoteozą Warneńczyka:

„I spadła głowa złotowłosa króla Władysława
Mocarza ludów,
Króla słynnego po wszechnicy ziemskiéj!“

W drugiéj pieśni wojewoda Janko, dowiedziawszy się o okropnéj wieści, powstaje chory z łoża i leci na kosowe pole, gdzie szukając między poległymi rycerzami głowy Władysława króla, zamiast niéj znajduje jego rękę prawą i przywozi ją do Budy:

---

(1) Wyborny przegląd tego zbioru i całéj odnoszącéj się do pieśni rodopskich literatury podał rodak nasz p. Grabowski w *Bibl. Warszaw.* w roczniku – jeśli się niemylimy—1879 lub 1880 r.

(2) Wszystkie trzy pieśni spolszczył p. Aleksander Chodźko i przysłał je z Paryża Akademii Umiejętności w Krakowie, która je zamieściła w swoich sprawozdaniach wydziału filologicznego, w roczniku VIII—1880 r.

„Taki to niestety był koniec sławnego króla Władysława,
Światłego hospodara.
Króla, którego sława wiekuje, dzwoniąc po całym świecie.“

A po którym:

„Jeno płacze i jęki po wszech krajach i stronach.“

Czy lud popadłszy w niewolę obcą stracił w niéj tak dalece pamięć nawet nadziei i nieszczęść swoich, że utożsamił klęskę warneńską z pogromem Serbów, który miał miejsce o cały wiek wcześniéj; czy pieśniarz tak wielką kładł wagę na bój warneński, że bohatera jego przeniósł na Kosowe pole, gdzie się rozstrzygnęły losy całéj południowéj Słowiańszczyzny,—dość że w pieśni bulgarskiéj ginie Warneńczyk tam, gdzie zginął bohater téj słowiańszczyzny—Car Łazarz. Mimo to nie zapomina ona o dwuznacznéj roli Brankowicza, któremu snać wielką przypisuje winę i ściga go przekleństwem narodu:

„Niech piorun trzaśnie w despotę Wuka ognistego
Ogniowęża Wuka!“

W trzeciéj pieśni, poświęconéj odsieczy wiedeńskiéj, Jan Sobieski, występując jako „biały sokół północnych lodowisk“ na prośbę siwego orła (Cesarza Leopolda), leci bronić gniazda jego od ohydnéj żmii (Mohammeda IV). Król obdarzony epitetem ptaka plemienitego, sokoła ziem polskich, tarczy wiary, Władyki pięknéj Polonii—walczy jak bohater chrześciaństwa i wolności.

Pieśń pamięta dokładnie wszelkie szczegóły tego wiekopomnego czynu zgodnie z historyą: opisuje przygotowania, rozkład wojsk, wie że podług praw polskich tron jest elekcyjny, kreśli obraz spotkania się z królem księcia lotaryńskiego i oczywiście zgodnie z prawdą, a ze wstydem dla niektórych dzisiejszych fałszerzy niemieckich, nikogo innego jeno Sobieskiego widzi wodzem naczelnym i jemu przyznaje całą zasługę zwycięztwa (1).

---

(1) Przytaczamy tu tę pieśń podług przekładu p. Chodźki w całości ze względu na przypadkowy w tym roku 200 letni jubileusz odsieczy wiedeńskiéj, tudzież na małe rozpowszechnienie wśród publiczności naszéj „Rozpraw“ Krak. Akad. Um., w których pierwotnie pomieszczono ten przekład p. Chodźki:

Zgrzytnęła żmija, zézując za Rzymem
Pięknéj Italii,
I za orłem skał niemieckiéj krainy.
Wie siwy orzeł, wie on co zwiastują
Zgrzyt i zéz żmii złéj.

Ja bym uważał te pieśni tylko za bardzo szczęśliwy wyjątek w szeregu tych zjawisk, jakie powyżéj zaznaczyłem, a to w takiéj mierze, w jakiéj naród bulgarski jest wyjątkiem wśród ludów indoeuropejskich w ogóle, a słowiańskich w szczególności. Gdzie wśród ciężkich walk o byt, serce narodu zamilkło, a duch zmroziły troski o chléb, tam nawet umilkła harfa poezyi, téj ostatniéj pocieszycielki człowieka. Muzyka i pieśń staje się rzadkiém, dalekiém, zbłąkaném chyba echem tam, gdzie „siczko umriało“ (wszystko zamarło)—jak powiadają Bulgarzy. Od króla Szyszmana do księcia Aleksandra Battenberga przemknęło nad Bulgaryą więcéj niż pół tysiąca lat nie-

---

Więc do Sokoła północnych lodowisk,
Skinął że ratuj nas, bracie, ratuj, pospiesz,
Leć pomódz niedoli,
Ohydna żmija pełznie w gniazdo moje.
Żmiją tą był Car Osmański, Mohammed
Car Muzułmański.
Istny Gad! Żąda żądłem przebić i Rzym,
I Latynów. Już utkwił wzrok swój smoczy
w Orła plemienitego,
Orłem jest cesarz Leopold Austryi,
Jasny cesarz. Zna on każdą myśl żmii,
Każdą kroplę jadu jéj.
Poleca siebie i swoich białemu
Sokołowi ziem Polskich, Władyce
Pięknéj Polonii:
„Janie Sobieski, królu, tarczo wiary,
Co prędzéj do nas, mój polski Sokole,
Ptaku plemienity!
Jęczy stolica w splotach Cara—Żmii
Car—żmija chce nas zdeptać, wykorzenić
Z Niemieckiéj ziemi.
Silny to Car. Chce w Wiedniu, w ogrodzie moim
Na tronie moim, siąść w swoim turbanie,
Cesarzyć i królować.
Oblegli nas we dwakroć sto tysięcy
Turków i jeszcze dziesięć set Krymców.
Ratuj nas, bratku, ratuj!
Nie zdołam zwalczyć, a hańba poddać się.
Kara Mustafa, wielki Wezyr, wodzem
Ów przeklęty przekrzta
On co carowi kupił Tekelego.
Nie zostało nam jeno odsiecz twoja;
Polski królu, zbaw nas.
Pokaż niewiernym, że Bóg nasz, Bóg mocy!“
List czytano w głos, Król, radni Panowie,
Leli łzy rzęsiste.

woli, cięższéj brzemieniem obcego władztwa,—czas wystarczający nie tylko dla powstania jednych państw, a zniknięcia z widowni dziejowéj drugich, ale dla powstania lub upadku samych narodowości, a tembardziéj dla ich odrodzenia się lub wynaturzenia. Gdyby nawet surową krytykę rządów tureckich, przedstawionych przez ich nieprzyjaciół za kanibalskie—uważać za przesadną, gdyby nawet było się skłonnym do uznania ich w ogóle za łagodniejsze od wielu innych rządów, a takiemi one istotnie bardzo często bywały,—to przyznać trzeba, że Bulgaryi tak się dał on uczuć dotkliwie, wstrząsnął jéj organizmem, tak okropnie, że zmienił go w stopniu, jakiego

---

Król sejm zagaił w stolicy Krakowie
Jedną ręką na stół złożył koronę,
Drugą ręką, od pańskich biodr swoich
Dobywszy miecza, rzekł: „Gdybym nie chciał
„Krew lać za Chrystusa,
„Weźcie koronę, którą mi daliście,
„I, ot szablą tą precz mi z karku głowę,
Niegodną czci waszéj.
„Kto Polak, za mną na odsiecz Wiedniowi!"
Kazał bić w trąby i złote i srebrne,
Ów król polskiéj ziemi.
Dwadzieścia pięć tysięcy Junaków,
Klęcząc u stołu mocarza mocarzy,
Łączą się z Wszechmogącym;
Błogosławieństwo wszystkich uświęciło!
Król niósł chorągiew, kapłan poświęcił ją,
Król, wiary obrońca;
Chorągiew z Matki Bożéj wizerunkiem
Wręczona garstce dobornych rycerzy
Powiewała nad wojskiem.
Szli w kraj Austryi, z wiarą i z nadzieją
I z wesołością. Gdy dochodzili do granicy
Panowie pięknéj Polski,
Spotkał ich herzog Lotaryngski z pocztem
Książąt i hrabiąt. Mąż co już dwukrotnie
Wybawiał dwór cesarza.
Z nim Saksońscy i Bawarscy i jenerał Waldecki,
Bili pokłony nizkie na powitanie
Najjaśniejszego Króla.
Grzecznie rycerze obu państw Chrystusa,
Pozdrawiając się wzajemnie dojeżdżali
Do widnéj już stolicy.
Aż tu znów goniec do polskiego króla,
Nowy list z Wiednia od Bana stolicy,
Od księcia Starenberg
Pisze: Giniemy, pomóż hospodynie,

przykłady bardzo rzadko odszukać się dadzą w dziejach ludzkości. Siłę i skuteczność ciosów wymierzonych organizmowi żywemu nie należy zawsze mierzyć stopniem większego lub mniejszego ich natężenia, lecz wytrzymałością i wrażliwością samego organizmu. Nie to bardziéj boli, jak kto bije, ale raczéj to kiedy bije i kogo bije. Dla jednego sto kijów będzie bólem przemijającym, dla drugiego ciosem śmiertelnym, a dla trzeciego—gorącą podnietą do gwałtownego oporu przeciw sprawcy ciosów, do obudzenia reakcyi i świadomości obrazy. Muzułmanie podbitym przez siebie ludom zostawiali prawie zawsze ich religią i język, a przynajmniéj nie bardzo się bawili

---

Tureckie miny rwą nam Wiednia wały,
Ratuj, Dobrodzieju!
Nie mamy już ni prochu ni ołowiu.
Śmiały król Jan wnet posłał odpowiedź
Mężnemu Banowi:
„Trzymaj się, grodu im nie dawaj, idę już,
Zaklina ciebie król polski na wiarę,
Wiedeński mój Banie.
Głową nałożę, a ciebie wyzwolę.“
Potém światły król Niemieckiemu wojsku
Takie posłał rozkazy:
Porządek boju ma być następny:
Ban Lotaryński weźmie lewe skrzydło,
On mąż twardéj ręki.
Niechaj uderzy w odział Selim Baszy
Jenerał Waldek, niech dowodzi Niemcami
On najlepszy miecz w Niemczech.
Niech stawi czoło Baszom sandżaków.
Ja, król, prowadzę prawe skrzydło polskie,
Dostojni panowie,
Uderzę wstępnym bojem w pułk Wezyra.“
Tu obracając się do swego syna,
Pan korony polskiéj,
Tak rzecz zagaił rycerskiemu kołu;
„Chlubny to zaszczyt stać w odsieczy Wiednia,
Bronić go od niewiernych
Synu mój, masz tu i pole zasługi,
I pole sławy otwarte przed tobą!
Przez nie droga do tronu!
Wedle praw polskich, korony mojéj
Nie wolno mi dać nawet tobie, synu.
To własność krajowa.
Chlubniéj jest mieczem zdobyć koronę,
Niż ją wziąść w spadku po dziadach, pradziadach.
Mnie moję dali Polacy,
Dali nie pierwéj aż ją, z paszczy wroga

w prozelityzm i wynarodowianie, co o wiele zgrabniejszém bywało od prześladowań, podniecających do oporu i protestu, a więc do czynów i życia. Zachowanie się w téj mierze Turków było usypiającém dla wielu przez nich podbitych ludów i jeśli dla narodowości serbskiéj to usypianie było zneutralizowane innemi czynnikami, dla Greków stawało się obojętném w obec ich hierarchii i wpływów fanariockich, to dla Bulgarów okazało się wprost zgubném. Turcy tak się mało troszczyli o mowę i wiarę ich *psów niewiernych*, jak o szczekanie psów czworonożnych—ani mniéj, ale ani też więcéj. W tém znaczeniu najczęściéj trzeba pojmować tolerancyą turecką. A tak

---

Wydarłszy, własną piersią zasłoniłem.
Dzisiaj twoja kolej.
Zasłuż się, przyczyń do czynu zbawczego,
Wspomnij, żeś Polak Chrystusowéj wiary,
Pokaż, żeś Sobieski."
Tu młodzieniaszka przytulił do piersi
Płakał całując. Bój z obu stron wszczął się,
Bóg swoim dopomógł.
Lotaryńczyk wpadł i zgniótł Selim-Baszę.
Jenerał Waldek, owa szabla Niemiec,
Rozbił sandżakskich begów.
Król Jan, dognawszy Agę jeniczarów,
Obciął mu ramię wraz z Alaj—barakiem
Z chorągwią wojsk Cara!
I z pola bitwy, posłał ją do Rzymu,
Ojcu świętemu—Wielki Wezyr pierzchnął,
Bujne łzy roniąc,
Z małą janczarskich niedobitków garstką.
Car Mohammed aż do Filipola
Uciekł z Belgradu!
Pośród namiotu Wezyra, wodzowie
Chrześciańcy swój obiad jedli razem,
Sławiąc wielkość Boga,
Szydząc, śmiejąc się z tureckiego Cara,
Że śmiał walczyć i Wiedeń osadzić,
Car nieczystéj wiary,
Że stracił *alaj bajrak*, skarb, działa i wojsko.
W rok tysiąc sześć set ośmdziesięty trzeci,
Bożego Narodzenia,
O Jesu! wspieraj Leopolda, Pana,
Błogosław obu królom sprzymierzeńcom.
Niechaj trwają w zgodzie.
Natchnij ich duchem miłości pokoju,
A skrusz potęgę Turka, wrogów wiary,
Miłosierny Boże,
Niech nie rzeką: gdzie wasz Bóg, Chrześcianie?

pojęta—przyznać należy, że musiała wprost działać upadlająco zabijając nie tylko poczucie żywotności politycznéj i społecznéj, ale nawet wprost ludzkiéj. Grecy elastycznością swego charakteru zakorzenionemi wpływami bizantyjskiemi, bogactwami i wykształceniem potrafili uzyskać dla siebie wyjątkowe stanowisko i władzę nad innemi chrześciańskiemi ludami Turcyi. Władzę tę wykonywali najczęściéj za pośrednictwem patryarchatu i fanaryotów. Z dwóch więc stron uśmiercająco działano na Serbów i Bulgarów — ze strony tureckiéj i ze strony greckiéj. Ale gdy Serbowie mogli znaleźć reagującą i ożywiającą siłę w geograficzném położeniu, a siłę oporu w gorącéj wierze i tradycyach religijnych,— Bulgarowie byli pozbawieni jednego i drugiego. Gdy granice Serbii nie były granicami Turcyi, gdy państwo Osmanów nie objęło sobą nawet spuścizny Duszana Wielkiego, bo po za niem rozciągało się aż do Adryatyku wielkie plemię Serbskie,—więc czy to z dzierżaw korony Św. Szczepana, czy z dalszéj Kroacyi lub z kwitnącego Dubrownika, albo wreszcie z wolnéj i wiecznie walczącéj z muzułmanami Zety, późniejszéj Czarnogóry, dolatywały głosy żyjącéj, pełnéj otuchy braci, płynęła z falami modrego Dunaju złota pieśń wolności, co jak strumień orzeźwiającego źródła napawała pierś tęskniącego w niewoli tureckiéj Serba nadzieją lepszéj przyszłości, pobudzała go do ustawicznéj czujności i straży uczuć narodowych, krzepiła omdlewające siły i nie dawała nie tylko zamrzéć w nim świadomości narodowéj, ale nawet nie pozwalała na przytępienie uczucia téj świadomości.

Bulgarya, przeciwnie, wtłoczona cała w obcy jéj organizm, odcięta od styczności z pokrewnemi ludami i przylegająca bezpośrednio do centralnego siedliska zaborców, wystawioną została na pierwszy i ciągły krzyżowy ogień wrogich dla niéj czynników: tureckiego, greckiego, rumuńskiego i albańskiego; pozbawioną wszelkiego poparcia z zewnątrz, sama się pozbawiała wewnętrznéj siły oporu, własnych ożywczych a pomocniczych do podtrzymania żywotności narodowéj źródeł.

Taką siłą pomocniczą i takiém źródłem mogło być gorące uczucie religijne i poczucie świadomości w zorganizowanym własnym kościele narodowym.

Jeśli fanatyzm religijny w narodzie, mającym byt ustalony i niezawisły, jest szkodliwym dla niego, pochłaniając wszystkie siły i przeszkadzając swobodnemu onych rozwojowi, — to u narodów bądź zagrożonych w swym bycie przez sąsiadów, bądź pozbawionych tego bytu, a niedorosłych jeszcze do świadomości rozrządzania innemi środkami obrony, — staje się pożytecznym, a nawet koniecznym, właśnie dla tego, że naród taki potrzebuje wówczas wszystkie

swe siły wytężyć i skierować tylko ku jednemu celowi — odzyskaniu bytu, potrzebuje im nadać jeden ster i jeden potężny, niezłomny hart, nie wdający się w żadne pakta, w żadne osłabiające pogotowie obrony pertraktacye. Taką bezwględność w chwilach nie dość jeszcze rozwiniętéj świadomości narodowéj daje tylko gorące uczucie religijne i egzaltacya tego uczucia—fanatyzm.

Nie pierwszą dawał żydom siłę Jehowah i nie ostatnią Słowianom—Bóg Słowian.

Serbowie mieli taki fanatyzm, nie mieli go Bulgarowie. Toć, gdy pierwsi nie tylko wcześniéj i sami podjęli walkę przeciw obcemu władztwu (walkę, któréj skuteczność bywa w takich razach często zawisłą od szczęśliwego zbiegu okoliczności), ale — co ważniejsza — potrafili niezmiennym zachować charakter plemienny i narodowy, a przez żywe zachowanie tradycyi utrzymać ciągłość (dziejowego) organicznego rozwoju swych właściwości narodowych, drudzy przy nadzwyczajnych, często sztucznych, wysiłkach emigracyi i pod działaniem zewnętrznego impulsu przyszli wprawdzie do bytu politycznego, ale zupełnie innymi, niż kiedy byli tracąc ów byt przed półtysiącem lat. Między dzisiejszą a ówczesną Bulgaryą żadnéj zgoła niema żywéj, organicznéj łączności.

Jeśli dotychczas dokładnie jest zbadana istota bogomilizmu, to on w dziejach wynaturzenia Bulgarów nie mniéj od powyższych politycznych przyczyn odegrał ważną rolę i bezpośrednią był negacyą fanatyzmu. Jeśli dziś lub w przyszłości działalność jego może być pożyteczną dla tego narodu, to co do przeszłości — nie w porę on się zjawił na drodze żywota dziejowego potomków Kruma. Zawczesnym był on dla nich. Bulgarya niedojrzałą była do przyjęcia jego. Wprowadziwszy kontemplacyą, racionalizm i indeferentyzm, zobojętnił on gorącość uczucia religijnego, a z niém patryotycznego i pozbawił ich zapału potrzebnego do walki, tego samego zapału, który w religii rodzi fanatyzm, w patryotyzmie—entuzyazm.

Czy większém lub mniejszém było działanie bogomilizmu, czy wszystkie obok niego czynniki przeciwne pierwotnemu jestestwu narodowemu Bulgarów działały razem, czy spółrzędnie lub osobno, dość, że widzimy jako skutek ich — fakt wynaturzenia narodu, zjawisko, któremu podobne trudno napotkać w dziejach. Gdyby nic innego nie pozostało na świadectwo tego, to już sam język ich świadczy, jak okropną była ta zmiana, przez jakie przewroty i kataklizmy przejść musiało wewnętrzne życie tego narodu, aby podobne wywołać zmiany!

Jedna część narodu przygotowaną już była bogomlizmem do zobojętnienia(1), drugą sprowadziły na tę samę drogę owe niezwykłe zmiany polityczne i otoczenie obce. W pośród niego ocknął się Bulgar jak ów człowiek, co straciwszy szczęście, boi się wspominać o niém, aby przez wspomnienie nie odświeżać i nie jątrzyć, zabliźniającéj się pod wpływem uśpienia uczuć, rany. Sięga on wówczas chętniéj myślą w epokę młodzieńczości swojéj, kiedy spokój dziecięcy na łonie natury nie rozbudzał jeszcze rozkosznych namiętności życia, ale téż nie sprowadzał późniejszych walk, zawodów, goryczy i bólów. To téż nam tłómaczy, dla czego u Bulgarów mniéj odnaleść można pieśni odnoszących się do złotego wieku ich życia dziejowego i walk z Grekami lub Turkami, a więcéj podobnych rodopskim Werkowicza z dalszéj zamierzchłéj i spokojniejszéj starożytności, nie stykającéj się bezpośrednio z pamięcią o utraconéj niepodległości narodowéj.

Gdy raz wkroczono na drogę zapomnienia i obojętości, rwały się jedna za drugą nici tradycyi narodowéj i łączności z przeszłością, a w ten sposób organizm narodowy pozbywał się stopniowo dawniejszych właściwości. I stało się, że w ciągu półtysiąca lat przerodził się Bulgar z wojowniczego — w spokojnego, z walecznego — w potulnego, z odważnego — w lękliwego, z niebacznego—w oględnego, z rozrzutnego—w oszczędnego, z rozpustnego — we wstrzemięźliwego, z próżniaczego i hulaszczego—w pracowitego, z otwartego—w podejrzliwego, z gościnnego—w niegościnnego.

Znam dwa narody słowiańskie, które w ciągu wieków pozbyły się cnót i przywar słowiańskich, a nabrały zalet i wad, obcych słowianom, oba—mimo to rwące się namiętnie do życia słowiańskiego i bojujące zarówno i jednakowo w imię idei słowiańskich—Czechów i Bulgarów. Między nimi ta tylko różnica, że pierwsi ulegli tym zmianom przez wpływ obcych sąsiadów (Germanów), ale wpływ łagodny i bezpośredni drogą syntezy: drudzy — przez reakcyją i antytezę. Jeśli rwąc się do życia słowiańskiego, odczuwając jego potrzebę, świadomie (Czesi), lub bezwiednie (Bulgarowie) potrafią oni choć w części odzyskać utracone właściwości słowiańskie dodatnie i pogodzić je z nabytemi cnotami obcemi, odegrają oba niepospolitą rolę w dziele odrodzenia Słowiańszczyzny i tych wielkich przeznaczeń

(1) Co do obojętności znacznéj części ludu bulgarskiego podczas wojny 1877—78, zauważał p. E. Utin (w *Wiestn. Jewropy* 1878, czerwiec); że ta obojętność -- czyli jak on trafnie wyraża się—bierność jego była nietylko rezultatem dziejowym, lecz następstwem nieufności świeższéj daty i skutkiem zachowania się władz rosyjskich.

dziejowych, które dla niéj w przyszłości zdają się gotować jéj stan liczebny, aspiracyje i cnoty.

• • •

Powiedzieliśmy wyżéj, że w duchowieństwie bulgarskiem tolerancya zawisłą była od wykształcenia jego i stanowiska zajmowanego przezeń wśród kleru greckiego (a tu dodamy:—i wśród własnego ludu), jako też od pozycyi osobistéj w hierarchii kościelnéj i że sama hierarchia żadnéj pod tym względem nie dawała dyrektywy, w przeciwieństwie z patryarchatem greckim, który u siebie wszystkiém kierował, a więc i sprawami politycznemi.

Przytoczyłem zapatrywania egzarcha. Czytelnik widział jak ten zwierzchnik religijny, a podług zwyczajów i przywilejów tureckich—i polityczny swego narodu, rezygnował dobrowolnie ze swoich wpływów i pozostawiał ludowi oraz podwładnemu duchowieństwu wolność działania, a czynił to nie tylko ze słabości charakteru lub chwiejności stanowiska swego, lecz dla braku tradycyi i w myśl usposobień narodu, nie pozostawiającego duchowieństwu szerokiego pola do działania. Widzieliśmy wykształcenie i kierunek myśli, tudzież działania takiego biskupa macedońskiego. Wykszałcenie to i działalność jak na prałata wschodniego wcale nie niepospolite, zawdzięczał on nie swemu stanowisku, lecz własnym zasługom i własnemu popędowi, co znaczy, że wykształcenie to było wyjątkowém i nie wszyscy koledzy jego dorównać mu mogli, a im niżéj w hierarchii stał duchowny, tém bardziéj też zniżał się poziom wykształcenia jego. Proboszczowie mało co więcéj umieli od chłopów, a często nawet nie umieli się podpisać. Jeśli więc fanarioccy hierarchowie poniżali stanowisko jego tak dalece, że kapłana bulgarskiego mogli używać do posług stajennych, to właśni ziomkowie nie znajdowali możności i powodów do wynagradzenia mu tego poniżenia swojemi względami. Opłakane to i godne pożałowania stanowisko duchowieństwa, nie pozostało bez wpływów tak dodatnich jak ujemnych na charakter narodu i działalność społeczeństwa.

Jeśli jednak—jak powiedziano—tolerancya duchowieństwa bulgarskiego była zawisłą od stopnia wykształcenia jego, to nie należy tego twierdzenia brać w znaczeniu zwykle przyjętém przy normalnym toku dziejów. Wręcz przeciwnie, Bulgarya jak pod innemi względami, tak i w tym razie stanowi wyjątek i staje w sprzeczności nie tylko z innemi ludami ale i z najbliższą a sąsiednią jéj Serbią. Gdy bowiem w téj ostatniéj jak gdzieindziéj wyższe duchowieństwo jeśli bywa wykształceńszém to tém wykształceniem miarkuje i łagodzi zapędy fanatyzmu, a niższe, ciemniejsze działa na lud fanatyzmem,

w Bulgarii jeśli gdzie to u wyższych dygnitarzy duchownych znaleść można było nie powiem fanatyzm, lecz wyrozumowaną zawziętość polityczno-religijną zbliżoną do sztucznego fanatyzmu, w niższém natomiast duchowieństwie, przy całéj jego ciemnocie brak zupełny fanatyzmu i chyba tylko niekiedy bierna zawziętość — jako rezultat upośledzeń i skarg na los opłakany. Co oczywiście nie dawało mu wpływu na lud.

Na indeferentyzm więc religijny Bulgarów składały się zarówno reminiscencya bogomilizmu, nieszczęsne dzieje półtysiącletniego obcego panowania i stanowisko duchowieństwa. Ono jedno mogło żywić znicz narodowy Bulgarów. To téż biedne podtrzymywało go narodowym obrzędem jak mogło, ale podsycać go nie było w stanie, To przechodziło siły jego. Resztę chyba porachować należy na karb zachowawczego instynktu trwałéj i wytrzymałéj natury bulgarskiéj i sprzecznego działania takich dwóch czynników jak władztwo tureckie i greckie, z których pierwsze usypiało, drugie budziło słabą nadzieję.

Pozbawione wpływu duchowieństwo, jeśli na społeczeństwo przesiąkłe indeferentyzmem oddziaływać brakiem żarliwości religijnéj nie mogło dodatnio na zewnątrz w walce z obcym najezdcą,—to z drugiéj strony brakiem fanatyzmu u siebie i tymże indeferentyzmem, w społeczeństwie zamkniętą miało drogę do oddziaływania ujemnego na wewnątrz — na charakter i ustrój społeczny narodu. Nie mogła więc tu się wyrodzić pożądliwość i wyłączność kastowa. Niepodsycany do niesnasek, intryg i sporów wewnętrznych Bulgar, rozwijał coraz bardziéj łagodność, wyrozumiałość, spokojność, cierpliwość i potulność.



Wobec tak poczciwego, spokojnego i pracowitego tych ludzi żywota, na który patrzyliśmy własnemi oczyma, — przychodzi wiadomość z Bulgarii o okrucieństwach, mordach, rzeziach i pożogach, dokonanych wzajemnie przez Bulgarów na Turkach i przez Turków na Bulgarach: obcinanie uszów i nosów miało być jeszcze igraszką w porównaniu z ponuremi obrazami rzezi całych wiosek, pożarami setek domów, rzucaniem na spisy niemowląt w ogień, pastwieniem się nad kobietami i t. p. objawami rozbestwienia, przed któremi wzdryga się wyobraźnia ludzka, a pióro odmawia posłuszeństwa.

Na pierwszą wiadomość o tych okrucieństwach pytano siebie: czy podobna aby ona była prawdziwą? Widziano w tych opisach prostą z obu stron przesadę, użytą dla celów politycznych; każda strona chciała zohydzić przeciwników w oczach Europy i pozyskać

jéj sympatyą wyłącznie dla siebie. Po ochłonięciu jednak z pierwszych wrażeń zaczęto dawać już w znacznéj mierze wiarę opisom, a fakta tłómaczono również powodami politycznemi, ale już z innych motywów: oto—powiadano— zorganizowana z obu stron agitacya rozmyślnie wywołała te sceny, aby rozpalić niemi namiętności ludowe, aby tém latwiéj popchnąć masy do walki. W końcu nareszcie dano prawie zupełną wiarę opisom, których badanie stało się ciekawym przedmiotem studyów psychicznych nad usposobieniem i charakterem mas ludowych.

Pytanie tedy jak sobie wytłómaczyć tę dzikość?

Polacy znając Turków i ciesząc się ich sympatyą, musieli im przyznać pewną słodycz charakteru, dobroduszność i poczciwość. Przy tych przymiotach stwierdzano jednak, że mordowali Bulgarów nietylko czerkiesi i baszybuzuki, ale niekiedy i spokojni, owi dobroduszni Turcy z prowincyi i Stambułu, a jeśli nie mordowali, to obojętnie patrzyli i pozwalali mordować. Dla czegóż-by więc nie mogli się na toż samo zdobyć tak samo dobroduszni i poczciwi Bulgarzy? Zagadka przez połowę została uzasadnioną, ale wcale jeszcze nie wyjaśnioną.

Pod względem społecznym i politycznym rajowie nie mogli marzyć o równouprawnieniu. Uważani oni byli i są za upośledzonych, tak samo jak u nas byli chłopi za czasów pańszczyznianych, a niekiedy nawet więcéj. Wychłostać chłopa, a nawet skaleczyć go mógł każdy ekonom lub dziedzic, nie przestając być w opinii swoich porządnym i uczciwym człowiekiem. Zupełnie tak samo uważał siebie panujący społecznie i politycznie Turek względem poddanego mu rai. Oprócz tego, Turcy już choćby z tytułu koranowego muzułmanizmu swego, nie uważając giaurów za takie same stworzenia boskie jak prawowierni wyznawcy proroka, mający prawo bytu, życia tych giaurów nie cenili na równi ze swojém, ba nawet niżéj od bydlęcego, a epitet „psi synu" zaadresowany do giaura, oznaczał nawet pewnego rodzaju komplement, dowód łaski i pieszczoty ze strony Turka.

Lecz jak było pogodzić potulność Bulgara z owemi ekscesami? Krew turańska odezwała się? Przypomnieli się potomkowie owych drużyn Kruma, wychylających czary zdrowia z czaszek pobitych wrogów?

Nie sądzę aby nawet w téj mierze należało się uciekać do teoryi Roeslerowskich. Naród któryby zachował w sobie dostateczną ilość krwi krumowskiéj, nie potrzebowałby wysadzać z łona swego wałęsających się po górach Hajduków, leczby się w nich cały zamienił i z pewnością rozprawiłby się wcześniéj i skuteczniéj ze swy-

mi zniewieściałymi z haremów władzcami. Przyczyn szukać trzeba bliżéj, a po części choćby i tam, gdzie ich szukał chłop ukraiński, również cichy, pracowity i unižony.

Nie potrzebowałbym się uciekać do reminiscencyi z gwałtów zbieraczy dziesięcin na prowincyi lub ekscesów czerkiesów, których po krymskiéj kampanii osadzono na ziemiach bulgarskich, rozdarowanych im a skonfiskowanych od prawowitych właścicieli bulgarskich. Odsyłając w téj mierze czytelników do dzieł pisanych przez anglików (1), których przecież o szczególną sympatyą dla Bulgarów posądzić niepodobna, zanim dotknę wspomnieniem kilku faktów własnemi widzianych oczyma, zwrócę uwagę na pewien utwór czysto bulgarski, który chociaż jest płodem imaginacyi, dzielnym może być probierzem objektywności pisarskiéj w literaturze tego narodu, właśnie przez to, że mamy możność skontrolowania téj objektywności zarówno własnemi faktami, jako téż owemi publikacyami angielskiemi. Wzmiankowane dzieło pojawiło się może przed 10 laty i nosi tytuł: „Neszczastna familja.“ Jest to po prostu powieść, nie mająca pod względem literackim i artystycznym zbyt wielkiéj wartości, nawet wobec skromnych wymagań ubogiego w twory literackie ludu, a u nas gdzie technika powieściopisarska posunięta do tak wysokiego stopnia, powieść ta byłaby wdzięcznym materyałem dla zoilów 4-éj klasy gimnazyalnéj. Nie brak tu intrygi powieściowéj, a przeciwnie taka jéj tu obfitość, że każdy niemal rozdział ma ją odrębnie dla siebie i czytelnik w końcu albo nie wie gdzie główny charakter, a gdzie epizodyczne postacie, albo po prostu zapomina o jednym, zanim potrafi rozpatrzyć się w drugich. Tyle tu zadzierżgnięto węzłów z ukrytych motywów powieściowych, tyle nagromadzono sytuacyj, zakrojonych na efektowność, pod względem artystycznym licho ustawionych i nużących, a psychicznie nie dość umotywowanych. Autor widocznie chciał być nad miarę zajmującym i nagromadził wielką ilość faktów, z któremi nie wiedział co czynić, ale nie wiedział tylko w powieści, za to politycznie są one aż nadto zrozumiałe i tu się dopiero zaczyna ich prawdziwa wartość.

Nieszczęsne przygody rodziny, któréj członkowie giną kolejno od miecza lub intrygi tureckiéj, stanowią treść dzieła, którego fabuła zaczerpnięta z epoki kirdżalskiéj.

Powieść to tendencyjna i jako taka odegrała ważną rolę w Bulgaryi, mniéj więcéj taką samą jak np. „Chata wuja Toma“ w Ame-

---

(1) Np. pani Mekkensi albo Barkley'a: „Between the Dambe and the Black Sea,“ tudzież „Bulgaria before the war, during seven year's“ etc.

ryce, z tą różnicą, że gdy opowiadanie pani Beecher Stow napisane we wszechświatowego znaczenia języku angielskim, było czytane przez publiczność wykształconą w Europie i Ameryce i torowało drogę propagandzie abolicionistowskiéj zarówno wśród warstw wykształconych jak i u murzynów, w kwestyi bulgarskiéj pierwszą rolę odegrały takie broszury jak Zankowa i Bałabanowa, przeznaczona dla Europy, a wcześniejsza „Neszczastna Familja“ utorowała drogę téj saméj propagandzie wśród ludności bulgarskiéj, która z zajęciem rozczytywała się w tych opowiadaniach przez cały dziesiątek lat, poprzedzających ostatnie powstanie i rzeź w Bulgaryi.

Lecz nie na saméj propagandzie polega jéj działalność, większe ma ona znaczenie jako obraz rzeczywisty cierpień Bulgaryi, które stały się jeszcze bardziéj skuteczniejszą propagandą od literackiéj.

Obarczony rodziną i zajęty kłopotami swego powołania pop wiejski, zabsorbowany bilansem zysków i strat kupiec, wyglądający paru piastrów dziennego zarobku bakał (1), lub nareszcie obzierający się bojaźliwie za zaptijem lub poborcą dziesięciny chłop— wśród ciążącéj nad nimi zmory trosk i walk codziennych o byt, znajdowali chwilę wolnego czasu do odczytywania takiéj „Neszczastnéj familij.“ Odczytywali ją nie wiedzieć już po raz który, umieli niemal na pamięć całą książkę, która od ciągłego użycia wyglądała jak zatłuszczone karty staréj kabalarki, a mimo to z dniem każdym miała ona dla nich coraz większą ponętę, którą się upajali tak samo jak ich sąsiad Turek—haszyszem z tą różnicą, że ten ostatni zamieniał za pośrednictwem opium, rzeczywistość na ułudny świat omamień, gdy dla czytelnika „Neszczastnéj familij“ świat jéj fantastyczny przechodził ciągle w rzeczywistość, któréj nie podobna było zapomnieć, o któréj gdyby nawet chciał zapomnieć wśród pracy, to mu ją przypominali Turcy co chwila. Zamordowaną Minkę on widział w obrazie morderstwa baszy, które miało miejsce w Urhaniu; spalone gumna—to pożar w Osikowie; wymordowanie całéj rodziny—to zbrodnia pod Januklarem i t. p. . . . .

. . . .

Jakkolwiek wymownemi bywają fakta doszłe wiadomości naszéj bądź drogą ustnych opowiadań, bądź prasową, nigdy jednak wrażenia niemi wywołane nie bywają tak pamiętne, i tak przekonywające jak te, które wywołują fakta własnemi widziane oczyma, choćby takowe mniejszéj nawet były doniosłości od tamtych.

Czytało się nieraz w książkach o owych czasach, kiedy giaur jadący wozem lub wierzchem, przy spotkaniu się z Turkiem mu-

---

(1) Drobny kramarz korzenny.

siał wpierw zsiąść na ziemię i oddać selam (pokłon) wyznawcowi proroka, zanim mu wolno było daléj puścić się w swą drogę. Opis ten jak wiele innych tego rodzaju przeszedł przez pamięć, nie zostawiwszy w niéj trwalszego wrażenia.

Szedłem raz w południe przez jednę z bocznych ulic dzielnicy Galaty w Konstantynopolu. Był dzień wilgotny i mglisty. Z przybywających co chwila do portów Bosforu statków parowych i żaglowych wyładowane towary roznosili tragarze ormiańscy po kantorach i kramach Galaty. Z pomiędzy tragarzy wydzielił się nie młody już 60-letni Bulgar, dźwigający na plecach kosz z figami, a obu rękoma popychający przed sobą taczkę, napełnioną jarzynami i ogrodowizną. Czy był to najemnik pod obce produkta, czy posiadacz własnych, wiozący je z przedmiejskich (licznie uprawianych przez Bulgarów w okolicach Stambułu) ogrodów (1) na sprzedaż do miasta—nie wiem; ale Bulgar z ciężarem swym przemykał się powoli i ostrożnie przez gwarną i tłoczącą się na wszystkie strony rzeszę przekupniów galackich, a gdzie mógł przy podsieniach lub na skrzyżowaniu się ulic znaleść trocha wolniejszego miejsca,

---

(1) Zmarły slawista, profesor kazańskiego a następnie odeskiego uniwersytetu, Wiktor Grygorewicz w sprawozdaniu ze swojéj „Podróży po europejskiéj Turcyi“ w 1844 r, tak pisze o Bulgarach w Konstantynopolu: „Samych Bulgarów (oprócz innych Słowian) liczą tu około dwudziestu tysięcy. Główne ich zajęcie — sprzedaż sukna własnego wyrobu. Oprócz tego trudnią się sprzedażą wełnianych materyj, tytoniu i olejku różowego wybornéj jakości.“

Od tego czasu znacznie powiększyła się liczba téj ludności, a to zarówno w samém mieście Carogrodzie, jak w okolicach jego, gdzie rola i ogrodnictwo prawie przeważnie w ich ręku zostaje, a skąd osady ich ciągną się rzadko przerywanym łańcuchem w głąb Rumelii i Macedonii. Plantacye słynnego tytoniu macedońskiego i wyrób olejku różanego, sławnego na Wschód cały, a którego produkcyą przeważnie dostarczają różane doliny Kazanłyku — spoczywają wyłącznie w ich ręku. W samém mieście oprócz zajęć wzmiankowanych przez Grygorowicza, są oni głównymi producentami jarzyn, owoców i nabiału, i te produkta spieniężają na rynkach stambulskich zarówno w stanie surowym, jak przetworzonym, w postaci różnych leguminowych, cukrowych, piekarskich, ryżowych wyrobów i słynnych orientalnych bakalii (hajwy, rahat—łukumu itp), sorbetów, jahurtu etc. To też t. z. bakały (w znaczeniu drobnych francuskich epicierów) z nich się głównie rekrutują. Mając drobne i większe handle korzenne, robią też konkurencyą Grekom i Ormianom w wielkim handlu miejscowym i transytowym, lecz wykluczając ze sfery swéj działalności spekulacye giełdowe, jako specyalność grecko-ormiańską,ześrodkowują ją w kantorach i składach towarowo-kupieckich, z których nie jeden nabiera znaczenia pierwszorzędnéj firmy. Ich uczciwość kupiecka i pracowitość stawia ich na pierwszém miejscu w szeregu innych narodowości, trudniących się handlem w Konstantynopolu, który oni od czasów Kruma i Samuelów ponownie zdobywają i zdobywają wprawdzie nie orężem, ale za to bardziéj trwałą i stanowczą— pracą pokojową.

przystawał, opierał kosz o mur, opuszczał z rąk ramiona taczki i rękawem sukmany ocierał obficie spływający po twarzy pot, zmieszany z kroplami osiadającéj na niéj mgły; poczém odetchnąwszy i poprawiwszy na pofałdowaném troskami czole fez spotniały, podnosił kosz i taczkę i puszczał się w dalszą drogę. Tak dostał się aż w ową ulicę, która wybiegła po za tarasę pochyłéj ku morzu Galaty i skierowywała się ku Pera, gdzie stając się szeroką była mniéj gwarną, mniéj uczęszczaną przez Greków i Ormian, a zamieszkałą więcéj przez ludność turecką. Szerokość jéj była taką, że mogły po niéj przejeżdżać i wozy. Jakoż w chwili kiedy nasz Bulgar wszedł na nią ze swoim ciężarem przejeżdżał środkiem jéj próżny wóz zaprzężony parą bawołów, które poganiał idący przy nich chłopczyna 8-letni, również Bulgar.

Stary chcąc ulżyć sobie ciężaru i snać wiedząc że chłopiec bądź jest jego swojakiem, bądź pochodzi z tego samego co on czyfliku (1) i dąży w tę samą stronę, skinął na niego, aby przystanął. Gdy bawoły zatrzymały się, Bulgar podwoił kroku i już się zbliżył o parę łokci do wozu, aby na nim zostawić kosz z figami, gdy z pobliskiéj przecznicy wybiegło kilka anatolskich psów i rozłożywszy się w poprzek ulicy, zatarasowały przystęp do wozu. Psy stambulskie żyjąc bez właścicieli na ulicach w pół dzikim stanie, staczają ustawicznie zażarte między sobą walki, ale na ludzi prawie nigdy nie rzucają się i spłoszone chętnie ustępują im z drogi. Turcy jednak i pragnący do nich zastosować się rajowie nietylko nigdy nie uderzą tych w szczególnéj u nich czci zostających zwierząt, ale nawet prostém nawoływaniem nie spędzają ich z drogi, jeno w wypadku, jak powyższy, objeżdżają inną ulicą, lub czekają aż pies sam ustąpi, co rzadko się zdarza, bo i psy przyzwyczajone do takiego obchodzenia się, nie uważają za stosowne trudzić się fatygą. Bulgarowi więc pozostało tylko wązkie przejście między psami a ścianą stojącego w tém miejscu domu tureckiego. I przejście to może by było wystarczające dla niego, gdyby nie kilkunastoletni wyrostek turecki, który apatycznie dotąd gapiąc się przy bramie domu, w chwili układania się psów na ulicy, wysunął się naprzód i nieruchomo na nie spozierając rozkroczył się i zatarasował sobą to wolne przejście.

Bulgar zatrzymał się, spojrzał na psy i turczynka, a nie widząc możności dostania się do wozu, zaczął czekać cierpliwie. Minęło pięć minut, dziesięć, kwadrans: sytuacya w niczém się nie zmieniła; z omdlewających jeno rąk Bulgara usunął się powoli kosz na zie-

---

(1) Wioska, osada lub futor.

mię, a właściciel jego powiódł wzrokiem łagodnym i cierpliwym po psach i wozie, a następnie skierował go na wyrostka i ponownie otarł pot z czoła. Poczém postąpił krok naprzód, usiłując ostrożnie przecisnąć się po przed bramą domu.

— Ja, sak! (1)—zawołał z naciskiem wyrostek, nie odwracając oczu od psów a potém zaczął kilkakrotnie mruczéć pod nosem następujący werset z koranu: „Niewierny, który się wzbrania wierzyć w Islamizm, gorzéj bydlęcia ohydny jest Bogu“ (2).

Bulgar cofnął do dawniejszéj pozycyi i znów zaczął czekać cierpliwie.

Minął drugi kwadrans. W położeniu sceny i w usposobieniu aktorów nic się nie zmieniło i niewiadomo jak długo przeciągnęłaby się próba wschodniéj cierpliwości, gdyby nie odezwanie się chłopczyny bulgarskiego, który przypomniał czas spóźniony i porę śpieszenia się na Perę.

— Tuka! (tu, tedy) — zawołał stary z rezygnacyą i kazał cofnąć wóz o pół kroku wstecz aż do samych psów, a unosząc kosz w górę i potém przed siebie, pochylił się po nad niemi, wytężył się pochyło całym korpusem ciała naprzód i podał ciężar chłopczynie, który ku niemu wyciągnął ręce, wyskoczywszy na półdrabek wozu. W téj chwili jednak tak wskutek znużenia, jak nienaturalnéj postawy ciała, traci równowagę, wypuszcza ciężki kosz z rąk, a sam pada twarzą na ziemię. Łomot padającego Bulgara, krzyk przestraszonego chłopczyny, szczeknięcie i odskoczenie psów, tudzież zaklęcie turczyna zmieszały się w jeden chaotyczny hałas, doraźny, błyskawiczny, niezrozumiały! I byłoby jednak skończyło się wszystko spokojnie, bo Bulgar nie doznawszy szwanku, powstał spokojnie z ziemi i zaczął zbierać rozrzucone figi, gdyby nie okoliczność, że część ich spadając na ziemię potoczyła się w kierunku stojącego na jedném miejscu turczyna i spadła na jego sandały.

— Syktyr, przeklęty giaurze! Gdzie ty swoje ślepie podziałeś!? krzyknął wyrostek turecki, wyszedłszy z dotychczasowego milczenia i podnosząc pięść w górę.

— Jam nie winien, effendi—tłómaczył się Bulgar — dużo ciężki kosz był.

— Milcz stary niedołęgo, ja cię tu nauczę ostrożności i porządku!

— Ależ, effendi, jam ostrożny, tylko ty, effendi, nie chciałeś naszego ciężaru puścić.

---

(1) Nie wolno. — (2) Patrz Koran, rozdz. VIII, p. t. Łupy, werset 57.

— To ty, psie niewierny, chciałbyś może po głowie mojéj przenosić twój ciężar?! krzyknął piskliwie wyrostek, a pięść jego dwukrotném uderzeniem spadła raz poraz na plecy pochylonego nad figami Bulgara.

Stary jeno stęknął, pochylił się jeszcze bardziéj, a potém nieco się podnosząc, schwycił się ręką za krzyże, ale zamilknął, a w milczeniu pozbierawszy figi, wsypał je do kosza, który ustawił na wozie, a gdy bawoły ruszyły z miejsca, ujął w rękę taczkę i posunął powoli za niemi. Wyrostek tymczasem idąc za nim, klął i złorzeczył, pieniąc się od gniewu i złości, a w końcu kopnął go nogą. Wyprostował się na chwilę Bulgar, ale i ten cios przyjął, jakby zasłużony, z pokorą, uchylił się tylko nieco w stronę, a w milczeniu i ze spuszczoną na dół głową pociągnął daléj za taczką i wozem. Niewiadomo było—czem się bardziéj oburzać—czy jego uległością, czy zuchwałą nikczemnością wyrostka tureckiego, który gdy doń przypadłem w zamiarze skarcenia i powstrzymania wściekłych jego zapędów, skrył się w domu, zatrzasnąwszy z oburzeniem drzwi za sobą...

Panująca więc rasa turańska w poczuciu swojéj wyższości dawała ją uczuwać niemuzułmańskim rajom, nawet w codzienném życiu i we wszystkich sferach, czy téj rasy przedstawicielem był rząd lub ludność.

Pokazywano mi na ulicach Konstantynopola rozjeżdżającego oficera czerkieskiego, który zostawał w czynnéj służbie, ba nawet należał do gwardyi sułtańskiéj, o którym jednak powszechnie powiadano, że dla zdobycia do swego haremu jakiejś pięknéj greczynki czy bulgarki wymordował jéj rodziców i całą rodzinę, zrabowawszy jednocześnie ich kosztowności!

W czasach tak burzliwych jak wojna ostatnia, w któréj Bulgarya zdawała się być bezpośrednim przedmiotem walki, niebezpiecznie było niemal przyznawać się do bulgarstwa lub do stosunków z Bulgarami. zwłaszcza w obec zaprowadzonego w Stambule stanu oblężenia. Ten sam rząd, który nie potrafił okazać się ani dość sprężystym na polu walki orężnéj, ani dość przezornym w wyśledzeniu zdrajców między własnymi funkcyonaryuszami, posuwał względem franków (1) lub rajów podejrzliwość swoją nie raz do śmieszności.

W parę tygodni po audiencyi mojéj u sułtana, pewnego poranku witano mię mile jako gościa pożądanego u ministra oświecenia,

(1) Europejczyków w ogóle.

(Mumf effendiego) a wieczorem tegoż samego dnia byłem już pod strażą wojskową u drugiego ministra—policyi (Hamdi baszy), na rozkaz którego przeprowadzono w pomieszkaniu mojem rewizyą, zabrano papiery moje i mnie samego, wbrew protestacyi za pogwałcenie kapitulacyi konsularnych, warujących obecność przy podobnych aktach urzędnika odnośnéj ambasady. W obec takiéj niespodzianki, kiedy mię wśród nocy wieziono kaikiem przez Bosfor, mogłem się już konsekwentnie spodziewać nawet zaszycia w wór i zgodnie ze zwyczajem staro-tureckim—wrzucenia do morza. Skończyło się wszystko na 10 godzinnym przymusowym pobycie w ministeryum policyi, zkąd zostałem wypuszczony dzięki rozkazowi Edhema-baszy i energicznéj interwencyi jeneralnego konsula, p. Estreichera.

Nazajutrz jestem ze skargą u Wielkiego Wezyra.

— Znaleziono u pana zapewne niemiłe dla Niego corpus delicti—rzekł Edhem-basza sztywnie w odpowidzi na powitanie moje i ukazał mi zdala egzemplarz owego bulgarskiego regulaminu dla powstania, który mi dano w Bukareszcie.

— Czy do owego corpus delicti mają się zaliczać i moje krytyczne uwagi, poczynione tam na marginesie ołówkiem błękitnym? zapytałem, sięgając ręką po broszurę.

— Ależ pański egzemplarz jest tam na biórku razem z innemi papierami. To zaś—mój egzemplarz.

— Ach! tak!? Więc to znów corpus delicti Waszéj Wysokości!—odrzekłem z uśmiechem.

— Effendi zapomina, że my z urzędu swego musimy mieć wszelkie odnoszące się do téj sprawy publikacye.

— Zupełnie tak samo jak my, publicyści, z naszego urzędu i obowiązku wiedzenia o wszystkiém i powiadomienia o wszystkiem ogółu.

— Czy i o tajemnicach stanu?

— A, to zdaje się rezerwował dla siebie teraźniejszy pan minister policyi.

— Jak to mam rozumieć?

— Hamdi basza musiał chyba mieć kogoś ze swoich niewidzialnych stronników obecnym przy owych rozmowach Waszéj Wysokości ze mną, kiedy byłem proszony o danie opinii o stanie umysłów w Europie, Polsce i Rosyi; zapewne i aresztował dla tego, aby się dowiedzieć o treści powierzonego mi z rozkazu Jego Ces. Mości, memoryału. Memoryał snać zaspokoił jego ciekawość, ale uzasadnić nie mógł potrzeby rewizyi i aresztowania. Do tego wybornie nadał się egzemplarz regulaminu bulgarskiego. Gdy się teraz pan minister

dowie, że takiż sam egzemplarz posiada Wasza Wysokość, gotów jest naprzód już zamiast dla siebie—przygotować dla swego Sadrazama (1) apartamenta w Czeragonie (2). A gdyby nie jeneralny konsul Estreicher...

— Je ne vous croyais pas si méchant ou plutot si malicieux!.. Pauvre Hamdi pasha... rzekł wielki Wezyr, usiłując powagą urzędu swego powstrzymać cisnący się na usta jego uśmiech.

Kres dalszéj rozmowie położyło wejście kilku dostojników tureckich.

Jeśli więc europejczyk, wśród najbardziéj sprzyjających dla niego warunków, mógł być narażony na niebezpieczeństwo, można więc sobie wyobrazić—co za miecz Damoklesa musiał być zawieszony nad głowami bezbronnych rajów bulgarskich! W owych chwilach rozdrażnienia, potęgowanego klęskami wojennemi, które nastąpiły po bohaterskich walkach Osmana, Turcy mniemali, że sama groźba już nie wystarczy. W srogości ich ówczesnéj niewiadomo czego szukać—czy aktu zemsty, czy kary na postrach. Przed mostem bosforskim, którędy codziennie przesuwały się stutysięczne tłumy ludu z jednego brzegu na drugi, ustawiono szereg szubienic, na których powieszono jedenastu Bulgarów, obwinionych o zdradę stanu. Przez trzy dni wystawione na widok publiczny zsiniałe ciała skazańców stawały się z góry łupem sępów i kruków, u dołu—przedmiotem ciekawości różnojęzycznéj gawiedzi ulicznéj, od któréj zdala uciekali Bulgarzy. A jeśli ten lub ów z nich był zmuszony przechodzić tamtędy, to w ponurém lub bojaźliwém milczeniu odwracał twarz swoję od tego piekła dantejskiego i chyłkiem przemykał się tam, gdzie mniejszą zwracano uwagę na jego bulgarskie pochodzenie.

W snujących się podówczas po mieście postaciach bulgarskich ten niemy spokój ich twarzy, ta apatyczność wejrzenia, to unikanie w rozmowach wzmianki o ówczesnych wypadkach i grobowe milczenie o roztrzygających się losach ich kraju i własnych osób, miały w sobie coś tak złowrogiego, że strachem przejmowały obojętnych nawet widzów. Patrząc na tych ludzi, jak pod grozą szerzącéj się na okół nich łuny, oddają się z największym spokojem i flegmą swym codziennym zajęciom—przychodziło się do przekonania, że albo to są martwe jak głaz istoty, w których zamarło wszelkie uczucie, albo

---

(1) Wielki Wezyr

(2) W pałacu Czeragonskim był zamknięty eks-sułtan Murad, a Hamdibaszę mianowano w sferach antagonistów jego, do których zaliczano i Edhema baszę—za muradystę i podejrzywano o należenie do spisku księżnéj Arystarchi-bejowéj.

pod całunem zewnętrznego spokoju i obojętności kryje się wulkan namiętności, czekających tylko sposobnéj chwili, aby wybuchnąć całą grozą hamowanéj wiekowém znęcaniem się cierpliwości, a w potokach krwi i płomieniach ognia ugasić swą zemstę.

Jakoż—rzeczywistość stwierdziła istnienie jednego i drugiego. Jedni pozostali i nadal spokojnymi kramarzami, kupczącymi z wrogami lub przyjaciołmi wódką i chlebem na grobach braci, drudzy gdy im ręce rozwiązano nad Dunajem i w Bałkanach, rzucili się z szałem hien i tygrysów na rzeź i pożogę. Gdzie więcéj było grobowego spokoju, tam na wspomnienie skrzypiących szubienic długo tajona nienawiść wybuchała tém szaleńszą i bardziéj pijaną orgią tańców śmiertelnych.

* * *

Było dwóch braci—Jowan i Panczo. Każdy z nich posiadał dostatnią zagrodę wiejską pod Kazanłykiem w rozkosznéj dolinie róż. Zapobiegliwością i pracą dorobili się znacznego mienia i poważania u ludzi, ale też jednocześnie ściągnęli na siebie czujne a pożądliwe oko czorbadżych—poborców dziesięciny. Dwa lata z rzędu wpadały te jastrzębie do zagród dwóch braci i wybierali dowolnie dla *oszuru* (1) najlepszy snop zboża i najroszkoszniejszy przypłodek żywego inwentarza. Że zaś w drugim roku bracia na czas przyśpieszyć nie mogli z wymiarem daniny, poborcy wymierzyli im okup pieniężny w trójnasób przechodzący wartość należnéj dziesięciny. Tymczasem urodzaj niedopisał, padł pomór na bydło i obadwaj bracia pozostawili swe łany nieuprawionemi w trzech czwartych częściach. Na trzeci rok poborcy, pomni przeszłorocznego oporu i kłótni, pojawili się w towarzystwie zbrojnych zaptijów i to nie we właściwym czasie, lecz we dwa tygodnie po żniwach. Napróżno bracia wysyłali do nich parobka, aby przybyli i odmierzyli sobie *oszur*. Nie przybywali, lecz czekali. A gdy nadeszła 4 dniowa słota i zboże gnić w polu zaczęło (2) pojawili się i zażądali oszuru. Gdy zboża nie było, rozpoczął się targ o gotówkę. Poborcy żądali zamiast dziesiątéj części połowę dawniejszéj wartości zboża, podług przeszłorocz-

(1) To jest dziesięciny.

(2) Przed wymierzeniem i zebraniem dziesięciny nie wolno było rolnikowi zwozić zboża z pola do stodoły. Zbór téj dziesięciny rząd wydzierżawiał prywatnym przedsiębiorcom, którymi bywają: Grecy, Ormianie lub Bulgarzy kramarze, kapitaliści wysługujący się baszom i effendim t. z. czorbodżowie. Hurtowni poborcy poddzierżawiali znów od siebie mniejsze rejony drobniejszym przedsiębiorcom, z których każdy pragnął zarobić.

nego zasiewu i dowolnego oszacowania. Wszczęła się z tego powodu bujka między zaptijami i poborcą z jednéj strony, a oburzonym Jowanem z drugiéj, a wśród bójki Bulgar zabił czorbadżego—poborcę, skaleczył zaptiję, zabrał resztki gotowego grosza, uciekł w Bałkany i został *hajdukiem.*

Panczo utrzymał się przy gospodarstwie, ograniczył się w wydatkach, stał się oszczędniejszym, nikomu się nie udzielał i powoli wychodził na skąpca; a obawiając się rabunku poborców, ukrywał przed nimi dobytek zbożowy i inwentarzowy w głębokich jamach, zaptijom zaś i mudirom (wójtom) opłacał się sowicie. Pozostawiony w spokoju, potrafił w ten sposób zebrać sporo grosza, sprzedał po paru latach nie tylko swoję, ale i braterską schedę i przeniósł się z gotówką do miasta, gdzie kupił dom, założył bukuł (kram) i został *czorbadżym.* W ten sposób dwaj bracia różnemi poszli drogami. Hajduk Jowan przybywszy w Bałkany, rozdzielił kiesę srebrnych medżydyów i złotych lir pomiędzy kolegów junaków, uzbroił się w ostry jatagan i długą rusznicę i zaprzysiągł wieczną zemstę całemu istniejącemu porządkowi tureckiemn. Od téj pory czatując w przesmykach na przejezdnych kupców tureckich, lub zbrojnych zaptijów, albo i mniejsze oddziały redyfów lub nizamów, napadał na nich, walczył zawzięcie, rozbijał i zdobytym łupem pieniędzy, towarów lub broni dzielił się z towarzyszami, a wzmogłszy się w siły spadał jak orzeł bałkański w doliny, palił wioski i wymierzał doraźne sądy tak na Turków i Greków, jak i na ziomków swoich, których podejrzywał o zbytnią uległość rządowi.

Czorbadży Panczo wszedł w miasteczku rychło w zażyłe stosunki z władzami; przed jednymi skarżył się ustawicznie na złe czasy i liche interesa; drugim nie szczędził bakczyszów i podarków, a tym i tamtym zawsze najniżéj się kłaniał i najpierwszy całował szaty Wekila. Gościnności nie znalazł u niego podróżny, a gdy szło o zbudowanie cerkwi, popi nie mieli odwagi zakołatać do drzwi jego o składkę. Ale za to gdy przyszły wybory do medżylisu, został na życzenie Wekila wybrany członkiem jego z gminy bulgarskiéj i zasiadał na dywanie razem z innymi dostojnikami miasta tuż przy samym Wekilu, którego zaufaniem niezmiérnie się cieszył. Ba, nawet sam Wali kiedy przyjechal do Sliwna, to go z lubością klepał po ramieniu, pytając—czy zdrów jesteś, psi synu, Panczo? Wiedziano bowiem, że Pancza o brak lojalności podejrzywać nie wolno: on najczystszy jaszmak jedwabiu posyłał do haremu Wekila i Walego, on pierwszy głosował za podwyższeniem nadzwyczajnéj daniny od bulgarskich przedmieszczan i najdłużéj się upierał przy karze śmierci na pięciu chłopów bulgarskich, podejrzywanych o stosunki z hajdukami.

Hajductwo i czorbadżja—to produkt rozwoju dziejowego Bulgarów pod władztwem obcém, to alfa i omega ich żywota, to zwierciadło jego, w którém przejrzéć się dadzą ich wady i zalety, cnoty i braki, charakter narodu i dążności jego.

Hajducy (1) i czorbodżowie—to dwa skrajne żywioly społeczności bulgarskiéj, po za któremi niebyło i niema dla nich wyjścia. Z jednéj strony protest krwawy przeciw istniejącym urządzeniom i władzy, z drugiéj—zbrodniczy lojalizm. Pomiędzy temi dwoma krańcami—masa ludu, oscylująca ku jednéj lub ku drugiéj stronie, w jednéj mniejszość gorętsza, opozycyjna, w drugiéj konserwatywna, paktująca z władzą za większą lub mniejszą cenę korzyści osobistych a rzadko kiedy zbiorowych i moralnych. Środek—neutralny, obojętny, poczciwy, dorabiający się uznania i stanowiska drogą polepszenia bytu ekonomicznego, ale napozór łatwo stający się narzędziem tego ze skrajnych żywiołów, który siłą go ku sobie pociąga.

Spadkobiercami hajduków stała się emigracya podczas wojny a opozycya w skupczynie po wojnie; czorbodżjów tradycya dostała się w udziale późniejszym konserwatystom. Nomina sunt odiosa. Nie mówię tu o spadkobierstwie idei w znaczeniu etycznéni, lecz bardziéj—politycznêm. Na drodze takowego spadkobierstwa powstała geneza i ukształtowanie się dzisiejszych stronnictw w Bulgarji.

Przeciw pozornéj lub możliwéj podatliwości ludu tego wpływom obcych lub własnych stronnictw politycznych, niepodobna nie zaznaczyć sprzecznego z nią objawu w naturze jego, która mu nie poskąpiła sprzeczności, często również może pozornych. Objawem tym—ogólna w całéj masie dążność do dobrobytu. Wyrobiły ją wieki całe i te warunki dziejowe władztwa obcego, które na tém miejscu nie domagają się bliższego określenia, po tém cośmy wyżéj naszkicowali. Ale i tu jak odmiennie rozwinęła się natura bulgarska od innych ludów! Gdzie indziéj fiskalizm rządu lub klas panujących i brak bezpieczeństwa mienia tudzież życia poddanych, wyradza w tych ostatnich opieszałość do pracy i zobojętnienie ekonomiczne. Tu—przeciwnie, wbrew owym ujemnym wpływom powstała i rozwinęła się

---

(1) Ze znakomitszych hajduków w Bulgarii wypada tu zaznaczyć imiona dwóch: Rakowskiego i Chitowa.

Jerzy Stajkow Rakowski z Kotty (ur. 1818—1868) nauki pobierał w Konstantynopolu, Atenach i Paryżu, wydawał w Serbii i Rumunii bulgarską gazetę, organizował egiony powstańcze i brał udział w walkach jako legionista i jako hajduk.

Panajot Chitow urodz. w 1830 r. w Sliwinie; hajdukiem został około 1855 r. Pamiętniki przez niego wydane są niezłym materyałem do dziejów nowszego hajductwa w Bulgarii.

pracowitość, oszczędność, zapobiegliwość. To też Bulgarowie nie tylko mają dążność do dobrobytu, ale i umieją go zdobyć. Prąd ten i umiejętność ta u nich wsiąkła w krew, stała się naturą, jest ogólném prawie bez wyjątków zjawiskiem. Uwaga więc nasza, uczyniona na początku téj pracy, że w Bulgaryi nie widać żebraków, nie wyda się teraz paradoksalną. Kto bliskim był żebractwa (a działo się to, jak widzieliśmy, siłą zewnętrznéj przemocy), ten uciekał w Bałkany i stawał się hajdukiem; kto innych chciał czynić żebrakami, zostawał czorbodżjem; ogół żył i pracował dla dobrobytu. A praca taka sama przez się czy się mogła obejść bez silnéj trzeźwości ducha i poczucia potrzeby samodzielności społecznéj? Stąd do poczucia samodzielności politycznéj niedaleko. Czy to pod jéj wpływem, czy pod działaniem oryentalnéj nieufności, spotęgowanéj wielorakiemi zawodami i doświadczeninmi losu, Bulgar ostrożnie przyjmuje umizgi przyjaciół i gniewy wrogów i jak Turek często się lituje lub w duchu się śmieje z jednych lub drugich. Może niezbyt świadomie i nie wyraźnie, ale zdaje się mówić ten uśmiech: Bulgarya farà da se.

Ciekawy naród z przyszłością jeszcze ciekawszą!

Jan Grzegorzewski.

LIRYKA NAJNOWSZA.

1) Marya Konopnicka. Poezye. Serya druga. Warszawa, 1883, str. 258 (Gebethner i Wolff). — 2) Stanisław Grudziński. Poezye. Warsz. 1883, str. 201 (M. Orgelbrand). — 3) Józef Kościelski. Poezye. 1861—1882. Serya pierwsza. Kraków 1883, str. 306 (G. Gebethner i Spółka). — 4) Józef Korwin Kuczyński. Poezye. Warszawa, 1883, str. 158 (Gebethner i Wolff).

Na brak chęci do pisania i ogłaszania rymowanych myśli i uczuć uskarżać się niepodobna; tytuły wyżéj wypisane a tym samym oznaczone rokiem świadczą o niéj nader poszukiwaną dzisiaj wymową cyfr, zwłaszcza gdy zauważymy, że obok tych napisów możnaby jeszcze i inne postawić. Czy ilości odpowiada jakość, czy owe wierszowane uczucia i myśli są naprawdę poetycznym i zupełnie szczerym wyrazem tak silnych, tak niepokonanych wzruszeń, że się mimowolnie w słowa przemieniają i sercom innych ludzi udzielić się pragną? Zapewne, aby na takie pytanie z całkowitą pewnością prawdy odpowiedzieć, potrzebaby pójść za wskazówką Mickiewicza, który powiada, że chcąc mnie sądzić, nie ze mną trzeba być lecz we mnie; ale gdy spełnienie tego żądania jest niepodobieństwem, musimy poprzestać na wnioskowaniu o wzruszeniach duszy z téj krwi co na lica poety wybiega, z tych słów, któremi stara się słuchaczom stan swego serca wyjaśnić. Jest-to niewątpliwie mniéj doskonały sposób poznania wnętrza człowieka, ale, niestety! jedyny, jakim rozporządza każdy słuchacz lub czytelnik a więc i krytyk, jeżeli nie dowierza fantastycznym poszeptom sławnéj niegdyś „intuicyi,“ która obiecywała przeniknąć nawskróś każdego śmiertelnika „wzrokiem wewnętrznym.“

Posługując się owym mniéj doskonałym sposobem poznania, zrobiliśmy spostrzeżenie, że poeci nasi dzisiejsi są wirtuozami, którzy najróżnorodniejsze i najsprzeczniejsze z sobą uczucia i poglądy z jednakowym talentem wyśpiewać potrafią, że dawne i nowe prądy, romantyzm i realizm istnieją w ich utworach obok siebie prawdo-

podobnie bez świadomości autorów, że zatém trudno się w nich doszukać znamienia oryginalności, istotnéj twórczości, gdy przeciwnie odtwarzanie i to bardzo wyraźnie cudzych natchnień widać niejednokrotnie. Spostrzeżenie to zaznaczone przed dwoma laty w tém piśmie, oparte było w szczególności na dwu zbiorach poezyj. Ale czy się ono z równą słusznością i w równéj mierze da zastosować do innych? Nie chcemy zgóry uprzedzać czytelników, mając się zastanowić obecnie nad czterema zbiorami zatytułowanemi jednostajnym napisem „Poezye,“ z których trzy pochodzą od autorów w poprzednim rozbiorze całkiem nieuwzględnionych.

I.

Zacznijmy od imienia doskonale już znanego. Po Asnyku największym rozgłosem cieszy się p. Marya Konopnicka; poezye jéj są poszukiwane przez nakładców i czytane przez publiczność. Od czasu do czasu jakiś utwór nie licujący z pewnemi utartemi wyobrażeniami zwraca na nią baczniejszą uwagę, przysparza jéj z jednéj strony zaciętych przeciwników, z drugiéj — gorących wielbicieli. Jednym z takich utworów w ostatnich czasach był wiersz p. n. „Z szopką.“ W nim poetka wystawiła czworo dzieci bosych z odkrytemi główkami stojących przed dworskim gankiem i drżącemi od zimna głosami śpiewających kolendę. Jedno z dzieci nagle zamilkło i zaczęło rozmyślać, dlaczego-to na wsi taka bieda i taka ciemnota, dlaczego-to dwór nie okazuje prawdziwéj względem chłopków miłości:

Widać dla chłopów nie przyszedł Bóg może....
Wszakże, choć corok do dworu chłopięta
Idą z kolendą i z szopką w téj porze,
On przecie nigdy, jak żyw, nie pamięta,
Żeby kto z dworów do chaty przychodził
I mówił: bracia, Chrystus się narodził.

Poetka wtóruje smutnym rozmyślaniom dziecięcia i jako przestrogę dla dworów, nie pojmujących swego względem ludu obowiązku, podaje słowa:

Och! aby tylko wiekowi przyszłemu
Grom pomsty twego nie powtórzył: czemu?!

Niektórzy oskarżyli autorkę o nieprawdę w malowaniu stosunków wiejskich a co gorsza o rozmyślne jakoby jątrzenie i waśnienie warstw społecznych. P. Konopnicka odpowiedziała im wierszem p. n. „Co ja sieję.“ W przewidywaniu dnia „wielkiéj przy-

szłości" poetka stara się obudzić miłość, zgodę i braterstwo, by i silny i słaby utworzyli jednę całość i dla wspólnéj doli pracowali,— lecz „serca w tłustości własnéj osiadłe i skrzepłe bezruchem, co w spokój zwodniczy chcą ukołysać sumienie—upiora" chłoszcze biczem, niewątpliwie pragnąc ich poprawy. Gdyby autorka na tém poprzestała, całe nasze spółczucie i całe nasze uznanie byłoby po jéj stronie; lecz jéj uśmiechnęła się rola przedstawicielki i mścicielki ludu, rola Słowackiego odpowiadającego autorowi Trzech Psalmów, więc zapewniając o przyszłych losach tonem prorokini: „ja wam to mówię—ja mówić mam siłę!" oświadcza, iż ona ducha swego i krew swoję sieje, iż ziarno jéj jest zdrowe i płodne i czyste, iż pragnie wstrząsnąć ziemię jak grzmot wiosenny „aż *jutro* z niéj wstaną ludzie godniejsi piastować to miano," a w końcu przepowiada swoim i ludu nieprzyjaciołom, iż kiedy „przyjdzie w słońca promieniach duch boży," to „razem z mrokami nocnemi, z krzywdą, z niedolą i z hańbą i z nędzą duchy światłości obłudnych rozpędzą, a *pająk* (?) własną udusi się przędzą;" sobie zaś zawczasu daje zupełne odpuszczenie grzechów:

A teraz rzućcie, gdy chcecie kamieniem.
Ale zaprawdę, jeżeli ja wzruszę
Pieśnią choć jednę zakrzepłą w lód duszę,
Jeśli choć jednę łzę bratnią osuszę:
Kamień—u nóg mych *upadnie ze drżeniem*!

Zamiłowanie frazesu nie liczącego się z zasadą, iż gniew próżny, gdy sił niéma, pociągnęło autorkę aż na granice śmieszności, a sprawie przez nią bronionéj żadnego nie przyniosło pożytku. Można atoli i należy wytłómaczyć sobie ten brak miary w wyrażeniu tą okolicznością, iż poetka osobiście dotknięta nie władała własném uczuciem; a takie wytłómaczenie tém skwapliwiéj przyjmujemy, iż w chwili spokojniejszéj potrafiła ten sam stosunek, który ją w rozdrażnienie wprawił, przedstawić w sposób prawdziwie rozumny i zacny. Mam tu na myśli króciutki wiersz p. n. „Na progu":

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa;
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Nie łatwo przed wzruszeniem serca przyjść do słowa.

Gdzie my od was odbiegli?... gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem w górę poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj—wielcy? a wy czemu—mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?

O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...

Otwórzcie nam ramiona! To my was szukamy.
Bośmy może winniejsi... ach! i bardziéj smutni!

Wiersze te wprawdzie to nie poezya, to wymowa, piękna i przekonywająca ale tylko wymowa; potrzeba jednak już się pogodzić z tą właściwością talentu p. Konopnickiéj, że myślom i poglądom rozumnym nie umie sprawić szaty istotnie poetycznéj. Rzeczywiście te utwory, w których tętni myśl świeża, odbiciem nowoczesnych prądów będąca, są bez wyjątku retorycznie tylko pięknemi; takim np. jest fragment V, w którym autorka wylicza pierwiastki siły i szczęścia ludzkiego, taką jest „pieśń noworoczna," w któréj nawołuje do pracy bezustannéj, do wpatrzenia się w tę słoneczność „co z przyszłych dni wschodem zabłyśnie na ziemi" a każe odbić ochoczo od brzegów przeszłości, „żegnając dni stare— kto pieśnią, kto łzami"..., takim jest fragment IX, w którym widząc czy przeczuwając zmiany w ustroju i przekonaniach społecznych, tę burzę, co świat ma zawichrzyć, każe zbudzić tego, „co karmi łaknące, poi spragnione, nagie okrywa krajem swéj szaty."

Wyliczone tu trzy poezye nie są jedynemi o treści podniosłéj w zbiorze p. Konopnickiéj; wiadomo bowiem, że poetka ta lubi przebywać w sferze oddalonéj od ziemi, w krainie cichéj i pogodnéj, „gdzie nikt uroków nie zburzy ołtarza, gdzie milkną żądze i krwi fale chłodną, gdzie się płomieniem nie zajmują lica, gdzie wzrok głębiny duchowe odkrywa," a nawet tak mocno się troska o swój poetycki majestat, iż się lęka, ażeby jéj nie znieważył pył ziemi. Co więcéj zamiłowanie to przemienia się w pewnego rodzaju chłodną namiętność, która lubi zbytkować w abstrakcyach podniebnych i nie dozwala widzieć poza niemi rzeczywistości. *On se lasse de tout, même du sublime* — zauważył Balzac, a prawdziwość tego spostrzeżenia odczuwa nieraz czytelnik w tych wysoko nastrojonych poezyach pani K., w których „mdlejące przestrachy niosą tęczowy płaszcz Boga," a dusza poetki „cała *błękitnieje*, jakby w niéj gwiazdę rozpalił kto *złotą*," w których „*przepaście* toczą skałę Syzyfową wiecznych zagadnień istnienia," a poetka pragnie „trochy słońca w konwalii kielichu," w których żar piersi poetki „przechodzi w bijący puls ziemi" a Bóg zlatuje w jéj duszę „jak one *strwożone* gołębie, co widząc chmurę *stojącą w żałobie burz i piorunów* nad stawu błękitem... lecą i... biją w wód szybę..."

Czasami pomysł bywa dobry, ale autorka jakby naumyślnie psuje go mnóstwem amplifikacyj osłabiających tylko wrażenie. Pięknym jest wiersz, gdzie poetka powiada, że wszystkie łzy ludzkie policzone są u Boga i dodaje: „Co?... policzone? — co? — i nie-

otarte?“ Zwięzłość wywołuje tu siłę wyrażenia. Lecz gdy następnie w kilku osobnych poezyach a szczególniéj w wierszu: „Ja się nie skarżę“ ta sama myśl w różnych postaciach retorycznych powraca, to wobec tych produkcyj umysł czytelnika zachować się musi jak wobec ćwiczeń, których jedynym celem pokonanie trudności stylowych. Branie na egzamin Pana Boga i wypytywanie go czém jest, co robi i dlaczego tak robi, tém komiczniejsze sprawia wrażenie, iż egzaminatorka pytań nawet stosownie postawić się nie stara. „Czy ciebie duchy zrodziły w boleści, jak matka rodzi swe dziecię“—pyta np. Pana Boga. Jeżeli p. K. zna tajemnicę duchów i ich rodzenia się, to kwestya powstania jednego z nich jest już rzeczą podrzędną; jeżeli zaś tajemnicy téj nie zna, to i odpowiedź Pana Boga nic-by jéj nie rozjaśniła... „Wstań w blaskach słońca—mówi znów do Boga — lub wróć się do rdzenia wiecznych tajemnic!“ a więc autorka właściwie nie pragnie wcale żadnego rozjaśnienia; a przynajmniéj ze sposobu wyrażenia wnioskować można, iż jéj wszystko jest jedno, czy poznać Boga w słonecznym blasku prawdy, czy też wiedzieć, że on jest tajemnicą niezgłębioną, gdyż wtedy—jak powiada — zdroje zwodnicze już jéj pragnienia drażnić nie będą!... Z tych i mnóstwa innych splątanych węzłów myśli możnaby przypuścić, że poetka albo sama wartości i wagi wyrazów nie ocenia, albo téż, że bawi się floresami retorycznemi.

Nie tylko wszakże w sferach podniebnych, w które tak lubi wzlatywać, lot poetki nie jest pewny, lecz i na ziemi, któréj pył tak ją przeraża, niezawsze równym postępuje krokiem. Jest w zbiorze jéj poezyj dziesięć utworów napisanych w podróży. Poetka naśladując Mickiewicza stara się zakołatać tęskną pieśnią do serca czytelnika, przypominając mu ciągle, że jest na obcéj ziemi i że tęskni do swoich... Zapomniała tylko, że pomiędzy jéj podróżą a wycieczką Mickiewicza do Krymu zachodzi pewna dość ważna różnica. Wieszcz nasz nie wyjechał dobrowolnie i nie mógł wrócić do kraju rodzinnego; tęsknota jego jest zrozumiała i każdy kto odczuwać cudze troski umie, potrafi znaczenie jéj ocenić; p. Konopnicka zaś lada chwila mogła się była napoić wonią łąk i nasłuchać głosu fujarek, jeżeli naprawdę do nich tęskniła; stąd trudno spółczuć jéj westchnieniom teatralnie na pokaz wystawionym. Pozowanie, dramatyzowanie uczucia równa się niemal jego sfałszowaniu; dlatego też piękne nawet liryki jak np. VI (str. 251) tracą urok, gdy podpis: *Ischl* przypomni nam intencyą, z jaką zostały napisane. Do udanéj tęsknoty przyłącza się niekiedy udana naiwność i sprawia wrażenie niesmaku. Tak np. poetka bawiąc w Ischl przygląda się słońcu, pyta: „Ty tutaj słonko?—A *kto* tam świeci nad wioską naszą lichą“

i wyliczywszy dwadzieścia kilka rozmaitych *kto* z właściwą sobie retoryczną swadą zapędza słonko „do miłéj naszéj wioski, bo tam jéj przyjdzie zmarnieć bez ciebie od tęsknot i troski.“ Czyżby przypuszczała poetka, że wraz z nią wyjechało z Mazowsza i słonko, a w wielkiéj swéj troskliwości o losy ludu, wysyłała słońce przynajmniéj do ich dopilnowania, zanim sama przyjedzie?...

Nie chciałbym jednakże, aby słowa powyższe miały podawać w wątpliwość uczucia poetki względem doli wieśniaczéj, która rzeczywiście zajmuje ją mocno, a dowodem tego zajęcia są liczne poezye ku obronie słabych i biednych napisane, oraz wiele piosenek osnutych na motywach ludowych. Bo p. K. jako istota nerwowa, lubo w sferach podniebnych przebywać pragnie, schodzi jednak do chat niskich zapominając o swym wstręcie do pyłu. Przyznaje się nawet raz, że „nigdy nie spocznie w błękitnéj téj ciszy, gdzie duch ukojon oddechem wieczności, zaledwo czuje i zaledwo słyszy namiętne skargi ludzkości,“ że „nigdy nie dojdzie do olimpijskich słonecznych tych szczytów, kędy łez niéma i niéma zachwytów, lecz tron wieczystéj pogody“ (str. 57). Możnaby jéj wprawdzie zrobić wyrzut, po co zapraszała kochanka czy téż czytelnika, żeby poszedł z nią w owę krainę cichą i pogodną, gdzie nikt uroków nie zburzy ołtarza i t. d. (str. 215—217), jeżeli wiedziała, że do téj krainy nigdy nie dojdzie; ale na to poetka nerwowa może odpowiedzieć, że serce jéj „nakształt błyskawicy, co rozpłomienia ciche noce wiosny, pali się — gaśnie — i w zmrokach ciemnieje — i leży w piersiach jak kamień na grobie i znów się zrywa jak ptaszę i mdleje i samo dla siebie ma nieraz pogardę...“ (str. 243). Wobec takiego wyznania, którego ani komentować ani wyśmiewać nie myślimy, wykazywanie sprzeczności między różnemi wyznaniami wiary poetyckiéj byłoby zbyteczne. Przyjąć tylko należy za fakt zmienność nastrojów duszy i ztąd zmienność nuty.

P. K. powiada w jednym wierszu:

> Ja będę latać jako ptak zraniony
> Nisko, nad ziemią tą, co w bólach kona,
> Bym mogła objąć z miłością w ramiona
> Smutnych miliony!
> I jak jaskółka bijąc w skrzydła drżące,
> Latać ja będę nad niskie zagrody
> Nad pola nasze i lasy szumiące
> I modre wody.

Program wypowiedziany w pierwszéj strofie spełniła autorka w szeregu „obrazków“ przedstawiających to niewinność dziewczęcia narażoną na szwank, to śmierć biedaka z braku pożywienia i ciepła,

to niedolę dziecka przedwcześnie zwiędłego a sprzedającego świeże kwiaty, to wspomnienie piosnki rodzinnéj wśród bachanalij lupanaru, to boleść matki poborem rekruta wywołaną. Obrazki te nie mają artystycznego wykończenia, nie są zupełne, prócz jednego („Chłopskie serce"); wyszukana frazeologia psuje bardzo często wrażenie. „Noc *zraniona ostrzem złotéj strzały*," dzieweczka drobna „niby obrazek *godny dyletantów*," włosy *płowe* obejmujące dziewczynę w *srebrną kaskadę* i t. p. nielogiczne lub niesmaczne wyrażenia, połączone z tyradami sentymentalnemi, albo myślami górnemi włożonemi w głowę prostaczków, jako niezastosowane do treści rażą dysharmonią. Przy téj sposobności należy zauważyć wogóle, że obok szczęśliwych porównań i właściwych epitetów znajdujemy w poezyach pani Konopnickiéj tak dziwnie niestosowne, że trudno zrozumieć, jakim sposobem mogła ich użyć autorka ubiegająca się o styl piękny. „Berło zapału," „makata z łez i potu," „rozperlone powietrze," „kwiaty wysrebrzone w *płowe* rosy" — oto przykłady przenośni. W epitetach oprócz zaznaczonéj już przed dwoma laty predylekcyi do przymiotników *biały* i *blady*, powtarzających się nieustannie, przybyły jeszcze autorce dwa: *srebrny i błękitny*. Czytamy więc: o *srebrnéj* łzie, o *srebrném* złudzeniu, o *srebrnéj* tajemnicy, o *srebrnych* harfach mórz, o *srebrnych* błękitach, a daléj o ciszy *błękitnéj*, o obszarach *błękitnych*, o *błękitnych* marach, o *błękitnych* powojach, o *błękitnych* jasnościach, o gwiazdach, sferach, głębinach *błękitnych*, o cichém *błękitném* dumaniu, o duszy co *błękitnieje* jak prawda odwieczna, o zmierzchu *obłękitniającym* świat i t. p.

Prostotą odznaczają się tylko pieśni z melodyj ludowych. Jest ich 12 p. n. „Na fujarce," 13 p. n. „Z łąk i pól," 5 p. n. „Wieczorne pieśni." Są-to jedyne prawdziwe liryki w całym zbiorze, nie wszystkie jednakiéj wartości, ale prawie wszystkie wolne od owéj wymuszonéj frazeologii, która takim niesmakiem w końcu przejmuje, że radzi jesteśmy, gdy zamiast na szczudłach zaczynamy chodzić własnemi nogami. Pieśni te są wprawdzie bardzo jednostajne: smutna nuta w nich przeważa, widnokrąg zawsze ten sam; w obrobieniu już się doszukać można maniery, — ale bądź-co-bądź prostota pomysłu i dykcyi właściwym sobie urokiem podbija czytelnika. „Na fujarce" wygrane pieśni w szczegółach tylko i to niewielu mogłyby uledz krytyce; „Z łąk i pól" najładniejsze są VII, IX, XI, z „wieczornych" niektóre strofy.

II.

P. Grudziński nie po raz pierwszy poezye swoje ogłasza; od r. 1871 w pewnych odstępach czasu wydawał on większe lub mniej-

sze ich zbiorki, które mu niezbyt rozgłośne wprawdzie ale trwałe zjednały uznanie. Wybitnym talentem nie odznaczył się; pomysłów wielkich nie miał, siły ani subtelności wyrażenia nie zdobył sobie; ale to co pisał odczuwał nie tylko artystycznie lecz i serdecznie; widoczna była szczerość jego natchnień. Historyą przejść duchowych opowiada on we „Fragmencie“ (str. 75—77). Był czas, kiedy wierzył, że natchnioną pieśnią można było wpłynąć na przetworzenie społeczeństwa; więc sercem jego wstrząsały hasła postępu, zagrzewając i ciało i ducha do coraz to nowéj walki. Tymczasem życie idąc swoją koleją zachwiało niejedném marzeniem; znikły komety brane za słońca, a poeta dowiedział się „kędy idzie postępu droga prawdziwa i kędy mądrość obłędom wroga przebywa.“ Z téj skarbnicy mądrości wydobywa i czytelnikom przedstawia dwie według siebie prawdy, z których my jednę tylko uznać za taką możemy. Ludzkości zbawić frazesem nie można — jest to prawda niewątpliwa, w uzupełnieniu któréj dodamy, że zarówno frazesem postępowym jak zachowawczym lub wstecznym. Lecz pytać dlaczego łzy biegną z oczu ludzkości, — wolno, mniejsza o to jakim głosem zuchwałym czy pokornym. To mimochodem. Poeta określa następnie swą dążność w téj fazie dojrzałości: radby pieśń swą napoić miłością, świecić promieniem pociechy i walczyć z każdą troską, zwątpieniem i rozpaczą.

Niech o méj pieśni za całą chwałę
Powiedzą:
Że lata nisko, jak ptaszę małe
Nad miedzą;
Że towarzyszy pracy pokornéj
Wśród potu
I nie zaznała żądzy niesfornéj
Odlotu;
Że cicha, słaba wznieść się nie może
W niebiosy
I widzi całe nieba przestworze
W łzach rosy,
I że najmniejsza gwiazda srebrzysta
Jéj gwiazdą,
A światem dla niéj łąka ojczysta
I gniazdo!...

W tém określeniu zakresu i nastroju poezyi nie ma przesady ani fałszywéj skromności autorskiéj. Istotnie pomysłami swemi, mianowicie w lirykach, nie wybiega poeta po za granice kraju rodzinnego; uczucia tkliwe i rzewne przemagają w jego utworach, urozmaiconych tu i owdzie łagodną ironią lub miarkowaną wesołością. Los biednych i słabych głęboko wzrusza poetę, ale nie obudza w nim

niechęci do bogatych i silnych, gdyż wierzy w dobre serce tychże śpieszące uciśnionym z pomocą i wsparciem. W „Prologu na otwarcie Teatru Dobroczynności“ przeciwstawia np. zabawy możnych i cierpienia biednych w zimie. Dziewczyna biedna patrząc na nieme ojca rysy, na boleść matczyną, na całą rodzinę, co „osłabłemi pulsami serc liczyła chwile,“ zdecydowała się pójść i... „przynieść pieniądze.“ Dwie postacie „dwa cienie tajemnicze“ Nędza i Zima szły za nią... Czy nie mogła znaleść nabywcy, czy nie miała siły w ostatniéj chwili, dziewczyna zaszła na ganek kościelny i tam się położyła. Nad ranem wracają z balu karety; jedna z nich się zatrzymuje nagle przed kościołem; pani bogato ubrana wysiadła z powozu, dąży do dziewczyny w odzieniu żebraczém. Następuje scena rozczulenia i łez. Dysonanse się tedy zharmonizowały w zimie nad ranem; ażeby było dobrze na świecie, dość jednego czułego popędu serca; gdy zmarzną biedni, trzeba ich będzie pochować, a wówczas nawet łzy staną się zbyteczne... Oprócz tego optymistycznego zakończenia, które zresztą wymagane było niejako przez sam powód napisania „Prologu,“ oprócz melodramatycznéj sceny z Nędzą i Zimą, utwór ten zresztą jest skreślony udatnie i żywo.

Od tego silnie tendencyjnego poemaciku, który wysunęliśmy naprzód głównie dla charakterystyki poglądów autora, przejdźmy do innych.

Tragicznie nastrojonym jest obrazek miejski p. n. „Dwie matki.“ Jednéj syn umarł z przeziębienia, drugiéj—przyzwyczajony do wygód, oddawał się grze i pijaństwu a w końcu się zabił.

Wiersz p. n. „Za Nerona“ opowiada rozwlekle o zezwierzęceniu Rzymu, o chrześcijanach i ś. Piotrze, o dzieweczce, która na sam widok ś. Piotra nawróciła się i poniosła śmierć wraz z chrześcijanami lubo nieochrzczona, o czém ma widzenie pewien kapłan i każe ciało jéj przynieść do katakumb.

W wierszu „Zburzenie Persepolu“ opowiada autor, jak kochanka Tais wymogła od upojonego winem i jéj wdziękami Aleksandra W., by mszcząc się za Helladę spalił Persepol.

W obrazku z nad Wisły p. t. „Hala“ mamy maleńki dramacik miłości i obowiązku. Pusta i wesoła dziewczyna pokochała gorąco sierotę Janka flisaka. Janek, będąc biedakiem, nie chciał prosić o jéj rękę rodziców, którzyby go może odepchnęli z pogardą; pojechał więc do Gdańska dorabiać się. Razu pewnego ktoś przywiózł Hali sznur korali i wieść o śmierci flisaka. Przebolawszy tę stratę Hala po kilku latach, na naleganie rodziców, zgodziła się wyjść za bogatego i dobrego rolnika. Gdy już dziecię pieściła, zjawia się nagle Janek i namawia ją do ucieczki. W sercu Hali odezwało się echo daw-

néj miłości; o północy wychodziła już z chaty, by ją nazawsze opuścić, gdy wtém zakwiliło dziecię; uczucie macierzyńskie przemogło, została.

Z poemacików tych najsłabiéj wykonanym jest „Za Nerona,“ najlepiéj „Hala.“ Najważniejszą wadą p. G-go jest zwykle brak miary artystycznéj w kompozycyi, w użyciu barw, w doborze wyrazów; autor daje się pociągać łatwości tworzenia wierszy i tworzy ich zawiele; tam gdzie starał się o krótkość, treść na tém zyskiwała („Zburzenie Persepolu“). W „Hali“ powszedniość pomysłu okupiona jest względną prostotą opowiadania, lubo nawet w tym utworze, mającym formę pieśni ludowéj, nie ustrzegł się poeta tu i owdzie przesady: „Gdybyż z ziarnek piasku przyszło sypać górę, wnetby się podniosła góra aż pod chmurę, byle ujrzéć mogła Janka choć na chwilę“... Że podobną przesadę spotykamy w pieśniach ludowych, to nie może służyć za usprawiedliwienie dla spółczesnego poety; w pieśniach bowiem mówi tak zazwyczaj bohater a zwłaszcza bohaterka a słowa takie są jedynie miarą ich uczuć; w „Hali“ zaś autor powyższe określenie stanu duszy bohaterki i jéj pragnień podaje od siebie, a jako świadek czy opowiadacz bezstronny powinien-by trochę być rozważniejszym od rozkochanéj dziewczyny, któréj łudzić się wolno, bo to złudzenie stanowi co najmniéj połowę jéj szczęścia i osładza gorycz niezaspokojnych marzeń.

W poezyach lirycznych bardzo mało znajdujemy miłosnych; wiele natomiast refleksyjnych i elegijnych.

Tam gdzie refleksya jest tematem pieśni, muszą naturalnie myśli odgrywać pierwszorzędną rolę; ze stopnia ich wyrobienia wnioskujemy i wnioskować musimy o umyśle poety. Jakież myśli wypowiada pan Grudziński? We wstępnym wierszu „Na przebój“ powołuje do walki z losem i przeszkodami przezeń stawianemi, obiecując palmę zwycięstwa tym, co hasła tego usłuchają. W wierszu „Miłość i Słońce“ idąc za Krasińskim, nawet w wyrażeniach, wygłasza zdanie, że mądrością jest „kochać rozumnie.“ „Nić babiego lata“ jest dla niego symbolem wszystkich rzeczy ziemskich; nie popada jednak w zwątpienie i rozpacz, bo go podtrzymuje wiara, któréj wyznanie składa trochę ostentacyjne wobec przedstawicieli sceptycyzmu. „Siłę ducha“ upatruje nie w buncie przeciw niebu, lub pozbyciu się pęt wszelkich, lecz w karności w opieraniu się prądom, w zaniechaniu skarg na cierpienia. Teraźniejszość przedstawia się mu, jako czcicielka mamony i pychy, a przeszłość natomiast jako bohaterka, co „z zimną pogardą“ patrzała na błędne koło fortuny („Dola-lichwiarka“). Przykładów tych będzie dosyć, ażeby dać poznać co nisko,z którego wychodzą rozlicz-

ne promienie rad, wskazówek i zdań. Ogniskiem tém—wiara i tradycya. I w jednéj i w drugiéj są zasady cenne i myśli zdrowe, lecz obok nich są téż i takie, których znaczenie jest już tylko historyczne. Poeta nie wyróżnia, jak się zdaje, jednych od drugich.

W wierszach elegijnych nigdzie nie brzmi nuta fałszywa; uczucia żalu nad losem obcym i swoim wypowiada autor zgodnie z temperamentem własnym; ale ponieważ w tym temperamencie niéma pierwiastku siły, więc téż wyśpiewane przez poetę uczucia nie wywołują żywszego wrażenia, nie upamiętniają się w umyśle czy sercu. Za najudatniejszy uważać-by można wiersz p. n. „Smutna wiosna," gdzie poeta patrząc na objawy odżywającéj przyrody przez pryzmat bolesnego przygnębienia, nie rad im, gdyż w sercu jego smutek swoją radosną barwą zwiększają. W jednym z elegijnych utworów pomysł jest dość oryginalny; wyraża on ból wynikający z wyjątkowości położenia. Sosna sama jedna zachowuje swoję zieloność; lecz jest smutna; brzoza ją pyta, dlaczego się smuci, choć jéj wszystkie drzewa zazdroszczą zielonego jéj płaszcza. Nie zazdrośćcie mi—odpowie zagadnięta—bo ja nie znam ani wiosny ani jesieni i „wolałabym nie być zieloną i z cierniami się tulić do ziemi, byle w maju zakwitnąć wraz z niemi, byle młodą mi być nie wzbroniono." Szkoda, że przez rozwlekłość i brak trafności w pewnych szczegółach pomysł został zepsuty. Sosna nie może mówić, że nie ma po czém ani za czém płakać, boć i ona ma tak samo owoce jak inne drzewa... A wyrażenie, że gdyby drzewa znały tajemną burzę w jéj piersi, toby płakał nad nią las cały i chmuryby płakały—trąci sentymentalizmem.

W ogólności poezye Grudzińskiego pod względem wykonania nie mają zalet nadzwyczajnych, ale też nie posiadają i wad nadmiernych. W dykcyi autor posługuje się słownikiem, który każdy utalentowany poeta zazwyczaj dziś sobie przyswaja; rzadko kiedy puszcza się na szukanie wyrażeń nowych; język jego celuje czystością i poprawnością.

III.

P. Józef Kościelski znany był dotychczas ogółowi polskiemu, z dwu dramatów historycznych ogłoszonych w r. 1874: „Władysław Biały" i „Arria" (1). I doprawdy byłoby podobno lepiéj dla sła-

(1) Arria, tragedya w trzech aktach wierszem" wyszła r. 1882 w Krakowie w drugiém wydaniu, bez zaznaczenia téj powtórności na tytule.

wy jego, gdyby był poprzestał na ujawnieniu tych utworów swego ducha; nie słynąłby wprawdzie w dziejach literatury jako dramaturg umiejący tworzyć piękne całości, celujący w charakterystyce postaci, w motywowaniu akcyi, ale zawsze powiedzianoby o nim, że tę i owę sytuacyą nakreślił zręcznie i szczęśliwie, że był śpiewakiem idei wolności, że wypowiedział niejedno zdanie rozumne. Obecnie gdy występuje przed publicznością jako autor, który na tytule zbiorowego wydania pism swoich zaznacza dwudziestoletni przeszło okres twórczéj działalności (r. 1861—1882), a zatém nie jako początkujący ale już jako dojrzały pisarz, z tą pewnością siebie, którą daje rozgłośne imię,—a obdarza czytelników utworami, w których się roją niedorzeczne pomysły, niesłychanie liche rymy i nielogiczne wyrażenia;—mimowoli zapewne stawia czytelnikowi dylemmat: albo, ze autor obdarzony jest niepraktykowaną już dzisiaj naiwnością, albo też że chciał zadrwić z łaskawych nabywców jego książki. Ażeby takie zdanie nie wydawało się impertynencyą zrobioną człowiekowi, który dopiéro co się zaprezentował, proszę odczytać ustęp z „Dziejów serca“ na str. 175 i nstp.

Na *tysiąc kwiatów*
Na ludzi *sto* (wyraźnie *sto*!)
Czyż jest wśród światów
Szczęśliwszy kto?

Dzisiaj jéj miłość wyznałem
Ona odrzekła: wiem o tem;
A gdy jéj serca pytałem,
Odpowiedziało *stukotem!*

Albo proszę zauważyć nadzwyczajną skromność autorską w „Dedykacyi“ i dobór wyrażeń:

Żądano, abym śpiewał. Powiodłem (kogo, co?) marzeniem
W kraje wieczystych złudzeń; myśl trysnęła z *czoła*...
Myśli biły jak źródło, a jak potok słowa...
Com mówił, już nie pomnę, bom *wduszył się* cały
W kraj, gdzie, *między młodzieńczéj pieśni ideały*
Stałaś ty...
Zbudziły mię oklaski. Pierś jak morze wrzała,
Gdy tuli w swe objęcia słońce zachodzące...
Łzę twoję, *mojéj pieśni świadczącą potęgę* (!)
Wymowniéj niż oklasków odgłos bezechowy,
O pozwól że podejmę jak *klucz brylantowy*, (łza kluczem!)
By nim zawrzeć na wieki dziejów serca księgę.

Albo proszę posłuchać następnego oświadczenia się, które chyba w gronie dobrze podchmielonych wygłosić-by się dało:

Precz z formami! Tyś kobieta,
Ja mężczyzna—kocham cię!
Wulkanicznych law podnieta
We mnie *kłębi*, w tobie wrc.

Precz z formami! *lawą* żyłem
Na wieczności mierząc dnie;
Cóż—że jutro będę pyłem?
Dziś ja-m bogiem—kocham cię!

Albo wreszcie zajrzyjmy choć na chwilę do kart mieszczących balladę p. n. „Czary“ i zapoznajmy się z drobnemi jéj okruchami, pewni, że i całość w tym samym napisana stylu:

Rwała ziele
Przy kościele
Na nowiu
I w święconą
Wodę *słoną*
Je kładła.
Ani cała
Nie zadrżała
Ni zbladła.

W ręku skrzypki
A głos *chrypki*
Z *ołowiu*.
„Jam twój miły
Tam z mogiły
W pustkowiu.
„Dziś w mogile
Leżę w pyle
Niegnuśnie...

„W świetle bladem
Szedłem śladem
Gałązek.
„Czary liści
Niech oczyści
Nasz związek.“
I odchodzi,
Lecz zawodzi
Swym smyczkiem...

Nie będziemy już rozpowiadali czytelnikom ani o owém słowie, co-to „gwoździem jest w trumnie marzenia,“ ani o rozrzewniającym romansie czajki z ropuchą; dosyć chyba będzie powyższéj antologii. Podobne tym wiersze drukował ks. Baka, dla pokazania, że niedarmo był profesorem poetyki, a potém Soter Rozbicki spekulując na głupotę ludzką. Lecz jakim sposobem mogły one wyjść z druku w r. 1883? Ażeby to sobie wytłómaczyć w sensie najprzychylniejszym dla autora, musimy przypuścić, że będąc chłopaczkiem pisywał wierszyki, które się rodzinie podobały; dorosłszy na młodzieńca wypalił raz i drugi zręczny toast, który współbiesiadnikom przypadł do gustu, bo był zastosowany do chwili, nie usposabiającéj, jak wiadomo, krytycznie; a przez to zrobił sobie sławę w kółku najbliższém. Ponieważ zaś życie prowincyonalne wiele wydawać musi ludzi sławnych, więc i tę jeszcze jednę przyjęto chętnie do grona. Przyjaciele i znajomi wpływami swojemi wyrobili obiecującemu młodzieńcowi przystęp do redakcyj i starali się przytłumiać głos krytyki; młodzieniec dojrzewał na męża w przekonaniu, że należy do poetów uznawanych przez milczącą krytykę, zebrał drukowane i niedrukowane rymotwórcze ćwiczenia, napisał na tytule: „Poezye“ i puścił w świat, zapominając o gramatyce, loice i estetyce. Dla utalentowanego młodzieńca przepisy składni są zbyt ciężkie, więc je odrzuci i będzie stale używał przyimka *wśród*, *pośród*, *prócz* z czwartym przypadkiem (noc „zgasiła odbłyski *pośród* wałów *pozwoje*, *prócz zimne światło* gwiazd itp.), imiesłowu nasycony użyje z 2 przypadkiem (nasycona czczéj apoteozy), słów z przeczeniem—z 4 przypadkiem itd. Z rymami pozwoli on sobie poigrać, bo od czegoż reforma romantyczna, która rozpętała związanego orła i pozwoliła mu szybować jak

zechce; więc też rymować będzie: *ludzkość—módz kość; prawda—praw da; na tla—światla, trąd pień—zwątpień, błąd pić—zwątpić.* A ponieważ tęskni „do snów kołyski,“ więc z loiką i estetyką nie wejdzie w ścisły sojusz i „pojąc *się szelestem* prawd, splecie „zgrzyt we wieniec cierniowy“ a „bólem w szaleństwo zogromnieje.“ lubo „baszt (!) zazdrościć duch nie sięga,“ ponieważ w piersi mu „czuwa anioł snów jak święta od zwątpienia straż i uczy czytać ducha rdzeń.“ Nauczony przez „anioła snów“ widzi „przed duszą wszystkich tajni głębie,“ i swojéj „wielkości przed sobą nie tai;“ wie nawet, jak się zdaje, „co głaz w kamiennéj śni zadumie.“ Lecz „anioł snów“ ma widocznie mądrość dziwnego rodzaju, bo oto uczeń powiada, że „by serce mogło się wznieść, musisz je grześć, musisz je zgnieść“... niewiast „modłę“ zamyka w trzech słowach: brać, słać (?), dbać (?), gdy męskiemi godłami mają być „dać, stać, trwać.“

Rozszerzyliśmy się nad ujemną stroną poezyj p. Kościelskiego z powodu rażących, niemal potwornych błędów pomysłu i formy; nie chcemy jednak bynajmniéj twierdzić, żeby wszystkie utwory w zbiorku zawarte tak dalece lichemi były. Żaden wprawdzie wiersz nie wznosi się nad mierność, ale jest kilka udatnych, a kilkanaście możliwych do odczytania bez wstrętu. Dwie grupy wierszów zatytułowane: „Z gór,“ „Z morza“ nie odbijają właściwych wrażeń; można nawet powiedzieć, że nie są z natury odczute, lecz z opowiadań i czytania obmyślone lub wymarzone; ale zawierają parę utworów znośnych jako to: *Głosy dwóch epok*, *Anakreontyki w górach*, *Rozbitek.* W dziale „Dziejów serca“ bardzo zręcznie odtworzono złudę „Oczarowanego“ kochanka, który w każdéj pozie kochanki, w każdém jéj słowie i w każdym ruchu widzi samę doskonałość. Wiersz „Do ptaszki“ odznacza się rzewną tęsknotą bez przesady sentymentalnéj. Ironia dobrze użyta cechuje wiersz „Bez serca,“ przypominający niektóre liryki Heinego. W końcu dodane są przekłady z Horacego, Goethego, Heinego, Grüna, Puszkina, Longfellowa, Musseta. Tylko kilka pieśni z Heinego (VII, XIV, XVI) za dobre uważać można, z Horacego i Goethego są niezłe; inne całkiem liche, zarówno pod względem układu wierszy jak i oddania myśli. Taka jest treść seryi pierwszéj „Poezyi“ p. Kościelskiego; oceniając jéj wartość nie przesądzamy naturalnie znaczenia dalszych.

Podobnym brakiem względności dla gramatyki, logiki i estetyki jak p. Kościelski, odznacza się od niedawna występujący w czasopismach wierszopis p. Józef Korwin Kuczyński, który starannie każdy utwór podznaczywszy datą miesiąca i roku wydał świeżo zbiorek „Poezyj“. Nie popełnia on wprawdzie tak grubych naiwności, jak wieszcz wielkopolski, ale nie ustępuje mu w niedorzeczności po-

mysłów i wyrażeń. Szkoda, wielka szkoda, że nie posłuchał własnéj rady, którą daje „orłowi młodemu“ na wstępie do swéj książki:

Ejże, lepiéj zmierz swe siły, zanim wejdziesz w szranki,
Lub po cichu kwil dla siebie i dla swéj kochanki....

Teraz gdy wystąpił przed ogółem, musi uledz konsekwencyom swego kroku. Teoretycznie pojmuje p. Kuczyński bardzo dobrze zadanie poety dzisiejszego i słusznie powiada:

Kto wieszczyć chce, do słów melodyi lgnie,
Ten w pieśni swéj zwierciedlić musi świat,
Lub gnuśnie trwać w omamień słodkim śnie
Lub strawić się żądz ogniem w kwiecie lat.

Wyrzuty robione innym poetom, nie są wprawdzie oryginalnym pomysłem nowego brata po lutni, ale mają swoje uzasadnienie, a w sformułowaniu ich nie brak pewnéj siły:

Nie dla nas dzisiaj ta nuta tęskniąca
Za przesądami, *co* postęp obala. . .
Nie! przepłynęła i nie wróci fala
Uniesień ludów dla was, wieszcze karły,
Co nie umiecie wykrzesać skry nowéj,
Wiecznie trącając w bardon obumarły
I nastrajając na ton dawny struny. . .
Dziś gdy nad ziemią świt jutrzni różowy,
Nie zabrzmiał jeszcze żaden głos piorunny,
Aby powitać prawdy ludów nowe,
I świat nie wyszedł z zaklętego koła,
Gdzie pieśń—to dumy smutne, to tęczowe
Lub dyademy na kobiece czoła. . .

Sam atoli wieszcz nowy, który widocznie ma pretensyą do reprezentowania „różowego świtu jutrzni,“ ani słowem jednèm nie powitał nowych prawd ludu i nie wskazał, jakie to prawdy, a natomiast po staremu wyśpiewuje pieśni na cześć własnych błahych smutków i rozczarowań, albo na cześć różnych hurysek i cyganek, dla których ma zanadto uwidocznioną słabostkę. Odzwierciedlania życia niéma w jego poezyach nigdzie, myśl się nie wyrobiła, fantazya tylko puszczona samopas wyprawia pocieszne koziołki, lubo zdolna jest czasem stworzyć udatny mały obrazek. Reminiscencye z czytanych poetów nasuwają się ciągle pod pióro młodemu fantaście, który czując to a pragnąc utrzymać swą niezależność torturuje wyobraźnię, ażeby wydała płód nowy, najczęściéj poroniony. Taki początek ma prawdopodobnie cały niby „poemat liryczny“ p. t. „Upadły i Odrodzony,“ w którym ładu i sensu szukać napróżno, zarówno w całości jak i w szczegółach, lubo według za-

miaru poety ma on przedstawiać fazy jego duchowego rozwoju. Znajdujemy tu na szczupłéj przestrzeni wszystkie pretensye, jakie romantycy rościli do ludzi i świata, wszystkie ich marzenia o własnéj wielkości i uludne przyznawanie się do nikczemności, wszystkie rojenia o sławie—we własnéj fantazyi—i zapewnienia, że się o sławę nie dba. A wszystko to rzucone na chybił-trafił bez najmniejszego planu i myśli przewodniéj. Już-już zdaje się, że poeta umrze, bo wypowiedział posłuszeństwo „pani eteru, gwiazd, słońc i téj ziemi“ to jest poezyi, któréj robi wymówki za to, że go *wybrała* i chciała go dźwięki ukołysać swemi, i pragnie tylko posłyszéć requiem Pergolesa „silnie i namiętnie jęczące,“ ażeby ujrzéć na chwilę „nadziei grób zmartwychpowstałéj.“ Co więcéj dowiadujemy się, że nasz poeta już „*postawił* biały owity w dzikiéj latorośli wianki grób“ dla swych pieśni i dla swojéj chwały, ażeby nie zabierać innym sposobności do walczenia o względy poezyi... Ale naraz oświadcza, że starga więzy, co go gniotą, że niczego więcéj nie zapragnie i przeniesie się „nad jakieś kryształowe morze,“ a choć niczego już pragnąć nie miał, zacznie jednak „wygrzebywać złoto, albo jak dziecko muszle znosić,“ a nawet zamierza „za odpływem“ iść „na dno wilgotne podwodnych roślin rozplatać zwój gibki.“ Myślałby kto, że się już na dnie morza utopi; ale gdzie tam! takie lekkie stworzenia jak poeci tego rodzaju wypływają zaraz na wierzch i... zbereźniki! „w słońcu nad brzegiem na piasku, tulą do piersi południa huryski.“

Przerywamy, choć to zaledwie z jednéj kartki ułożyliśmy tę wiązankę pomysłów; na wykazywanie szczegółowe takich bredni szkoda czasu; spisywane i wydrukowane wyniki swobodnego i swawolnego kojarzenia się wyobrażeń, jakkolwiek byłyby rymami powiązane, nie zasługują na nazwę poezyi. Przechodzimy do utworów czysto lirycznych, tém chętniéj, że w nich obok równie niedorzecznych, jak poprzednie, pomysłów, znaleść téż można takie, które odczytać nie zaszkodzi. Pomijamy fragmenty, które naprzekór zdrowym pojęciom o sztuce tak się u nas fatalnie zagęściły, a które u p. Kuczyńskiego naszpikowane są mnóstwem *o! ach! och!* oraz niepomierną liczbą kropek; a zwracamy się do pieśni z tematów ludowych. Zdaje się, że pieśni te nie powstały z bezpośredniego wsłuchiwania się w melodye ludowe i obserwowania doli jego, lecz dopiero pośrednio przez wpływ poezyj p. Konopnickiéj. Mówi w nich p. Kuczyński o smutnych losach chłopków, o ich biedzie, o ich troskach, bólach i nieszczęściach; mówi zaś o tém słowami stosunkowo prostemi, lubo niezawsze licującemi ze stopniem rozwinięcia tych, do których je stosuje. Kiedy powiada w „Chłopskiéj doli“ o dziecku wiejskiém: „I przywykną oczy twoje poglądać na słońce, i motylków

poznasz roje na zielonéj łące,“ to takie wyrażenia są całkiem naturalne, ale mniéj już właściwemi wydają się zaraz po nich następujące: „Wiele dźwięków, barw nieznanych wskaże ci natura, takich jak ty zapomnianych rodzicielka *wtóra*“ (?). W pisaniu podobnych utworów albo się potrzeba zupełnie utrzymać na stanowisku piewcy ludowego, albo téż całkiem przenieść na punkt widzenia warstw wykształconych; wszelkie sztukowanie i łatanie robi ujmę artyzmowi. Na wzór p. Konopnickiéj i p. Kuczyński kreśli „obrazki“ z życia biednych i słabych i równie jak ona, tylko w wyższym jeszcze stopniu, okazuje nieumiejętność stworzenia artystycznéj całości, nieumiejętność utrzymania miary w obrazach i wyrażeniach.

Z obrazów natury, przetworzonych w fantazyi, jeden tylko udatnym się nam wydaje. Wiersz ten p. n. „Deszcz“ świadczy, że p. Kuczyński gdyby chciał nad wyobraźnią swoją panować i ująć ją w karby nie tylko estetyczne, ale i loiczne, mógłby stworzyć coś naprawdę pięknego. Czyż nie poetycznie przedstawione powstanie deszczu?

Chmur *przepaska* ciemno-biała
Oczy słońcu przewiązała
I palona jego wzrokiem
Łez rozlała się potokiem.

Gdyby nie ta *przepaska*, co łzy roni, przenośni nic-by zarzucić nie było można. Mniéj szczęśliwą jest strofa następna, w któréj krople deszczu spadają na kwiaty i trawy:

Więc na barwne kwiatów sploty
Kładła kryształ szczerozłoty,
A więc trawce, więc zielonéj
Przewiązała uperlony
Dyadem u czoła.

Ostatnia strofa szwankuje pod względem obrobienia w tém, że niéma w niéj wzmianki o wietrze, choć jego działanie wskazane w dwu pierwszych wierszach:

Zanuciła liści szmerem
Rozbujała drzew szpalerem,
I zmęczona a wesoła
Zwisła tęczą nad eterem
Barwną dookoła. . .

Co do języka, to p. Kuczyński używa 4 przypadku po słowach z przeczeniem, dla rymu posługuje się formami niepoprawnemi (niejedne zam. niejedno, namiejętny i t. p.), dla oryginalności wprowadza neologizmy: *rozesmucić*, *rozramienić*; nie wiadomo wreszcie dlaczego

zbyt często a w dodatku nieraz ze szkodą myśli kładzie epitety: *biały*, *blady i świetlany*.

Z powyższego przedstawienia znamion tworów poetycznych najnowszych czytelnik sam może wyprowadzić wniosek, o ile one usprawiedliwiają zdanie o wirtuozyi naszych poetów. Nie wszyscy oni wprawdzie umieją każde uczucie i każdą myśl wyśpiewać i wypowiedziéć z jednakowym kunsztem; ale ta okoliczność ogólne wrażenie czyni dotkliwszém od tego, jakie od pojedyńczych odbieramy utworów, gdyż brak wybitnego indywidualnego charakteru zwiększa brakiem wyrobionéj myśli i formy. Smutny-to niewątpliwie wynik poszukiwań; lepiéj atoli znać swoje ubóstwo niż się łudzić zaletą ilościowéj obfitości.

P. Chmielowski.

CHEMIA I HIGIENA.

W pewnym okresie swego życia zarodkowego, chemia była pod staranną opieką i despotycznym rządem medycyny i wyłącznie tylko w charakterze *jatrochemii* posiadała prawo bytu. Lecz tak prowadzona na pasku i że tak powiem „medicinae adscripta“ nauka, przynosiła swéj pani i żywicielce małe tylko pożytki, natomiast stanąwszy o własnych siłach i rozwinąwszy się stokrotnie zapłaciła jéj za wszelkie trudy i dobre chęci, których za lat dawnych doświadczyła. Trzeba spojrzéć na szereg prac analitycznych dotyczących organizmu zwierzęcego, na szereg lekarstw, które chemia zbadała i w formie właściwszéj przedstawiła, na wielką liczbę nowych ciał których ciągle medycynie dostarcza, aby pojąć, że w nowszych czasach role tych nauk zupełnie się zamieniły. Jak niegdyś z chemii lekarskiéj wypłynęła chemia czysta, tak teraz naodwrót z chemii czystéj wyosobniła się chemia lekarska, która stanowiąc już samodzielną i obszerną naukę, znajduje ciągle u swéj macierzy nowy pokarm i nowe punkta widzenia. Medycyna zyskała w chemii wiernego towarzysza, który ciągle przy boku jej kroczy w postępowym rozwoju, rozjaśnia drogę i nieraz niesie na własnych barkach. Co więcéj, jak widać z obecnych objawów, chemii przeznaczoném jest stać się gościńcem do najwyższego ideału, który sobie postawiła najnowsza medycyna. Prawdziwém jej bowiem zadaniem, jako sztuki, nie jest trudne, a często niemożliwe leczenie chorób już rozwiniętych; stan jéj wtedy można będzie nazwać doskonałym, gdy będzie usuwała przyczyny chorób. Właśnie, według wielu znakomitych uczonych, przeznaczeniem medycyny jest zupełne albo przynajmniéj prawie zupełne przeistoczenie się w higienę, rozwinięcie się w doskonale uorganizowaną i nad wszystkiemi wpływającemi na zdrowie ludzkie czynnikami czuwającą instytucyą państwową, na służbę

zdrowia, która prawie nie mając nic do czynienia z pojedynczymi obywatelami, czuwać będzie nad warunkami ich życia i przynosić niepostrzeżenie „pomoc lekarską“ każdemu, chcącemu czy nie chcącemu, bogatemu czy biednemu. Jedném słowem ma objąć gospodarstwo nad gruntem, na którym mieszkamy, wodą którą pijemy, powietrzem, którém oddychamy, pokarmami, któremi się żywimy itd. itd. W takiem zaś gospodarstwie chemia musi być i okiem i prawą ręką gospodarza.

Początek podobnych instytucyj widzimy już teraz zagranicą w miejskich laboratoryach chemicznych, na wzór których powstało i u nas kilka prywatnych i jedno miejskie (przy szpitalu ś-go Ducha), które pod opieką p. Prezydenta ma się na samodzielne laboratoryum miejskie rozwinąć. Największe i najczynniejsze z tych laboratoryów, mając zbyt mało sił i środków, są tylko zarodkami tego do czego dąży higiena, lecz i one przynoszą już społeczeństwom nieobliczone korzyści. Wskazały już bowiem wiele źródeł chorób i charłactwa a przypominając ciągle administracyi i społeczeństwu mnóstwo faktów przestraszających i oburzających, zmuszają je do poważnego poglądu na sprawy, na które dotąd mało kto zwracał uwagę.

Laboratorya powyższe, w obecném stadyum swego istnienia, zajmują się przeważnie analizą pokarmów jako działem najprzystępniejszym, najbardziéj opracowanym. Osiągnąć możność wpływania na dobroć wody i powietrza, to rzecz bardzo trudna i należy do przyszłości. Nad pokarmami zaś zapanowała już prawie zupełnie analiza chemiczna i mikroskop, a ponieważ nadto są one w ręku ludzi i niezależą jak dwa pierwsze od nieuchwytnych wpływów natury, więc najłatwiéj można je poddać nietylko kontroli ale i kierunkowi służby zdrowia. Pokarmy zaś niestety coraz bardziéj wymagają kontroli publicznéj, fałszowanie ich doszło już do tego stopnia, że dało początek samodzielnym gałęziom przemysłu. Bez przesady można powiedzieć iż w Europie bardzo trudno jest dostać pokarmu niefałszowanego, a czystość pokarmów zwykle zawdzięczamy temu, że fałszowanie ich zadrogoby wypadło, albo że nie nauczono się ich jeszcze fałszować. Pesymistyczne to zdanie postaramy się usprawiedliwić. Zobaczymy poniżéj ze sprawozdania „Laboratoryum municypalnego Paryskiego“ do jakiéj skali doszedł ten przemysł, zobaczymy, że jeśli Anglicy założyli w swym kraju osiemdziesiąt laboratoryów i liczbę ich ciągle powiększają, to nie dowodzi to bynajmniéj zbytecznéj ostrożności, ani jakiegoś teoretycznego pedantyzmu, lecz wynika ze zrozumienia naglącéj potrzeby, z chęci obronie-

nia swego ludu i jego przyszłości od najnikczemniejszego powolnego skrytobójstwa na publicznéj drodze.

Powiemy najprzód kilka słów o organizacyi pracowni paryskiéj, gdyż może ona służyć za wzór przyszłemu laboratoryum, które ma się rozwinąć z pracowni założonéj przy szpitalu ś-go Ducha.

Municypalne laboratoryum chemiczne przy prefekturze policyi w Paryżu otwarte zostało 1 marca 1881. Personel jego składa się z dyrektora, jego pomocnika, 4 chemików, 32 inspektorów i trzech posługaczy, a liczne sale zaopatrzone są we wszelkie przyrządy służące do szybkiego i dokładnego wykonywania analiz według najnowszych zasad nauki.

Założyło sobie ono dwa cele: 1° objaśniania publiczności o wartości pokarmów złożonych w laboratoryum, i 2° dostarczanie organom administracyi i sprawiedliwości wskazówek i dokumentów do ścigania fałszerzy.

Zgodnie z tém przystęp do laboratoryum został dla publiki jaknajbardziéj ułatwionym, nietylko bowiem laboratoryum ale i urzędy policyjne przyjmują próbki przeznaczone do analizy.

Stosownie do żądania interesanta wykonywają się analizy jakościowe i ilościowe. Pierwsze są zupełnie bezpłatne, za drugie zaś płaci się od 5 do 20 franków. Rezultat analizy jakościowéj wyraża się na kartkach wydawanych interesantom wyrazami: produkt dobry, zły, lub sfałszowany. Odpowiedź jednak taka oparta jest na ilościowéj analizie produktu, któréj szczegóły zapisują w oddzielnéj księdze, tak, że dwa rodzaje analiz istnieją tylko dla publiczności, nie zaś dla laboratoryum. W razie gdy produkt okaże się zfałszowanym, urzędnicy laboratoryum, jeszcze przed wydaniem interesantowi odpowiedzi, udają się do kupca, od którego próba była wziętą i dokonawszy prób za pomocą narzędzi i odczynników kieszonkowych, zabierają podejrzane towary, dla dokładnéj i odpowiednio kontrolowanéj analizy w laboratoryum, gdy zaś podejrzenie zostanie uzasadnioném, sprawa przechodzi do rąk prokuratora. Jedném słowem machina kontrolująca tak funkcyonuje, że ostrożnych obywateli zabezpiecza od spożywania pokarmów szkodliwych a stanowiąc nieustającą groźbę dla fałszerzy, czyni ten przemysł bardzo ryzykownym a nawet odstraszającym.

Posłuchajmy teraz sprawozdania z czynności tego laboratoryum za rok 1881, wydanego przez dyrektora, p. Ch. Girard. Fakta wykryte przez chemików paryskich, nie tylko służyć nam będą za wskazówkę tego co się dzieje gdzieindziéj, a więc co i u nas dziać się może, ale nadto niektóre z nich wprost nas dotyczą, gdyż jesteśmy konsumentami niektórych produktów francuzkich.

Zacznijmy od wina.

Wino zajmuje drugie pod względem ważności miejsce w produkcyi rolnéj Francyi. Średnia produkcya wina w latach 1871—1881 wynosiła 49,198,000 hektolitrów rocznie, najwięcéj zebrano w 1875 (83,836,000 hektol) najmniéj w 1879 (25,770,000 hekt). Przywóz wina w tym przeciągu czasu osiągnął maksimum w 1880 r. (7,219,000 hektol) a doszedł do minimum w 1871 (148,000 hekt.). Wreszcie wywóz zagranicę, który od r. 1871 do 1877 dosięgał corok przynajmniéj 3 milionów hektalitrów (w 1873 prawie 4 mil.) spadł w 1880 do 2,488,000 hektolitrów.

Cyfry te, dające pojęcie o wielkości przemysłu winnego we Francyi, rzucą nam pewne światło na kwestyą fałszowania wina. Otóż pomimo zmniejszenia się produkcyi wina w latach ostatnich ceny jego niezmieniły się, a tę stałość cen zawdzięczamy oszukańcom. Z powodu filoksery i wielkiego popytu na wino francuskie, sztuka jego podrabiania doszła do zasmucającéj doskonałości; nietylko że je fałszują kupcy detaliczni, ale podrabia je już i psuje sam fabrykant, a nawet bywa ono otrzymywane nie z winogron lecz z rozmaitych surrogatów.

Weźmiemy pod uwagę tylko wina z winogron.

Do klarowania ich wystarczyć powinno jak to za dawnych czasów bywało ściąganie, samo, lub połączone z filtrowaniem. Teraz jednak prawie zawsze dokonywa się ono za pomocą kleju, krwi itd. Dla niektórych win czynność ta jest stanowczo szkodliwą. Ciała te zabierają garbnik, którego często jest w winie nie wiele i dla tego fabrykant dodaje go potém w formie odwaru galasu lub pestek winogronowych.

Byłoby pół biedy gdyby fabrykanci poprzestali na tém, ale dla powiększenia ściągającego smaku wina wielu ucieka się do środka nader szkodliwego i wyraźnie zakazanego—do przymieszki ałunu; w niektórych winach znaleziono go aż 5—6 gramów w litrze. Na południu zaś Francyj, w Hiszpanii i Włoszech wino bywa powszechnie gipsowane i zawiera nieraz, 2, 3 a nawet 4 gramy gipsu w litrze. Jeśli przypomnimy sobie, że woda zawierająca 1 gramm gipsu w litrze uważana już jest za szkodliwą, to pojmiemy jakiemi zaletami higienicznemi, odznacza się podobne wino. Oprócz tego do wina dodawane bywają: tlennik ołowiu (silna trucizna) dla zmniejszenia kwaśności, nieoczyszczony a więc szkodliwy spirytus z kartofli lub melasy, fuksyna, która często zawiera arszenik, kwas siarczany, dla nadania barwie żywości, kwas winny dla dodania kwaskowatości i również dla ożywienia barwy, wreszcie rozmaite barwniki jak koszenilla, barwniki anilinowe itd.

Liczba wcale pokaźna! I nic dziwnego, powiada sprawozdawca, że prawie do cudow należy, dostanie zupełnie czystego i naturalnego wina. Naturalnie opuściliśmy tu rozcieńczanie win wodą lub mięszanie ich z podlejszemi gatunkami:

Jednakże ilość środków używanych do fałszowania, nie rzuca nam jeszcze światła na statystykę zafałszowań. Przedstawią nam ją w przybliżeniu rezultaty analiz dokonanych w laboratoryum municypałném. Że złożonych w 1881 r. 3361 prób wina znaleziono:

387 dobrych
1093 znośnych
1709 złych nieszkodliwych
202 szkodliwych

Przypuściwszy że „znośność“ 1093 próbek polegała nie na wielkiéj zręczności fabrykantów, lecz na dobroci zawartego w nich wina, otrzymamy 1450 prób dobrych i 1911 sfałszowanych. Możemy więc sobie wyobrazić, jakie wino pijemy w Warszawie, kiedy dochodzi do nas *takie* wino naturalne, które stanowi dopiero grunt do miejscowéj fabrykacyi napojów u nas jako wino francuzkie sprzedawanych!

Piwo nie mniéj licznemu szeregowi fałszerstw ulega. Jedyną tylko z jego części składowych, chmiel, zastępują fabrykanci następującemi środkami: kwasem pikrynowym (silna trucizna) żółcią wołową, aloesem, kwasyą, piołunem, kolokwintą, goryczką. kubebą, tysiącznikiem, wronim okiem, strychniną, jałowcem itd.

Fałszowanie mleka polega głównie na rozcieńczaniu go wodą. Na pozór mogłoby się zdawać, że ten rodzaj oszukaństwa jest nader niewinny. ale głębiéj w rzecz wniknąwszy zobaczymy, iż tak bynajmniéj nie jest. Wiadomo bowiem, jak to najnowsze badania nad chorobami zaraźliwemi okazały, iż woda jest potężnym czynnikiem zarazy; ona to roznosi przedewszystkiem gorączkę tyfoidalną. Mleczarki, które o tém nie wiedzą, lub nie bardzo dbają o zdrowie swych nieznanych kundmanów, nieprzebierają w wodzie, i nie chcąc nieść aż ze wsi zwiększonego ciężaru, zwykle dopiero pod miastem z rowów lub z wód stojących czerpią wodę do rozcieńczenia mleka. Mówiąc bez przesady mleko takie bywa niekiedy wprost trucizną, podaną w najniewinniejszéj formie.

Roznoszenie tyfusu i innych chorób przez wodę i mleko nienależy bynajmniéj do rzędu hipotez, za któremi-by tylko jakieś prawdopodobieństwa przemawiały. Jest-to fakt zupełnie stwierdzony. Sprawozdawca cytuje znaczną ilość podobnych przykładów. W pewnéj wsi np. aż 35 osób zapadło na szkarlatynę. Należały

one do 24 rodzin. Śledztwo wykazało, że wszystkie te domy zaopatrywały się w mleko u téj saméj mleczarki, i że koło mleka tego chodziła osoba opiekująca się dzieckiem chorém na szkarlatynę. Widocznie w sukniach, włosach i wogóle na powierzchni ciała przynosiła z domu zarazki, które potém wpadały w mleko. Doktór Huast w jednéj ze swych prac najnowszych wykazuje, że mleko wywołało 50 epidemij tyfusoych, 14 szkarlatynowych i 7 dyfterycznych, a zarazki w tém mleku pochodziły najczęściéj z domieszanéj wody. Mleko to zaraziło 3,500 osób tyfusem, 800 szkarlatyną a 700 dyfterytem.

Oprócz rozcieńczenia mleka, bardzo rozpowszechnioném jest jeszcze zbieranie, oraz mieszanie mleka świeżego z wydojoném dnia poprzedniego. Inne sposoby fałszowania mają być dość rzadkie; polegają one na dodaniu mąki, białka jaj, mózgu końskiego rozrobionego w wodzie i t. d.

Proces przez który przechodzi świeże mleko pod Paryżem jest następujący. Rolnik zbiera śmietankę, którą osobno sprzedaje. Pozostałe ztąd mleko, dobre jeszcze, choć zubożone co do tłuszczu, skupują od kilku fermierów hurtownicy, mieszają jedno z drugiem dla otrzymania mleka jednego składu i obficie dodają wody. Wreszcie mieszanina ta idzie partyami do przekupek, które swoją drogą przygotowują to mleko w sposób jaki im się wydaje najodpowiedniejszym.

Przejrzano pewnego razu księgi handlowe mleczarza hurtownika; z których się okazało, że otrzymywał on od fermierów 2,500 litrów mleka dziennie, a sprzedawał 3,000 litrów, dodawał więc *tylko* 500 litrów wody. Wogóle zaś na 100 prób kupionych w Paryżu, 46 miało 10 lub więcéj procentów dodanéj wody. W Londynie stosunek ten dochodzi nawet do 20—27 na 100.

Taki to najczęściéj pokarm dostaje się dzieciom i rekonwalescentom!

Jeden z produktów mleka, masło, nie mniéj często ulega zafałszowaniu. Niektóre z ciał obcych dodawanych do masła mają na celu zatrzymanie większéj ilości wody w maśle (ałun, boraks, szkło wodne); inne powiększają objętość (mąka, mączka kartoflana) lub ciężar (glinka biała, kréda, gips); inne wreszcie nadają barwę (szafran, kurkuma, chromian ołowiu). Dodawane téż bywają ciała tłuste jak sadło, a najczęściéj surogat masła, masło sztuczne czyli margaryna.

Niektórzy uważają margarynę za surogat wcale nieszkodliwy, gdyż ma skład bardzo podobny do masła. Ale nie mówiąc już o tém, że oszustwem jest sprzedawanie mięszaniny margaryny i masła za

masło naturalne, trzeba zwrócić jeszcze uwagę na to że są rozmaite gatunki margaryny. Z pewnością margaryna zrobiona *lege artis* ze świeżego tłuszczu nerkowego, nic szkodliwego w sobie nie zawiera. ale według Girarda, dobra margaryna jest produktem nadzwyczaj rzadkim, i bywa najczęściéj fabrykowana z tłuszczów nieodpowiednich i zepsutych, sposobem niebardzo sumiennym. Dodamy tu nawiasem, że u nas chyba tylko ta ostatnia jest sprzedawana, albowiem delikatny smak i powonienie zbyt łatwo ją w pokarmach smażonych lub kraszonych odkrywa. Ale jak rzadkim jest taki smak i węch „analityczny,“ jak mało ludzi domyśla się, że zamiast masła kuchennego kupuje albo łój preparowany, albo téż co najwyżéj jego mieszaninę z masłem gorszego gatunku! Wiadomo, iż znaczna ilość margaryny przychodzi do nas z Petersburga, a niedawno gazety doniosły o założeniu fabryki tego produktu na Pradze. Jeżeli jednak margaryna nie sprzedaje się jawnie w sklepach jako margaryna, to czyż jéj fabrykacya i sprzedaż należy do przemysłów i handlów dozwolonych?

Zdawałoby się że kawa surowa, jako towar łatwy do skontrolowania, nie powinnaby ulegać fałszowaniu. Tymczasem tak nie jest. Nie mówiąc już o kawie złego gatunku zbieranéj z drzew chorych, albo téż zepsutéj i spleśniałéj podczas przewozu morzem, trzeba nadmienić że istnieją fabryki wyrabiające kawę bez kawy. Zaopatrzone są one w *patentowane* machiny, które z masy złożonéj z rozmaitych glin i mąki (czerniejącej pod wpływem żaru) wyrabiają ziarna zupełnie (na oko) podobne .do ziarn kawy. Niektórzy sumienniejsi (!) fabrykanci dodają do téj massy jeszcze fusów od kawy, aby przynajmniéj tym nieuchwytnym cieniem pierwotnego zapachu, wzbudzić w podniebieniach konsumentów przypomnienie aromatu produktu naturalnego.

Cóż się dopiero dzieje z kawą paloną i mieloną, a więc trudną do rozeznania dostępnym sposobem! Fabrykują ją zwykle z gatunków zepsutych, spleśniałych, z fusów, cykoryi, którą znów swoją drogą fałszują odpadkami przy fabrykacyi makaronu włoskiego, bobem, grochem, zmielonemi nasionami łubinu, żołędzią, staremi figami, ochrą, cegłą, popiołem węgla kamiennego, ziemią i t. d. i t. d. Na 91 prób kawy z napisami „superfine,“ „kawa najczystsza,“ „nieporównana“ i t. p. tylko 13 zawierało kawę czystą.

Podobnież i herbata ulega licznym zafałszowaniom. Najczęściéj fabrykant skupuje herbatę już używaną, praży je z proszkiem kurkuny a potém miesza z błękitem pruskim i gipsem. Do herbaty zaś świeżéj niższego gatunku, dla poprawienia jéj barwy lub powiększenia wagi dodają fałszerze dwuchromianu potażu i ołowiu,

indyga, soli, miedzi, miki, kaolinu, krédy, siarczanu żelaza, minii, a nawet ekskrementów jedwabników!... W Londynie już przed 40 laty istniało 8 fabryk sztucznéj herbaty, a teraz liczba ich wzrosła w sposób zastraszający. Wskutek rozwoju przemysłu zaprzestano nawet używać liści herbaty już raz użytych i zwrócono się do produktów europejskich jak np. liści śliwki, wierzby, jesionu, róży, topoli, dębu, wiązu, tarniny, buku. Nawet w Chinach fałszują herbatę przez dodanie liści obcych oraz gipsu i błękitu pruskiego, dla nadania koloru żądanego przez kupców europejskich, europejczyk jednak nie poprzestając na tém, przyprawia już i tak podrobiony towar produktami, które mu daje jego ojczyzna i przemysł.

Pieprzu również fałszerstwo nie ominęło. Do pieprzu mielonego dodają mąki, ziemi, piasku, śmieci, gliny, krédy, gipsu, kości palonéj i t. d. Kto, wiedząc o tém, że szczególniéj mielone artykuły spożywcze podlegają najczęściéj fałszowaniu, chce uniknąć oszukaństwa i kupuje pieprz tylko w ziarnach, wpada prawdziwie z deszczu pod rynnę, albowiem tak samo jak kawę bez kawy, fałszerze wyrabiają za pomocą machin ad hoc wymyślonych pieprz bez pieprzu!

Pszenica jest zbyt tanią aby ją robiono sztucznie, ale producenci często nadają jej lepszy wygląd dla osiągnięcia wyższéj ceny. Dwie łyżeczki oliwy lub śmietanki wystarczają do nadania 20 workom pszenicy tłustego połysku, mającego świadczyć o dobroci ziarna. Kupcy znów lub młynarze zamieniwszy pszenicę na mąkę dodają do niéj mąki tańszéj np. jęczmiennéj, kartoflanéj i t. d., a oprócz tych niewinnych dodatków, wapienia mielonego, ałunu, gipsu, przetworów ołowiu i cynku. Bywają gatunki, które w połowie składają się z siarczanu barytu i gipsu. Z 31 prób danych do rozbioru w laboratoryum municypalném tylko 13 było zupełnie dobrych. Chleb mniéj bywa fałszowany, co dobrze świadczy o piekarzach, a może tylko o smaku konsumentów; na 13 prób rozebranych w laboratoryum, aż 9 było dobrych. Za to w sokach owocowych często nie ma ani śladu owoców. Są to syropy zabarwione sztucznie na kolor właściwy fuksyną i t. d. i naperfumowane skomplikowaną mieszaniną eterów i kwasów. Nawet do konfitur i konserwów z prawdziwych owoców dodaje się fuksyny i wonników odpowiednich.

Ale największe oszukaństwo panuje na polu fabrykacyi kosmetyków. Wszystkie środki do farbowania włosów podawane za roślinne, zawierają w swym składzie zawsze azotan srebra, siarczan żelaza, chlornik rtęci, tlenek ołowiu, octan ołowiu i t. d. Środki mające przywrócić łysym włosy, które wypadły wskutek zaniku ce-

bulek włosowych, nie wywierają żadnego a żadnego pod tym względem działania i najczęściéj zawierają w sobie składniki szkodliwe. „Poudre Laforest“ robi się według recepty 6 części soli merkuryalnéj, 30-ci siarku arsenu, 30 tlenniku ołowiu i 30 mączki; „l'eau de la Floride“ mająca być sokiem roślin egzotycznych składa się z wody różanéj, octanu ołowiu i inszych szkodliwych składników i t. d. i t. d. Wogóle na 10 środków toaletowych 9 zawiera składniki szkodliwe, mogące wywołać rozmaite choroby, których nieraz źródła odkryć niepodobna. A przecież pozwalając fabrykantom tych środków blagować najbezwstydniéj na temat egzotycznego pochodzenia a nawet skuteczności tych środków upiększających, żądamy tylko aby były nieszkodliwe!

Taki to, prawdziwie zastraszający obraz zamachów na zdrowie publiczne przedstawiają nam rezultaty analiz dokonanych w laboratoryum paryskiém. Nie mówią one nic o tém, co się dzieje w restauracyach, przynajmniéj niższego rzędu, które dostarczyłyby przedmiotów do równie ciekawéj antologii. I tak się dzieje nie tylko w Paryżu i Londynie ale w Niemczech, a każdy niemal numer „Industrie Zeitung“ wykrywa nowe jakieś oszukaństwo. Nie można też wątpić że i u nas mamy, może tylko nieco słabszy, odblask tego, co się dzieje zagranicą i trzeba tylko skosztować nabiału sprzedawanego na targach, wina tańszych gatunków, kawy mielonéj, herbaty tańszéj od ceny cła i przewozu i t. d. Nie tylko więc natura rozsiała trucizny w owocach, miazmata w wodzie i powietrzu; bliźni nasi, noszący miano uczciwych ludzi, starają się skrycie powiększyć liczbę tych czynników nieprzyjaznych. Doprawdy ciekawą byłaby u nas podobna statystyka!

Trzymając się spencerowskiéj metody wyprowadzania wszelkich objawów społecznych genetycznie, znaleźlibyśmy wielką analogią pomiędzy przemysłem fałszerskim a rozbojem i trucicielstwem. Dawniéj starano się o nielegalny zarobek sposobem prostym, grubym, brutalnym; odbierano gwałtem lub zabijając właściciela, na którego majątek miano apetyt. Widzimy to teraz jeszcze u ludów i u klas nieucywilizowanych. Ale cywilizowany złodziéj lub rozbójnik, ze względu na swe uczucie wydelikatnione oraz własne niebezpieczeństwo, osiąga te same rezultaty co dawniéj zbój, na drodze łagodnéj ale niemniéj skutecznéj, za pomocą środków, które nam daje nauka i przemysł wysoko rozwinięty. On bynajmniéj nie ma zamiaru szkodzić zdrowiu ludzkiemu i używa, jeśli tylko są tanie, surogatów nieszkodliwych. Do szkodliwych ucieka się tylko w tym razie jeśli są konieczne albo też.... o wiele tańsze od nieszkodliwych. Co więcéj, na pochwałę jego przytoczyć można fakt, że

nigdy doza dodanego przez niego surrogatu szkodliwego nie zabija ani nawet nie zaszkodzi od razu; na tym punkcie jest on bardzo drażliwy, bo..... rzeczby się odrazu wydała. Że obniży skalę zdrowia swoich klientów, którzy dadzą życie jeszcze słabszemu niż obecne pokolenie,—że, dając zamiast pokarmu naturalnego jakiś surrogat niepożywny (nie mówiąc już o trującym), zmniejsza siły, a więc i życie i przyszłość człowieka, o to on bynajmniéj nie dba, a nawet, jak się to często dzieje, nie jest zdolny do wystawienia sobie skutków podobnych. On chce tylko swój zarobek powiększyć, że ktoś musi na tém stracić, to rzecz jasna, ale nie jego w tém wina. Zresztą i on tym szkodliwym wpływom podlega i jeżeli fabrykuje ziarna kawy z gliny i mąki, to za to musi pić mleko z zaraźliwą wodą, jeść chleb z gipsem, wino z ołowiem, piwo ze strychniną, ubierać się w wełnę zebraną na śmietnikach, płacić za sfałszowane pojęcia, za sfałszowany porządek itd.

Dla czego ja mam być lepszym od innych? powiada. Nie jestem bohatrem któryby miał ginąć dla idei...

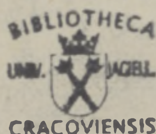
Niestety sofistyka taka jest bardzo rozpowszechniona, ale tém energiczniéj społeczeństwo przeciwko niéj wystąpić powinno. Gdy jedna zbrodnia drugę wywołuje, gdy rosną one wskutek tego wzajemnego stosunku jak lawina, należałoby wyjść z dotychczasowego obojętnego patrzenia na te sprawy i czekania aż zdarzy się jakiś wypadek jawnie podchodzący pod artykuły kazuistycznego lub elastycznego kodeksu, a natomiast postąpić tak, jak nakazuje rozum, nauka, instynkt zachowawczy osobisty i narodowy.

Dawniéj fałszerzy produktów spożywczych lud bez sądu kamienował, dziś żyją oni prawie w bezkarności. Lecz jeżeli osiągają oni tę bezkarność zręcznością którą im daje nauka i przemysł, to trzeba przeciwko nim wystąpić z nauką i niejako przemysłem. Trzeba przeciwko nim użyć wszystkich środków jakie daje nowoczesna wiedza, trzeba ją jeszcze rozwinąć w tym kierunku, i—ponieważ jednostka sama na tym polu nie poradzi,—trzeba stworzyć całe machiny, całe instytucye do czuwania nad uczciwością kupców i producentów, do wykrywania ich zamachów na zdrowie publiczne, oraz do ich należytego karcenia.

Kończąc niniejszy artykuł poczuwamy się do obowiązku, wyrażenia w imieniu lekarzy i innych kompetentnych osób gorącego życzenia, aby jaknajprędzéj laboratoryum szpitala ś-go Ducha zamieniło się na laboratoryum miejskie, i aby municypalność nasza nie żałując pieniędzy uposażyła je nietylko w odpowiednie przyrządy, ale i w siły naukowe. Jeśli już w restauracyach nie można prawie dostać barszczu niezabarwionego fuksyną, jeśli fabrykuje się u nas

wino z kwasu winnego, cukru, złego alkoholu i wody, jeśli nawet niektórzy aptekarze posuwają się do sprzedawania niewłaściwych lekarstw, to czas już wielki na podobną kontrolę i na szybki a energiczny wymiar sprawiedliwości za fałszerstwo lub nadużycie, zapuszczające u nas coraz szerzéj i głębiéj korzenie. Inaczéj może przyjść do tego, że kraj nasz, nie mówiąc już o fałszerstwach samodzielnych, stanie się stekiem wszystkich surogatów zagranicznych. Należałoby tę rzecz opracować również z punktu widzenia prawnego i ustanowiwszy ściśle, na zasadzie obecnych danych naukowych i faktów dziejących się w przemyśle, co należy uważać za fałszerstwo, stworzyć jednocześnie instytucyą kompetentną do ostatecznego wyrokowania w sprawach podobnych, aby jak się to czasami dzieje, chemik, który wykrył i zaskarżył fałszerstwo, nie znalazł się sam pod zarzutem potwarzy, i nieprzepędzał całych miesięcy w niepewności w jakie ręce sprawa jego się dostanie. Jeśli jednak postulat podobny wymagałby zmian zbyt radykalnych i trudnych, to należałoby zaprowadzić przynajmniéj taki porządek jak w Paryżu, gdzie organizacya laboratoryum wskutek wzajemnéj kontroli nie dopuszcza wcale pomyłek, gdzie jest uważana za pomocniczą instytucyą prokuratoryi a wskutek tego, jako instytucya państwowa, ma dostateczną siłę do przekonania publiczności, oraz powagę zniechęcającą fałszerza do bezzasadnego walczenia przeciwko oczywistości.

B. R.



Wydawca, **W. Spasowicz**.—Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum“

w ciągu m. Maja 1883 r.

---

1. **Geografia powszechna** ułożona dla użytku szkół średnich tudzież dla nauki samodzielnej, przez *Bolesława Baranowskiego i Ludwika Dziedzickiego.*—Wydanie trzecie z 35 rycinami w tekście, we Lwowie u Seyfartha i Czajkowskiego, 1883 str. 388.
2. **Sprawozdanie** z czynności towarzystwa przyjaciół nauk poznańskiego z roku 1882. Poznań 1883 str. 70.
3. **Przegląd krytyczny** pracy Julijana Łapickiego pod tytułem: Stosunki gminne w Król. Pol. i właściwy kierunek ich rozwoju. Skreślił *Alexy Hempel.* Warszawa u Noskowskiego 1883 str. 4. 335
4. **Jan Nepomucen Jaśkowski.** Poezye. Warszawa. Gebethner i Wolff, str. 181.
5. **Laszka** napisał *Włodzimierz Wysocki.* Kijów u Bol. Korewy, 1883 str. 87. Cena kop. 60.
6. **Złota przędza poetów i prozaików polskich.** Tom I, Zeszy. 2, str. 80—160.
7. **Główne zasady teoryi polityki ekonomicznej** od Adama Smith'a do teraźniejszych czasów. I. Iwaniukowa prof. Piotrowskiej Akademii rolniczej—przekład z drugiego wydania rosyjskiego. Wydane nakładem studentów instytutu agronomicznego w Nowej Aleksandryi (Puławach). Warszawa 1883 str. 175.
8. **Mikołaj Rej z Nagłowic.** Wizerunek własny. żywota człowieka poczciwego, według wydania z r. 1560. Wydał Stanisław Ptaszycki Zeszyt 4 i 5. Petersburg. Warszawa 1883.
9. **T. H. Huxley.** Wykład biologii praktycznej, za upoważnieniem autora przetłómaczył *August Wrześniowski.* Cena rs. 1. Warszawa 1883 str. 270.
10. **Król Jan III Sobieski** przez *Lucyana Tatomira.* Warszawa u Paprockiego 1883. str. 44 Cena gr. 15.
11. **Psalterii Florianensis** partem polonicam adfidem codįcis recensuit aparatu critico indice locupletissimo instruxit *Wladislaus Nehring.* Posnanie. I. Żupański 1883.
12. **Kupno renty,** studyum historyczno prawne, napisał dr. *Aleksander Janowicz* docent Uniw. we Lwowie. Lwów 1883 str. VII i 194.
13. **O świadkach** studyum z historyi prawa niemieckiego, napisał dr. *Aleksander Janowicz.* Lwów 1883 str. VIII i 284.
14. **Życie za życie** powieść przez *Waleryą Morrené.* Warszawa 1883 str. 196.
15. **„Jerzy“ i „Fragment“** powieść przez *Waleryą Morrené.* Warszawa 1883 str. 46.
16. **W oberży pod srebrnym Jeleniem** powiastka *Ouidy* tłómaczona z angielskiego, Warszawa 1882. str. 40.
17. **Stanley-Jevous** Ekonomia polityczna. Przekład z angielskiego Warszawa 1883 u Lesmana i Swiszczowskiego str. 178.

ŚWIATA ILLUSTROWANEGO

WYCHODZĄCEGO W WIEDNIU

nakładem **Zygmunta Bensingera**

a pod redakcyą

ANDRZEJA ODROWĄŻA

opuścił prasę **zeszyt piętnasty rocznika II-go** i zawiera:

A) W części literackiéj:

1. Krwawe dzieje, powieść T. T. Jeża (c. d.).
2. Błędna Gwiazda, komedya (dokończenie).
3. Zmienne koleje, odbicie z natury (c. d).
4. Córka kalifa, nowela; nadto objaśnienia do rycin, arytmogram i rozwiązanie z 14 zeszytu.

B) W części obrazowéj:

1. Dwie różne modlitwy.
2. „Czy też chwyci która?“
3. Miłosna schadzka.
4. Wacław Aleksander Maciejowski.
5. Nieproszony spólnik.
6. Fraszki humorystyczne.

Okładka zawiera następujące rubryki:

1. Poczta redakcyi; 2. Nowiny literackie, artystyczne i naukowe; 3. Gospodarstwo domowe i wiejskie; 4. Przemysł i handel; 5. Wynalazki, odkrycia i wyprawy naukowe; 6. Komunikacya i zakłady publiczne; 7. Wiadomości o krajach i ludach; 8. Nadzwyczajne wypadki i klęski elementarne; 9. Zdarzenia z życia codziennego; 10. Nekrologia.

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1883 jak dotychczas na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

Redakcya zawiadamia szanownych czytelników, że i w roku bieżącym starać się będzie o jak najstaranniejsze spełnienie programu, przedstawionego w prospekcie na rok 1882. Rozbierać jasno ważniejsze zagadnienia, jakie społeczeństwu naszemu rozwój stosunków stawia, rozpowszechniać zdobycze naukowe w świecie cywilizowanym dokonane, śledzić bacznie objawy umiejętne i literackie wśród narodu naszego, zdając o nich sprawę krytyczną, podawać dla umysłu przedmioty do rozwagi i fantazyi karm zdrową; oto główne cele, które osiągnąć zamierzyła sobie redakcya.

Działy, w których myśl przewodnia znajdować będzie swe wyjaśnienie i rozwinięcie są następne:

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnym uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych, oraz kronika przyrodnicza, notująca najnowsze odkrycia i wynalazki.

IX. Kronika miesięczna, w któréj bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbiory, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Дозволено Цензурою. Варшава, 20 Мая 1883 г.